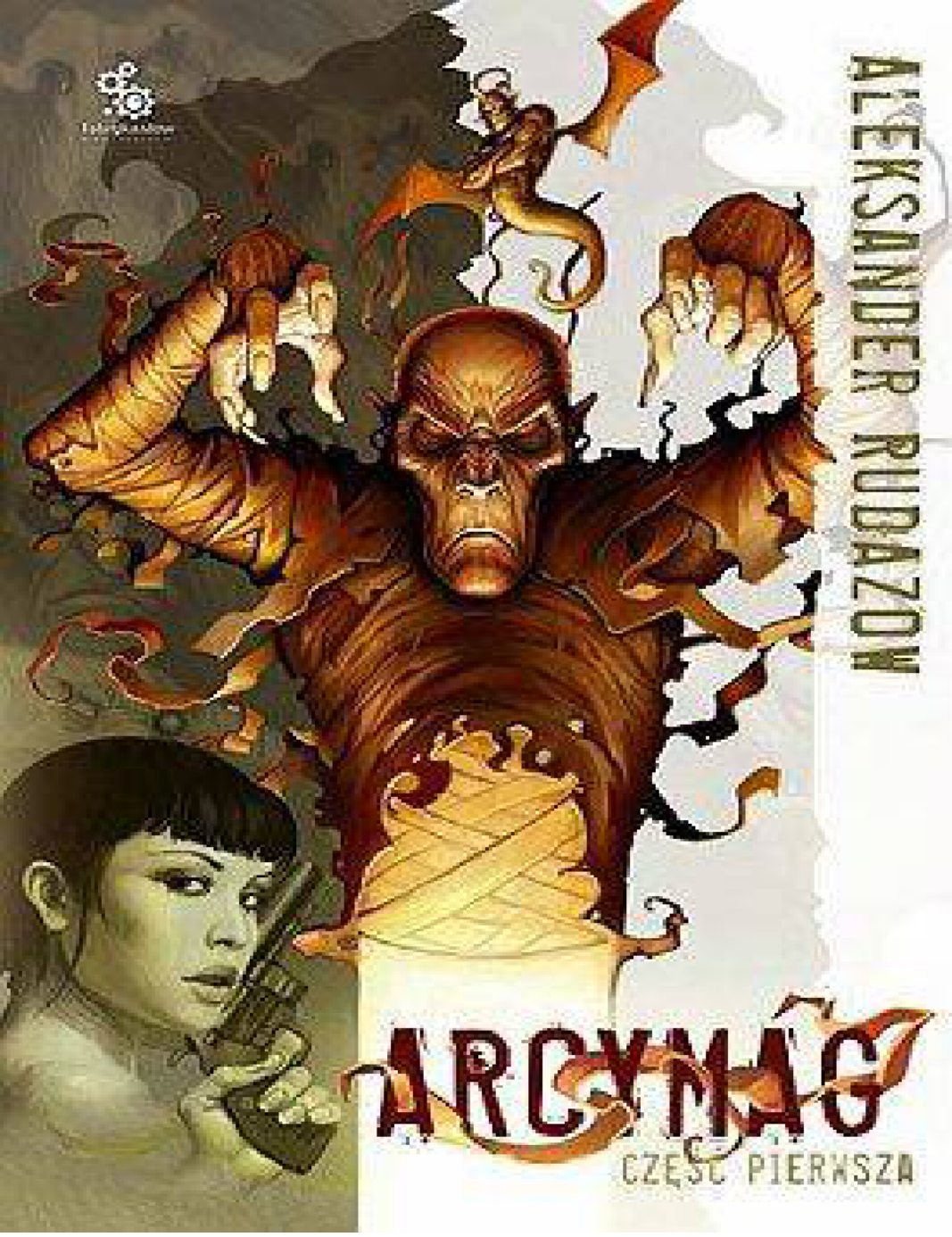
ALEKSANDER RUDAZOW
ARCYMAG
CZĘŚĆ PIERWSZA

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Zmęczony dość uciążliwymi w przyswajaniu lekturami szkolnymi oraz nieco ambitniejszą fantastyką, jakiś czas temu poczułem silną potrzebę sięgnięcia po coś lekkiego i nie wymagającego zbytniego zaangażowania umysłowego, a do tego na tyle rozluźniającego, bym mógł z nowymi siłami wrócić do poważniejszej literatury. Fabryka Słów stanęła na wysokości zadania i wypuściła na rynek pierwszą część Arcymaga, który wyszedł spod pióra jeszcze nieznanego u nas rosyjskiego fantasty, Aleksandra Rudazowa. Ponieważ opis z tyłu okładki – zabawny i oryginalny – wydał mi się zachęcający, bez zbędnego wahania chwyciłem za wspomniane dzieło. Jak się wkrótce okazało, była to jedna z moich najtrafniejszych decyzji od przynajmniej kilku miesięcy, jeśli chodzi o dobór lektury.

Fabuła okazuje się dość oryginalna. Aby uciec od swych przeciwników, sumeryjski arcymag Kreol decyduje się na wielce ryzykowny krok – wraz ze swym filigranowym dżinem-sługą ukrywa się w grobowcu i zapada tam na długi, bo trwający aż pięć tysięcy lat, sen. W ten sposób, a także dzięki wyprawie archeologicznej, która odkryła jego miejsce spoczynku, budzi się we współczesnym San Francisco. Jako że przeżycie w naszych realiach bez jakichkolwiek informacji jest niewątpliwie sporym wyczynem, nasz bohater ochoczo przyjmuje pomoc tutejszej młodej policjantki, napotkanej w dość niespodziewanych okolicznościach. Teraz Kreol ma szansę zadomowić się w nowych czasach, jednak szybko okazuje się, że jego wrogowie wcale nie zniknęli w mrokach dziejów.

Powieść okazała się tak bardzo wciągająca, że na jej pochłonięcie wystarczyło mi jedno popołudnie. Co ciekawe, fabuła nie ma w tym pierwszorzędnej zasługi, albowiem ta jeszcze nie zdążyła się rozkręcić i jak na razie obyło się bez fajerwerków. Nic w tym dziwnego, skoro recenzowana przeze mnie pozycja to dopiero pierwsza z dwu części Arcymaga (a znając ostatnie tendencje Fabryki Słów do cięcia powieści na połówki, należy sądzić, iż w oryginale autor ograniczył się do jednej książki). Jednak w żadnym razie nie znaczy to, że było nudno. Zderzenia dwóch kultur czy dwóch światów zawsze dawało autorowi spore pole do popisu. Kreol – człowiek bardzo inteligentny, a do tego – dzięki profesji arcymaga – nawykły do wszelkich cudów czy pozornych niemożliwości, nie ma większych problemów ze zrozumieniem naszej rzeczywistości i przyjmuje ją bez skrajnych emocji, co stanowi miłą odmianę od wszelkiej maści "tryglodytów" z innych powieści fantastycznych, nieustannie dziwiących się każdej nowej rzeczy. Paradoksalnie ten powiew świeżości wcale nie pozbawił autora narzędzia do tworzenia śmiesznych scen, lecz jedynie

uatrakcyjnił lekturę.

Ogromną zaletą Arcymaga są bohaterowie. Duża część z nich to istoty z innych światów, jak chociażby wspomniany już wcześniej zabawny dżin Hubaksis, inni są ludźmi. Jednak każdy z nich jest znakomicie wykreowany, dzięki czemu od razu można go zapamiętać i polubić. To szczególnie oni, wraz z ich dążeniami, kłopotami oraz wadami i zaletami powodowali, że z taką przyjemnością pochłaniałem wzrokiem kolejne strony powieści.

Innym walorem tej pozycji jest świat przedstawiony, wspaniale ożywiony magią. Mamy więc do czynienia z prawdziwym magiem, artefaktami, nawiedzonymi domami oraz istotami z innych wymiarów. Opis wydawcy z tyłu okładki obiecuje nam także podróże po innych rzeczywistościach. Nie jest to do końca prawdą, gdyż żadnych podróży międzywywiarowych na razie nie uświadczymy. Piszę "na razie", ponieważ biorąc pod uwagę moment, w jakim doszło do urwania akcji, wygląda na to, że jednak nas nie ominą. Za to cieszy przedstawienie przez autora własnej wizji dziejów starożytnego Bliskiego Wschodu. Nie jest to co prawda zbyt obszerne przedstawienie, ale i tak bardzo dobrze, że się pojawiło, zwłaszcza iż współgra z fabułą.

Już to zasygnalizowałem we wstępie, ale nie zaszkodzi powtórzyć: Arcymag jest powieścią wybitnie rozrywkową i tylko jako taką można ją traktować; próżno doszukiwać się tutaj głębszych treści, moralizowania czy nawet naukowych ciekawostek, jakże chętnie dostarczanych w hurtowych ilościach przez wielu naszych rodzimych twórców. Ciężko mi jednoznacznie stwierdzić, co tak naprawdę stanowi humor w tej książce. Na pewno nie pojedyncze scenki lub gry słowne, bo tych jest znikoma ilość. Myślę, że nie było to coś konkretnego, lecz cała powieść jest nim wprost przesycona. To właśnie dzięki bohaterom, historii oraz lekkości opisywanych wydarzeń uśmiech nie schodził mi z ust przez całą lekturę i trwał jeszcze długo po jej zakończeniu. Odniosłem wrażenie, iż pisanie sympatycznej powieści mającej na celu wyłącznie rozluźnić czytelnika, jest dla Rudazowa czymś zupełnie naturalnym, dzięki czemu nie musi co i rusz chwytać się różnych zabiegów, mających na celu rozśmieszenie czytelnika. To wyraźnie odróżnia go od pewnego fantasty rozrywkowego z naszego podwórka, a mianowicie Andrzeja Pilipiuka. Ten ostatni, przy tworzeniu humoru nierzadko sięga po takie narzędzie jak erotyka, zgorszenie albo brutalność (jakkolwiek dziwnie by to nie brzmiało). Każdy, kto miał do czynienia chociażby z Wieszać każdy może, zapewne domyśla się, co miałem na myśli. Wszystkich, których zniechęciła ta cecha prozy Pilipiuka, mogę ze spokojnym sumieniem odesłać do Rudazowa – u niego próżno doszukiwać się podobnych rzeczy.

Książka została napisana sprawnie i lekkim piórem. Styl współgra z treścią, toteż na tym polu nie stwierdziłem zgrzytów. Również korekta dobrze wywiązała się z powierzonego jej zadania, gdyż nie zauważyłem istotniejszych błędów językowych, choć trochę pomniejszych się prześlizgnęło. Jeśli chodzi o jakość wydania, to tu – jak to w każdej publikacji Fabryki Słów – widać dobrze wykonaną robotę. Co prawda grafika tytułowego arcymaga na okładce mogłaby być lepsza, ale to już czepianie się szczegółów.

Podsumowując, Arcymag jest idealną propozycją dla osób spragnionych lekkiej, rozrywkowej fantastyki. Za rozsądną cenę dostajemy porządnie wydany produkt, który zapewni kilka godzin relaksującego odpoczynku od prozy życia. Gorąco polecam i z niecierpliwością wypatruję drugiej części, która zgodnie z zapowiedziami wydawcy już niedługo powinna trafić do sklepów.

- Aleksander Rudazow
  - ○
  - ○
  - ○ Prolog
  - ○ Rozdział 1
  - ○ Rozdział 2
  - ○ Rozdział 3
  - ○ Rozdział 4
  - ○ Rozdział 5
  - ○ Rozdział 6
  - ○ Rozdział 7
  - ○ Rozdział 8
  - ○ Rozdział 9
  - ○ Rozdział 10
  - ○ Rozdział 11
  - ○ Rozdział 12
  - ○ Rozdział 13

ALEKSANDER RUDAZOW
ARCYMAG
CZĘŚĆ PIERWSZA

Aleksander Rudazow

Arcymag. Część I

Przełożyła Agnieszka Chodkowska-Gyurics

To powiedziawszy, zawołał donośnym głosem:
„Łazarzu, wyjdź na zewnątrz!” I wyszedł zmarły,
mając nogi i ręce powiązane opaskami,
a twarz jego była zawinięta chustą.
Ewangelia wg św. Jana
(tłumaczenie wg Biblii Tysiąclecia)

Wskrzeszenie martwego to zadanie trudne
i czasochłonne, ale możliwe, jeśli podejdzie się doń
umiejętnie i odprawi wszystkie niezbędne rytuały.
Magiczna księga Kreola

Prolog

Profesorze, to niesamowite! – zawołał Simon z zachwytem. – Czy to możliwe, że ma pięć tysięcy lat? Wygląda jakby umarł miesiąc temu! Może to wampir?

Profesor Green z pobłażaniem popatrzył na swego pomocnika. Młody Simon był jeszcze studentem, a profesor Green bardzo wątpił, czy kiedykolwiek zakończy studia na uniwersytecie. Co prawda młodzieniec szczerze kochał historię i archeologię, ale w żadnej z tych nauk nie przejawiał ani krzty talentu. Cechował się dziurawą pamięcią, absolutnym brakiem umiejętności skupienia się nad czymś konkretnym dłużej niż pięć minut, a przede wszystkim – niepodatną na żadne wpływy duszą romantyka. Profesora zmęczyło już wyjaśnianie uczniowi, że zawód archeologa zupełnie nie przypomina tego, czym zajmują się, swoją drogą znani, Indiana Jones czy Lara Croft. To przede wszystkim nudne wykopywanie starych kości i czaszek, a potem nie mniej nudne studiowanie ich w ciszy gabinetu. Archeolodzy niezwykle rzadko znajdują skarby, a jeszcze rzadziej mają do czynienia z bandytami, nie mówiąc już o bardziej osobliwych siłach nieczystych. Tym niemniej Simon cały czas nie tracił nadziei.

– Wampiry nie istnieją – dobrodusznie uśmiechnął się profesor. – Masz rację, ten obiekt rzeczywiście zachował się nadzwyczaj dobrze. Obawiam się, że chwilowo nie mogę wyjaśnić tego faktu…

– A wersje? – Asystent natychmiast zaczął kusić profesora. Poznał już dobrze tego starego kozła i dawno przekonał się, że szanowany archeolog najbardziej ze wszystkiego lubi tworzyć różne hipotezy i wyjaśniać to, co niewyjaśnione.

– Jakieś wersje zawsze się znajdą. – Green z zadowoleniem uśmiechnął się pod wąsem. – Po pierwsze, starożytni Sumeryjczycy mogli posiąść tajemnicze umiejętności, pozwalające im zachowywać ciała władców w tak wspaniałym stanie. Coś podobnego do egipskiego balsamowania, tylko znacznie doskonalsze… Jeśli się nie mylę, może to być tematem nowej pracy naukowej, no właśnie… Kiedy wrócę z Meksyku, koniecznie muszę dokładniej zbadać cesarza…

Profesor uśmiechnął się i nalał sobie wody. Przy podobnych rozmyślaniach zawsze chciało mu się pić.

– A po drugie?

– Czyli? – Odciągnięty od przyjemnych myśli Green zmarszczył czoło.

– Powiedział pan „po pierwsze”. A to znaczy, że powinno być „po drugie”. – Simon pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– No tak, oczywiście. – Pokiwał głową profesor. – Druga wersja jest zupełnie nieciekawa. Może okazać się, że to zwykły zbieg

okoliczności, i w rzeczywistości ten człowiek umarł nie pięć tysięcy lat temu, a na przykład w zeszłym miesiącu. Co prawda, nadal nie wiadomo, jak w takim przypadku dostał się do sarkofagu… No dobrze, jestem przekonany, że sekcja rozwiąże tę zagadkę.

Przytoczona rozmowa dotyczyła ciała w sarkofagu, który przysłano profesorowi z wykopalisk prowadzonych w pobliżu Eufratu. A dokładniej, z miejsca, gdzie kiedyś płynął – w ciągu pięciu tysięcy lat rzeka nieco zmieniła koryto. Sarkofag bynajmniej nie wyglądał na cenny, co więcej, nazwać go sarkofagiem można było tylko z litości – w istocie była to zwykła kamienna trumna, ozdobiona krótkim napisem w języku starosumeryjskim. Jedyne, co mogło zwrócić na niego uwagę, to wielkość. No i oczywiście zagadka zamkniętego w nim ciała.

Profesor nazwał zmarłego „cesarzem". Zrobił to bez namysłu – nie udało się odnaleźć nic, co by wskazywało na to, kim nieboszczyk był za życia. Nawet jego imię nadal stanowiło zagadkę. Chociaż zachował się rzeczywiście bardzo dobrze. Skóra uległa znacznym zniszczeniom, włosy przez tyle lat całkiem się rozłożyły (jeśli tylko za życia nie był łysy), odzież zbutwiała, ale ciało jako takie pozostało nienaruszone. Było to tym dziwniejsze, że profesor nie znalazł żadnych śladów ludzkich działań, żadnych bandaży, spowijających zazwyczaj egipskie mumie i inne tego rodzaju obrzydlistwa.

Za życia nieboszczyk był wysokim mężczyzną, być może o dość miłych rysach twarzy. Teraz wyglądał oczywiście jak prawdziwy potwór, ale nie można wymagać zbyt wiele po upływie pięciu tysięcy lat od śmierci. Z szat zostały tylko żałosne resztki, ale nawet one świadczyły, że kiedyś ten trup zajmował wysoką pozycję w społeczeństwie. Tego samego dowodził grobowiec – zwykłych chłopów nie chowano tak starannie.

– A co znaczy ten napis? – z ciekawością zapytał Simon.

– A tak, napis… – zamruczał profesor z roztargnieniem, wciąż jeszcze pogrążony w myślach. – Coś w rodzaju pośmiertnej modlitwy, oczywiście, jeśli nie pomyliłem się podczas tłumaczenia… To przecież nie jest nawet starosumeryjski, a powiedzmy… przedstarosumeryjski. Same zaczątki cywilizacji.

– Profesorze, napis! – Simon przechylił głowę z miną pełną wyrzutu.

– Tak, przepraszam – skrzywił się Green. – Tu napisano „Niech będzie sławiony przez wieki Marduk Potężny Topór, Władca Dziewięciorga Niebios! Weź i zachowaj moją duszę, dopóki nie nadejdzie czas oddać ją z powrotem. Jeśli taka będzie twoja wola, zakończę to, co ty zacząłeś". Najprawdopodobniej zwyczajna nagrobna inskrypcja, związana z religią. Być może ten człowiek był kapłanem Marduka. Sądzę, że warto to zbadać dokładniej…

Profesor przeszedł przez laboratorium, na chwilę zatrzymał się obok półki z nowymi eksponatami. Wraz z tajemniczą trumną przysłano jeszcze kilka przedmiotów znalezionych w tym samym grobowcu – parę ceramicznych czarek, miedziany nóż, glinianą tabliczkę z nierozszyfrowanym tekstem i malutką kamienną szkatułkę. Obojętnie dotknął naczyń i noża, z pewnym zainteresowaniem uchylił wieczko szkatułki i rzucił przelotne spojrzenie na tabliczkę.

– To też całkiem ciekawy przedmiot – powiedział w zamyśleniu. – To samo pismo co na sarkofagu, ale nie ma w tym żadnego sensu. Po prostu zbiór przypadkowych znaków.

– Szyfr? – zasugerował Simon.

– Może. A może nieznany mi dialekt. Trzeba będzie poprosić doktora Rewersa, żeby rzucił na to okiem. Ale to potem, potem…

Profesor omiótł roztargnionym wzrokiem laboratorium, upewnił się, że biurko jest porządnie zamknięte i zaczął wkładać płaszcz. Październik nie jest najcieplejszym miesiącem w roku, nawet w przepięknym San Francisco, a profesor nie cieszył się końskim zdrowiem.

– Proszę. – Green dobrodusznie przepuścił ucznia przodem. – Ustępuję miejsca młodości…

– Do poniedziałku, profesorze! – Simon pomachał mu ręką, schodząc po schodach.

Green odprowadził go zamyślonym spojrzeniem. Młodość, młodość… Oddałby wszystko, żeby cofnąć się o jakieś czterdzieści lat.

Zamykając za sobą drzwi laboratorium, profesor zamarł, nasłuchując niepewnie. Wydawało mu się, że usłyszał jakiś niezwykły dźwięk, podobny do cykania zegara. Stał przez chwilę, ale nic więcej nie usłyszał.

Zgasił więc światło i przekręcił klucz w zamku. Rozległ się stłumiony odgłos jego kroków na korytarzu i wszystko ucichło.

Gdyby profesor Green miał lepszy słuch albo lepiej znał się na anatomii, mógłby rozpoznać usłyszany dźwięk. Było to uderzenie serca, pierwsze i niezwykle głośne. Nie ma się czemu dziwić – to serce milczało przez całe pięć tysięcy lat.

Rozdział 1

Kreol otworzył oczy. Z początku przez kilka minut nic nie widział – oczom potrzeba było czasu, zanim znów przystąpiły do pracy. Jeszcze więcej czasu potrzebowały płuca, by zacząć oddychać, i serce, aby znowu bić. Krew wolno popłynęła wyschniętymi przez tysiąclecia żyłami. Gęsta ciecz, którą tylko przy dużej dozie dobrej woli można nazwać krwią, nie miała ochoty przemieszczać się tak, jak nakazuje przyroda i tylko niezwykle silna wola Kreola pchała ją naprzód.

Minęła ponad godzina, nim eksnieboszczyk był w stanie poruszyć dużym palcem u nogi. Minęło jeszcze dwadzieścia minut i zdołał podnieść rękę. Profesor Green przewracał się już na drugi bok we własnym łóżku, gdy Kreolowi w końcu udało się wyleźć z trumny.

Nieboszczyk z ogromnym trudem stanął na nogi. Wyglądał teraz trochę lepiej niż wtedy, gdy leżał nieruchomo, ale nie była to wielka poprawa. Jego wyschniętą skórę nadal można było z łatwością przebić palcem, mętne oczy przypominały szklane paciorkowate oczka lalki, zaschnięte gardło świszczało przy każdym oddechu, serce biło nierówno, choć bardzo głośno. Do tego poruszał się z trudem, ledwie powłócząc nogami.

Kreol spróbował coś powiedzieć, ale z wyschniętych ust wydobyło się tylko chrypienie. Ze świstem wciągnął nosem powietrze i pokuśtykał w stronę półki, na której profesor ułożył pozostałe przedmioty. Ręką ze sztywnymi palcami niezgrabnie schwycił szkatułkę i podniósł ją do oczu. Druga ręka zagarnęła tabliczkę z napisem. Kreol przyjrzał się jej i rozciągnął usta w żałosnej imitacji uśmiechu – oba tak niezbędne przedmioty były tu, obok niego, nikt ich nie ukradł.

Szkatułkę odstawił na miejsce, a tabliczkę ujął mocno obiema dłońmi i spróbował przeczytać napis głośno. Źle mu poszło. Potężna magia zabezpieczyła go przed działaniem czasu, ale nawet ona nie była w stanie ochronić go *całkowicie*. Żałosny strzęp, jaki pozostał z języka, nie był w stanie poradzić sobie z wymówieniem choćby dwóch zrozumiałych słów, nie wspominając już nawet o kilku linijkach.

Zamyślony Kreol usiadł na brzegu sarkofagu. Dosłownie rwał się do dzieła – tak wiele spraw chciał załatwić teraz, gdy znowu był żywy. Ale przede wszystkim trzeba było odczytać zaklęcie. Po pierwsze, obiecał swemu niewolnikowi, że to zrobi, gdy tylko ożyje, a po drugie, bez tego i tak szybko znowu wyciągnie kopyta. A to znaczyło, że trzeba zmusić język do pracy, chociaż na pół gwizdka.

Ratunek pojawił się pod postacią zapomnianej przez profesora Greena szklanki wody stojącej na stole. Bezcenny płyn, bez którego na Ziemi nie byłoby ani jednej żywej komórki, lekko zmiękczył

wyschnięte gardło Kreola. Trzymał w ustach każdy łyk przez kilka minut, zanim posłał go głębiej. Gdy poczuł, że język nadaje się znów do użytku, szybko zaczął czytać.

Boże, nie wiedziałem – sroga jest twoja kara.
Łatwo jest złożyć wielką przysięgę.
Zapomniałem o twoim prawie, zaszedłem daleko,
W nieszczęściu zniszczyłem twoje dzieło…
Grzechy me są liczne – jak to zrobiłem – nie wiem.
Boże, zabierz, odpuść, uspokój zło, co kryje się w sercu…

Spętane me ciało, męczy mnie pragnienie,
Powodzenie minęło, minęło szczęście,
Siła osłabła, skończyły się zyski,
Smutek i bieda zasłoniły twarz.

Ale to, czego pragnę niezmiennie,
na pewno otrzymam.
Poprzednia ochrona wróci po modlitwie.
Dżinn Hubaksis zjawi się na stanowczą prośbę,
Zjawi się przed właścicielem,
by znowu wiernie mu służyć.

Kreol znów rozciągnął usta w uśmiechu, czując, że jego umęczone ciało się regeneruje. Oczywiście nie całkiem, ale teraz przynajmniej mógł się nie obawiać, że serce nagle przestanie bić w najmniej odpowiednim momencie. Wróciły mu także słuch i mowa. Oczy, dotychczas mętne, napełniły się czerwienią i miękko zaświeciły w ciemnościach.

Nagle szkatułka niedbale odstawiona na półkę przez profesora Greena, otwarła się sama i wyleciało z niej dziwne stworzenie. Dżinn. Najprawdziwszy dżinn. Nie miał nóg, ale całkiem dobrze zastępowała je para umieszczonych na plecach błoniastych skrzydeł. Ręce dżinna były dobrze umięśnione, a do tego każda wyposażona w sześć haczykowatych palców z zakrzywionymi pazurami. Oko miał tylko jedno, za to nad nim wyrastał najprawdziwszy róg w kolorze kości słoniowej, wywinięty do góry. Niżej połyskiwała pełna zębów złośliwie wyszczerzona paszcza. Ogólnie rzecz biorąc, stwór ten mógłby wzbudzić u każdego strach i szacunek, gdyby nie jeden mały, *malusieńki* drobiazg – dżinn, który wyleciał ze szkatułki, był tylko trochę większy od zwykłej myszy.

Hubaksis służył Kreolowi czterdzieści lat z górą. Plus, oczywiście, te pięć tysięcy, które obaj spędzili w głębokiej śpiączce, niewiele różniącej się od śmierci. Dżinnowi znacznie łatwiej jest dokonać

takiego wyczynu niż człowiekowi, dlatego Hubaksis odrodził się praktycznie w identycznej postaci, jaką miał przedtem.

Tak, tak… Hubaksis był dość żałosnym dżinnem – jednym z najsłabszych w całym chanacie dżinnów i ifritów. Do tego przestępcą. Kreol w czasie ich znajomości nie dopytywał się zbytnio, czym tak rozsierdził Wielkiego Chana, ale właśnie z tego powodu dżinn zaprzedał mu się w niewolę. Zgodnie z prawem dżinnów, niewolnik nie należy do siebie i jakiego by nie popełnił przestępstwa, nie można go ukarać. Przynajmniej dopóki żyje jego pan.

Prawdę mówiąc, Hubaksis niespecjalnie przejmował się swoją sytuacją. Kreol był nie najgorszym panem, a dla dżinna niewola bynajmniej nie jest tak przykra jak dla człowieka. A co najważniejsze – był bezpieczny.

Ale potem Kreol zaczął się starzeć. Cała jego sztuka magiczna była bezsilna wobec nieubłaganego upływu czasu. O nie, nie bałby się *zwyczajnej* śmierci! Na szczęście istniały sposoby, żeby odłożyć ją na dowolnie długi czas (jakiż to problem dla maga?). Niestety, nie mógł skorzystać z żadnego z nich. Jakiś czas temu Kreol… zawarł pewną umowę. Dość pochopną, niestety. A kiedy nadszedł czas zapłaty, najbanalniej na świecie wystraszył się. Nadzwyczaj drogo przyszłoby zapłacić… I wtedy to Hubaksis zaproponował swemu panu, by posłużyć się dawno zapomnianym sposobem oszukania wierzycieli, a przy okazji zyskać nieśmiertelność. Metodą trudną i pokrętną, ale skuteczną.

Kreol pewnie nie skorzystałby z tej propozycji. Cały czas miał nadzieję jakoś inaczej wybrnąć z kłopotów. Ostatecznie, o tym, że trzeba posłuchać dżinna przekonała go pewna… znajoma. Mieli z magiem wspólne sprawy… A także pewnego rodzaju umowę, choć nieco inną. Wspólna sprawa. Zrealizować jej w starożytnym Sumerze było nie sposób – musieli poczekać co najmniej kilka tysiącleci. Czy warto wspominać, że śmiertelny człowiek, nawet mag, nie ma żadnej szansy, by przeżyć taki szmat czasu?

Przez długie dwa lata pan i jego sługa szykowali się do podwójnego rytuału, po którym obaj powinni pogrążyć się w długim śnie, praktycznie nieróżniącym się od śmierci. Kreol stracił większą część majątku i zamęczył niejedną setkę niewolników, budując grobowiec zdolny przetrwać pięć tysięcy lat – właśnie tyle potrzeba było, by wygasł kontrakt, który Kreol podpisał własną krwią. Dziwnym zrządzeniem losu amerykańska wyprawa archeologiczna odnalazła grobowiec na kilka tygodni przed dniem ożywienia.

Początkowo Kreol zamierzał postąpić na odwrót – Hubaksis miał ożyć jako pierwszy, a dopiero potem obudzić swego pana. Ale potem wrodzona nieufność zmusiła maga do zmiany decyzji – obawiał się nieco, że dżinn naruszy przysięgę i pozostawi go w postaci trupa. Nie,

wiedział, że dżinn nie może złamać przysięgi, ale mimo to postanowił dodatkowo się zabezpieczyć.

Nie można powiedzieć, że Hubaksis był jakimś szczególnie cennym nabytkiem. Jak już wspominano, był dżinnem dość żałosnym. Ale dżinn pozostaje dżinnem, nawet jeśli jest tak malutki i słaby. Magiczne możliwości tego narodu wielokrotnie przewyższają ludzkie, dlatego bardzo trudno jest znaleźć dżinna, który nie umiałby wykonać chociażby kilku magicznych sztuczek. Hubaksis nie był wcale taki najgorszy.

Po pierwsze, na liście jego talentów znajdowało się kilka przydatnych umiejętności naturalnych dla dżinnów jako dla szlachetnego gatunku. Były wśród nich: zdolność przechodzenia przez ściany, możliwość zwiększania i zmniejszania rozmiarów (w tym akurat Hubaksis okazał się dość upośledzony), zmiany zewnętrznego wyglądu (tu też nie był prymusem), a ponieważ Hubaksis był w jednej czwartej ifritem, dochodził do tego ognisty oddech (prawdę mówiąc, gdyby w tej dyscyplinie organizowano zawody sportowe, przegrałby nawet ze zwyczajną zapalniczką). I jeszcze kilka drobiazgów. Co do indywidualnych magicznych zdolności miniaturowy dżinn mógł pochwalić się co najwyżej iluzjami. O, to umiał robić świetnie, chociaż znowu w dość ograniczonej skali. Gdyby sławny Ali ad-Din natknął się na Hubaksisa, a nie na Dżinna Lampy, jego ambitne plany raczej nie zostałyby zrealizowane. Ale jak już wspomniano wyżej, na bezrybiu i rak ryba – nie wszystkim udaje się zdobyć na służbę nawet takiego niedorobionego dżinna jak Hubaksis.

– Ho, ho! – zapiszczał maleńki dżinn. – A więc, mimo wszystko udało nam się tego dokonać!

– *Nam?* – Kreol uniósł brwi. – Przypomnij mi, niewolniku, w czym tu twoja zasługa?

– Udzielałem rad, panie – odparł nieporuszony Hubaksis, miarowo machając skrzydełkami. – Przy okazji muszę zauważyć, że nie wyglądasz najlepiej.

Kreol z przerażeniem obmacał twarz. W poprzednim życiu bardzo dbał o wygląd, dzięki czemu do dziewięćdziesiątki zachował wspaniałą formę.

– Lustro, lustro… potrzebuję lustra – wymamrotał, rozglądając się na boki.

– Według mnie, oto i ono – usłużnie poinformował Hubaksis, zawisając obok niewielkiego lustra umieszczonego nad umywalką.

Kreol skwapliwie skorzystał ze wskazówki dżinna. Wlepił oczy w swe odbicie i powoli opadła mu szczęka. Ręce gorączkowo obmacywały łysą czaszkę Pięć tysięcy lat temu Kreol szczycił się gęstą czupryną, bujnymi wąsami i kędzierzawą brodą. Oczywiście, wraz z wiekiem jego włosy pokryły się szacowną siwizną, ale to tylko dodało

mu urody. Nie mógł uwierzyć, że jest praktycznie całkiem łysy. Kilka cudem ocalałych włosów nie mogło go uspokoić. Co prawda zostawała nadzieja, że teraz włosy zaczną mu odrastać…

Ale jeszcze bardziej przygnębił Kreola wygląd skóry. Kiedyś był smagły, prawie czarnoskóry i bardzo mu to odpowiadało. Teraz zrobił się martwo blady, wręcz biały jak ściana. A jego oczy stały się czerwone… O ubraniu w ogóle starał się nie myśleć – łachmany, w które się zmieniły jego eleganckie szaty, budziły w próżnym magu głęboką odrazę.

– Tym niemniej… – westchnął Kreol, przyklękając na jedno kolano. – Tym niemniej, dziękuję ci Marduku, za zesłane mi powodzenie. Przysięgam poświęcić tę wojnę tobie, i tylko tobie!

– Jaką znowu wojnę, panie? – Hubaksis od razu się najeżył. – Nic mi nie…

– Milcz, niewolniku! – podniósł głos mag. – Nie twoja sprawa! To dotyczy tylko mnie i Najczystszej Inanny.

– Wcale nie miałem zamiaru. – Hubaksis obojętnie wzruszył ramionami, rozglądając się na boki. – Wiesz, panie, myślałem, że obudzimy się w twoim grobowcu. Ale wygląda na to, że przenieśli nas w inne miejsce.

– Słusznie. – Kiwnął głową Kreol, odwracając się od lustra. – Jak sądzisz, komu to mogło być na rękę? Myślałem, że dobrze się ukryłem…

– Może to Troy? – zasugerował Hubaksis.

– Nie opowiadaj głupot, niewolniku! – prychnął mag. – Gdyby ten wyrzutek naszego rodu odnalazł moją mogiłę, nie zawracałby sobie głowy przenosinami, tylko po prostu spalił to, co ze mnie zostało! Nie, jestem pewien, że Troy sam od dawna leży w grobie. I dzięki niech będą bogom, bo okropnie mi się już znudziły ataki tego hołaj li…

– Panie – pisnął z wyrzutem dżinn. – Nie złość bogów!

– Zazdrośnika – poprawił się Kreol. – Powiedz, skąd oni się biorą? Tymi rękami wysłałem do Lengu czterech arcymagów, próbujących mnie zabić, a oni i tak nie przestali! Taj-Kera musiałem zabijać dziewięć razy! Na łono Tiamat, do tej pory nie rozumiem, jak mu się udało? A w ogóle popatrz, jakie ciekawe zwierciadło… Ze szkła? Czyżby to było możliwe?

– Tak wyraźnie odbija… – zaświszczał dżinn, kokieteryjnie kręcąc się przed lustrem. – To dobre lustro, panie.

– Dobre… Popatrz, kubek też jest ze szkła! Wygląda na to, że mieszka tutaj jakiś bogacz.

– A to co takiego? – Dżinn wzbił się pod sufit, oglądając żyrandol. – Popatrz, panie, jaka ciekawa rzecz! Klnę się na wielkiego Tammuza, to prawdziwe brylanty!

Trzeba wyjaśnić, że żyrandol profesora był zrobiony ze zwykłych

szklanych wisiorków, jakimi dość często ozdabia się tego typu wyroby, ale niedoświadczone oko starożytnego dżinna nieprzyzwyczajonego do takiego nagromadzenia szklanych przedmiotów, jak w naszych czasach, bez trudu mogło ulec złudzeniu i wziąć je za prawdziwe kamienie szlachetne!

– To nie brylanty – z pogardą odrzucił tę sugestię Kreol, przyglądając się dokładniej żyrandolowi. – Za duże. Gdyby to były prawdziwe brylanty, ten przedmiot byłby wart tyle, co połowa skarbów władców Babilonu. Wiesz, niewolniku, wygląda na to, że świat bardzo się zmienił, gdy spaliśmy…

– I to jak…! – zawył dżinn, który zdążył w międzyczasie wsunąć się za żaluzje.

Mag również podszedł do okna i aż westchnął ze zdziwienia. Panorama San Francisco w nocy, oglądana z dwudziestego szóstego piętra, sprawiła, że obaj dosłownie osłupieli.

Trzeba dodać, że jako laboratorium profesor wykorzystywał niewielkie mieszkanko wynajmowane w prywatnym domu. Jeśli chodzi o badania naukowe, profesor był prawdziwym paranoikiem i żył w ciągłej obawie, że koledzy z uniwersytetu ukradną mu jedno z jego genialnych odkryć. Dlatego zawsze pracował tutaj, w swej kryjówce, o której wiedział tylko Simon. Przynajmniej tak sądził profesor Green…

– Czyżby to było miasto, panie? – z czcią zapytał Hubaksis.

– Nie wiem… – Kreol wolno pokiwał głową. – Na łono Tiamat! Rzeczywiście za długo spaliśmy… Trzeba będzie szybko nadrobić zaległości, jeśli znowu mam zająć miejsce Pierwszego Maga Sume… Na Marduka, a czy Sumer jeszcze istnieje?! Czy chociaż o nim jeszcze pamiętają? Przeklęty Troy, gdyby nie on, nie musiałbym pogrzebać się w takiej tajemnicy…

– Jeszcze Eligor, panie.

– Tak, oczywiście, Eligor.

– I Meszen'Ruz-ah…

– Ten pomiot żmii i krokodyla! Mam nadzieję, że męczył się przed śmiercią!

– I sakim Siódmego Cesarstwa.

– Gdyby nie był teściem Lugalbandy, dawno bym go…

– I nasz Wielki Chan.

– Brrr… Nie przypominaj mi nawet.

– I…

– Zamilkniesz w końcu?! – krzyknął mag, opryskując Hubaksisa śliną. – Wiem, ilu wrogów… miałem! Ha, niewolniku, teraz wszystkich gryzą robaki!

– Nie byłbym taki pewny – zapiszczał dżinn wstrętnym głosikiem. – Wielki Chan na własne oczy widział Wielki Potop, więc mógł z

łatwością dożyć do tych czasów. No i Eligora trudno wykończyć…

– Wykończę go – obiecał mag posępnie. – I jego, i jego pana, i wszystkich pozostałych, ilu ich tam zostało… Niech no tylko odzyskam siły.

Kreol z mrocznym wyrazem twarzy zaczął spacerować po pokoju, zatrzymując się na długo obok każdego nieznanego przedmiotu. To znaczy koło każdego. Szczególnie zainteresował go zegarek elektroniczny, spokojnie migoczący na biurku.

– Magiczny napis, panie! – zachwycił się Hubaksis, zaglądając magowi przez ramię.

– Gdybym jeszcze wiedział, co znaczy. Prostokąt, pałeczka, dwie kropki, krzywa kreska, prostokąt… Hmm… drugi prostokąt też zmienił się w pałeczkę…

– Czy to są litery?

– Nie wiem! – Kreol zmarszczył się ze złością. – Jedno jest jasne – trafiliśmy do siedziby maga.

– No nie wiem… – powątpiewał dżinn.

– Nie ma żadnych wątpliwości, niewolniku! Kto jeszcze mógłby mieć w domu takie rzeczy?! Oczywiście, że to mag – kto inny ustawiłby na środku komnaty sarkofag z martwym ciałem?

– Mała jakaś ta komnata…

– Być może to biedny mag. – Kreol wzruszył ramionami. – Chociaż z drugiej strony… Nie wygląda na siedzibę maga, gdy się dobrze przyjrzeć. Nie czuję tu magii. Cała magia tutaj… to ja i ty. No i oczywiście jeszcze mój sarkofag.

– I moja szkatułka – dodał dżinn.

– Tak, oczywiście, szkatułka – z roztargnieniem zgodził się Kreol. – Nie widzisz gdzieś w pobliżu moich narzędzi?

– Jakich narzędzi, panie?

– Takich narzędzi! – Postukał się w głowę mag. – Moich! Magicznych! Tych, które wzięliśmy ze sobą do grobowca! Bez których trudno mi czarować… znaczy trudniej. Magiczny ruszt… – Kreol zaczął zaginać palce -…kociołek do przygotowywania wywarów z ziół, rytualny nóż do kreślenia znaków i składania ofiar, magiczny samowydłużający się łańcuch do związywania wrogich demonów, magiczna laska – ta, którą tak lubię cię okładać, gdy mnie rozzłościsz, amulet uprzedzający o niebezpieczeństwie… to chyba wszystko. Nic więcej nie zmieściło się w trumnie. Gdzie to wszystko jest, niewolniku?!

– A czemu mnie pytasz, panie? – obraził się Hubaksis, który wcale nie był pozbawiony poczucia własnej godności. – Ja ich nie zabrałem! Może ten mag, który wykradł cię z grobowca, gdzieś to wszystko schował?

Kreol zamyślił się, pokręcił głową, a potem zdecydowanie

odrzucił tę wersję.

– Nie, swoje narzędzia wyczułbym na ligę. Wiesz, jak długo je robiłem?

– Akurat to wiem… – wymamrotał dżinn.

– No?

– Co, panie?

– Nie wyprowadzaj mnie z równowagi, niewolniku. Teoretycznie jesteś moim duchem-doradcą. Więc doradzaj!

– A może złodzieje grobów?

– A co mają do rzeczy złodzieje grobów? – Kreol skrzywił się z rozdrażnieniem. – Zabezpieczyłem grobowiec czarami Najwyższego Ukrycia! Chociaż w sumie i tak nic to nie pomogło. Ale dlaczego nie wzięli reszty? Nie, w tym z pewnością maczali palce magowie…

– Muszę ci przypomnieć, panie, że narzędzia były ozdobione złotem i szlachetnymi kamieniami, a ta szkatułka i ten, za pozwoleniem, chłam – nie…

Kreol zamyślił się. Słowa dżinna brzmiały prawdopodobnie.

– Masz rację, niewolniku. – Niechętnie kiwnął głową. – W takim razie myśl, jak je odzyskać. I to szybko – to jest dla mnie teraz najważniejsza sprawa.

– Panie, czy mogę ci przypomnieć, że znajdujemy się teraz w siedzibie maga, najpewniej wrogiego nam, a ty jesteś bezbronny jak dziecko?

– Nie gadaj głupot! – ofuknął go Kreol. – Gdyby ten mag chciał nas zabić, nie pozwoliłby mi ożyć! Hmm, brzmi to nieco głupio… Nieważne, i tak najważniejsze są narzędzia. Myśl!

– Wezwij demona i każ mu odszukać to, co zgubiłeś – bez zbędnych wahań zaproponował Hubaksis.

– Demona, mówisz… – zamyślił się Kreol. – W zasadzie, dlaczego by nie – przywoływanie demonów zawsze było moją ulubioną rozrywką. A konkretnie kogo?

– Może Andromalis się nada? Według mnie specjalizuje się właśnie w odnajdywaniu zagubionych rzeczy, panie.

– Masz rację, niewolniku, ale o czymś zapomniałeś. – Kreol zmarszczył brwi z rozdrażnieniem. – Zgodnie z umową nie mam prawa przywoływać demona częściej niż raz na jedenaście lat, a Andromalisa ostatnio, mmm… No tak, co ja gadam…

– No właśnie, panie! – Wstrętny pyszczek Hubaksisa promieniał uśmiechem. – Spałeś pięć tysięcy lat, więc teraz możesz przywoływać wszystkie od początku!

– No dobrze. – Kreol kiwnął głową. – Przygotuj mi pieczęć Andromalisa, niewolniku!

Dżinn pokłonił się swemu panu, w jego rękach zaczął formować się mglisty dysk, na którym coraz wyraźniej widać było rysunek –

cztery przecinające się linie z trzema zygzakami na brzegach i grubymi kółkami na końcach linii. Magiczna pieczęć Andromalisa. Właściwie tylko jej iluzja, ale w tym wypadku nie miało to znaczenia. Najważniejszy był sam obraz.

– Będziemy odmawiać modlitwę? – Kreol w zadumie pogładził szczękę. I od razu sam odpowiedział: – A niech ją Kingu, obejdzie się bez tego. Wystarczy pieczęć. I tak, wywołuję cię i zaklinam Andromalisie. Ja, napełniony siłą Najwyższego, przywołuję cię w imię… w ogóle wszystkimi magicznymi imionami. Zjaw się i spełnij moje rozkazy, szybko!

Duch pojawił się natychmiast. Przed magiem wyszedł z powietrza demon w dość mrocznym nastroju. Miał smagłą skórę i czarne włosy, nawet z nozdrzy wyrastały mu czarne kędziorki. Gdyby nie potężny ogon oraz para ostro zakończonych rogów, demona można by bez trudu wziąć za Ormianina albo Azera.

– Przywoływanie przeprowadzono niepoprawnie – zaburczał. – Gdyby na twoim miejscu był słabszy demonolog, wcale bym się nie pofatygował…

– Obiecuję, że następnym razem wszystko odbędzie się zgodnie z zasadami – zapewnił Kreol z uśmiechem.

– Na szczęście następny raz będzie nieprędko – fuknął Andromalis. – To czego chcesz, Kreolu? Pamiętaj, że możesz wydać mi tylko jeden rozkaz, nie więcej. Taka jest umowa. Tym niemniej, muszę ci powiedzieć, że z chęcią wypełnię i drugi, i trzeci, i w ogóle mogę zostać twoim niewolnikiem na całe dwadzieścia lat…

– Oczywiście, tylko że w zamian za duszę. – Kreol, który świetnie znał wszystkie zasady, wyszczerzył zęby drwiąco. – No dobra, poszukaj kogoś innego, drugi raz mnie nie kupicie. A potrzebuję tylko jednego – przynieś moje narzędzia. Ruszt, kociołek, nóż, łańcuch, laskę i amulet.

Andromalis pomyślał i niechętnie kiwnął głową.

– To możliwe, ale trochę potrwa. Czekaj Kreolu, magu, skoro przyzwałeś mnie do świata ludzi…

Demon trzykrotnie splunął przez prawe ramię, machnął ogonem, odwrócił się na jednym kopycie i zniknął. Pozostał po nim tylko delikatny obłok pachnący siarką.

– Panie, nie zapomniałeś czasem o księdze zakleć? – nieoczekiwanie przypomniał sobie Hubaksis.

– Nie bój się, niewolniku, nie zapomniałem. – Kreol uśmiechnął się krzywo. – Nie zabrałem księgi do mogiły – i tak rozsypałaby się w proch przez taką ćmę wieków. Zapisałem ją we własnej głowie.

– Porażające! – gwizdnął dżinn.

– Jeszcze jak. A tak przy okazji, nieźle byłoby uzbroić się w zaklęcia. Możesz na razie czymś się zająć…

Czymś przydatnym dla odmiany! Więcej pożytku mam z małych palców u stóp!

Kreol przysiadł na brzegu sarkofagu i zaczął szykować zaklęcia. Poważna wada ulubionej przez Kreola Magii Słowa polegała na tym, że najlepszych czarów nie można po prostu, ot tak, zastosować wtedy, gdy przyjdzie na to ochota. Trzeba je najpierw przygotować, wymówić po cichu krótszy albo dłuższy magiczny tekst, i dopiero wtedy można w razie potrzeby użyć zaklęcia. Dotyczy to tylko tych najprostszych, niewymagających skomplikowanych rytuałów, magicznych przedmiotów ani ziół. A nawet tak prostych nie można utrzymać zbyt wiele. Kreol mógł przechowywać w pamięci jedenaście lub dwanaście skomplikowanych zaklęć. Oczywiście bez laski – w lasce mieści się ich kilkadziesiąt.

Na początek mag przygotował zaklęcie Błyskawicy. Tak, przekonywał Hubaksisa, że tutejszy gospodarz nie jest żadnym magiem, ale wolał nie ryzykować. Pomyślawszy chwilę, dołożył jeszcze jedno, dokładnie takie samo. W końcu takie zaklęcie można przygotować w ciągu jednej czy dwóch minut – Błyskawicę uważano za jedno z najprostszych.

Dodał jeszcze zaklęcie Osobistej Ochrony. Bardzo pewna i efektywna rzecz, ale (niestety) jednorazowa. Coś w stylu ubezpieczenia – Osobista Ochrona przechwytuje dowolne wrogie działanie, ale po tym ulega zniszczeniu. Na przykład, jeśli do maga chronionego takim zaklęciem wystrzelić z broni palnej, kula nie zrobi mu żadnej szkody, ale jeśli wystrzelić po raz drugi – umrze, jak każdy inny człowiek w podobnej sytuacji. To samo dotyczy wszystkich innych działań – uderzenia pięścią łub bronią, ukąszenia przez zwierze, wypitej trucizny, wrogiego zaklęcia, a nawet wybuchu bomby. Ale tylko jeden raz. Oczywiście, nic nie stoi na przeszkodzie, by nałożyć na siebie dwa albo nawet trzy takie zaklęcia, ale byłaby to już przesada. Jeśli nie jesteś w stanie sam siebie obronić, nie pomoże ci nawet dziesięć warstw magii.

Pomyślawszy chwilę, Kreol dodał zaklęcia Uśpienia i Uzdrowienia. Na wszelki wypadek. Zupełnie standardowe zaklęcia. Uzdrowienie powodowało zasklepianie niezbyt poważnych ran, a Uśpienie pogrążało ofiarę w magiczny sen, z którego mógł obudzić ją tylko sam mag. Albo czas – po kilku godzinach uśpiony obudzi się sam, oczywiście, jeśli nie zostanie zastosowany bardziej skomplikowany rodzaj Uśpienia.

Kreol skończył z ostatnim zaklęciem i nagle podskoczył jak oparzony. Wzdrygnął się, jego biała twarz zbladła jeszcze bardziej. Zakręcił się jak fryga, dzikim wzrokiem rozejrzał się dookoła i nasłuchiwał w napięciu.

– Słyszysz, niewolniku? – wyszeptał zaniepokojony. – Słyszysz?

Hubaksis posłusznie zaczął nasłuchiwać. Po jakiś dziesięciu sekundach pogardliwie wzruszył ramionami.

– Niczego nie słyszę, panie. A co?

– Nic… – Kreol usiadł z powrotem na sarkofagu. – Widocznie mi się wydawało… Mam szczerą nadzieję, że to tylko złudzenie, inaczej… Nie, mimo wszystko obudziłem się w porę – czuję, że nie zostało już zbyt wiele czasu.

Ledwie jako tako przyszedł do siebie, gdy w pokoju ponownie zjawił się Andromalis. W jednej garści demon trzymał ruszt, kociołek, łańcuch, nóż i amulet, w drugiej zaś – laskę. Drugiego końca łaski uczepiła się młoda dziewczyna w policyjnym mundurze. Wyglądała na mocno oszołomioną.

Vanessa Lee, dla przyjaciół po prostu Van, zgodziła się tej nocy zastąpić chorego dziadka. Lee Czeng, emerytowany policjant, pracował jako ochroniarz w muzeum, ale wiek dawał mu się we znaki; coraz częściej musiał opuszczać pracę z powodu złego samopoczucia. Wnuczka poszła w ślady dziadka i też pracowała w policji, a że akurat wczoraj zaczęła urlop, dlaczego nie miałaby pomóc staruszkowi?

Jako dziedziczka ciekawego zestawu genów po ojcu Chińczyku i matce Amerykance, Vanessa była całkiem przystojną osóbką. Wzrostu nieco mniej niż średniego, brązowooka, z czarnymi włosami i lekko zadartym noskiem. Skośne oczy i wydatne kości policzkowe tylko dodawały jej uroku. Miała dwadzieścia cztery lata, z czego trzy i pół spędziła, służąc w policji. Oprócz tego trenowała karate i – o dziwo – taniec towarzyski. Ale to nie ma nic do rzeczy.

Hubaksis miał rację, gdy sugerował, że narzędzia Kreola są przechowywane gdzie indziej z powodu ich wysokiej ceny. A dokładniej, wyższej niż pozostałych rzeczy. Trumnę, szkatułkę, tabliczkę z zaklęciami i jeszcze nieco innego śmiecia znalezionego w pobliżu mogiły, pozwolono profesorowi Greenowi zabrać do domu, ale co do pozostałych przedmiotów, obowiązywał kategoryczny zakaz wynoszenia ich poza chroniony teren. Widocznie obawiano się, że profesor wydłubie sobie jakiś kamyczek na pamiątkę.

Vanessa zauważyła Andromalisa akurat wtedy, gdy wydobywał ostatni przedmiot – magiczną laskę. Demon stał zwrócony do niej twarzą, dlatego nie zauważyła ukrytego z tyłu ogona. Rogi oczywiście dostrzegła, ale sądziła, że to jakiś nowomodny pomysł punków, coś jak kolczyk w nosie, albo fryzura na Irokeza.

– Stój, bo strzelam! – krzyknęła zdenerwowana Vanessa, wyciągając pistolet.

Demon zamarł bez ruchu. Naturalnie, szykował się po prostu do przeskoku w przestrzeni, ale policjantka doszła do w pełni uzasadnionego wniosku, że wystraszył się pistoletu.

– Nie ruszaj się! – powtórzyła nieco ciszej. – No już, odłóż tę lagę!

Andromalis nie zareagował. Vanessa pomyślała, że osłupiał ze strachu i zdecydowanie ruszyła w jego stronę, starając się wyrwać mu laskę. Jak okazało się sekundę później, był to poważny błąd…

– Co ty mi tu przytaszczyłeś, pomiocie Lengu?! – Kreol uniósł ręce ku górze.

– Reklamacji nie przyjmujemy – burknął Andromalis z niejakim poczuciem winy, rzucił przyniesione przedmioty na podłogę i natychmiast zniknął.

Zniknięcie demona ostatecznie dobiło i tak zdrowo skołowaną Vanessę. Nacisnęła spust i wystrzeliła prosto w ohydną twarz łysego mężczyzny podobnego do zombi albo innego potwora. Kula znikła wchłonięta przez zaklęcie Osobistej Ochrony, ale Vanessa już tego nie zobaczyła. Kreol jednym ruchem palca aktywizował zaklęcie Uśpienia, pogrążając nieoczekiwanego gościa w zaczarowanym śnie. I tak miała szczęście, że nie urodziła się jako mężczyzna – przedstawiciela płci brzydkiej Kreol po prostu zabiłby zaklęciem Błyskawicy.

– Tak to jest, jak się zleci coś demonowi! – zazgrzytał zębami mag, oglądając leżącą bez czucia dziewczynę. – Co to jest? Dodatkowy prezent? Bezpłatna usługa?

– A niczego sobie. Ładna. – Hubaksis, do tej pory chowający się za żaluzjami, podleciał bliżej. – Może ją sobie zostawimy?

– Ja ci pokażę „zostawimy”! – nie zgodził się Kreol. – Tego mi tylko teraz brakowało, żeby zajmować się niewolnicami! Nie, najpierw trzeba się rozejrzeć, zająć dobrą pozycję, zbudować jakiś pałac… chociaż nie, nie pałac – od razu zacznę od kocebu. Potem kupię sobie choćby cały harem. Chociaż rzeczywiście, ładna…

W zasadzie Kreolowi bardziej podobały się czarnoskóre ślicznotki, ale nie był zbyt wybredny w tej materii.

– W każdym razie wszystkie moje rzeczy są tutaj – burknął, wieszając amulet na szyi. Laskę położył obok siebie, żeby w razie czego od razu ją chwycić. Pozostałe przedmioty zostawił na razie tam, gdzie rzucił je demon. Za to maga bardzo zainteresował pistolet Vanessy.

– Gromowładny amulet? – rzekł z powątpiewaniem, oglądając broń ze wszystkich stron. – Dziwne, nie czuję magii.

Kreol dość szybko domyślił się, do czego służy spust i natychmiast go nacisnął. Rozległ się jeszcze jeden wystrzał i w ścianie pojawiła się równiutka dziura. Gdyby na miejscu Kreola znalazł się inny człowiek z jego czasów, natychmiast wyrzuciłby przerażające *coś,* ale doświadczony mag przywykł, że znajdujące się w jego rękach przedmioty często robią „bum” i niszczą ściany.

– Pożyteczna rzecz, panie – odezwał się Hubaksis. – To może chociaż to zatrzymamy?

– Tak, to przydatny przedmiot – zgodził się Kreol. – Ciekawe, kim

ona jest, maginią? Ale w takim razie, dlaczego tak łatwo zasnęła? Nawet nie spróbowała stworzyć ochrony.

– Może uczennica? – kontynuował dżinn. – Niedoświadczona?

– Zaraz zapytamy – burknął mag, zdejmując zaklęcie Uśpienia.

Pierwsze, co zrobiła Vanessa, gdy odzyskała przytomność – zaczęła wrzeszczeć. Krzyk umilkł dopiero wtedy, gdy Kreol wymierzył jej siarczysty policzek. Dziewczyna zamilkła i powiedziała coś w niezrozumiałym języku. Kreol tylko wzruszył ramionami.

– Odpowiadaj: kim jesteś? – zażądał posępnie. – Odpowiadaj szybko, bo inaczej skończy się moja cierpliwość. No więc?

Dla pewności pogroził jeszcze laską. Laska nie była jeszcze napełniona zaklęciami, ale poza magiem nikt o tym nie wiedział. Dziewczyna jednak nie przestraszyła się – po prostu nie traktowała laski jako broni. Wtedy Kreol skierował w jej stronę pistolet, co okazało się znacznie bardziej skuteczne. Nigdy przedtem Vanessie nie zdarzyło się stać naprzeciwko lufy pistoletu i uczucie to wcale się jej nie spodobało.

– Aha, wiesz co to takiego! – wykrzyknął mag z zadowoleniem. – Mów szybko, dzikusko!

– Nie rozumiem co pan mówi – burknęła Vanessa, nieznająca ani słowa po starosumeryjsku. Powtórzyła te słowa po angielsku, po chińsku i po hiszpańsku, z okropnym akcentem, ale ten wstrętny facet nadal nic nie rozumiał.

Kreol natomiast wypowiedział swe pytanie po staroegipsku, starohebrajsku, w języku hetyckim i fenickim. Niestety, we współczesnym świecie tylko nieliczni ludzie mówią w jakimkolwiek z tych języków. Istniało nikłe prawdopodobieństwo, że Vanessa mogłaby zrozumieć jedno czy dwa słowa po starochińsku, ale tego języka Kreol akurat nie znał. Chociaż władał mnóstwem języków, z których wiele nawet nie było ludzkimi.

– Głupia dzikuska! – fuknął mag. – Bełkocze w jakimś barbarzyńskim narzeczu…!

Zauważywszy, że Vanessa bardzo nerwowo spogląda na lufę pistoletu, Kreol odłożył go na bok. To ją nieco uspokoiło. Na Hubaksisa także spoglądała trochę niepewnie, ale bez strachu. Filigranowy dżinn mógłby wystraszyć każdego, ale tylko pod warunkiem, że byłby co najmniej pięć razy większy.

– Niewolniku, przygotuj mi pieczęć Ronowa! – Kreol pstryknął palcami, wyraźnie podjąwszy jakąś decyzję.

– Czy dobrze rozumiem, panie…?

– Bez dyskusji! – warknął mag. Przez lata przebywania z Hubaksisem nauczył się jednego – temu dżinnowi nie wolno pozwalać na zbyt dużo. Natychmiast zapominał, gdzie jego miejsce.

– Słucham pokornie, panie – zasępił się Hubaksis.

Pieczęć Ronowa przypominała nieco skomplikowany schemat elektryczny z dwoma zakrętasami po bokach i dodatkowym kółkiem z lewej strony.

– Wzywam cię i zaklinam, duchu Ronów! – zmęczonym głosem powiedział Kreol. – Spróbuj tylko nie przyjść. Mam umowę!

Umowa, zawarta niegdyś między wielkim magiem a Władcą Demonów Eligorem, nadal działała znakomicie. Demon Ronów zjawił się natychmiast. Był niewysoki, brodaty, miał bardzo grube, wysunięte do przodu wargi i niebieskawe włosy. Mógł jeszcze poszczycić się ziemistą cerą i szorstkimi rękami z kikutami palców.

– Przybywam na twe wezwanie, magu – zadudnił basem Ronów. – Ja, Ronów, demon demonów, zdolny uśmiercać wrogów i uczyć języków, stoję przed tobą, oczekując na rozkaz.

– Naucz tę kobietę prawdziwego języka – rzucił Kreol.

– Proszę sprecyzować rozkaz. – Demon skrzyżował ręce na piersiach. – Prawdziwego, to znaczy jakiego?

– Tego, w którym mówię, ty bezmózgi tworze Lengu! – fuknął mag ze złością.

– Panie… – nieśmiało spróbował wtrącić się Hubaksis.

– Nie teraz, niewolniku!

– Zrobione! – Demon kiwnął głową, zamknąwszy oczy na kilka sekund. – Od tej chwili będzie rozumiała wszystko, co zechcesz do niej powiedzieć, magu. A teraz żegnaj. Nieprędko znów się spotkamy.

Kreol popatrzył na ciągle jeszcze przecierającą oczy Vanessę i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

– Wspaniale… – wymamrotał.

– Panie, być może się mylę, ale czy nie lepiej byłoby, gdyby Ronów nauczył nas języka tych czasów? – zaproponował Hubaksis. – Wygląda na to, że nam się jeszcze przydadzą…

– Co tam bełkoczesz?… – zmarszczył się Kreol. – Co tam jeszcze… A niech to, oczywiście! O wielki Marduku, jaką głupotę zrobiłem! Aaa…!

Po tych słowach wyrzucił z siebie kilka najgorszych sumeryjskich przekleństw.

– Ej, a teraz rozumiem! – ucieszyła się Vanessa, jednocześnie starając się pojąć, dlaczego nagle dziwne dźwięki układają się w słowa i zdania, i jak to się dzieje, że może mówić w tym języku.

– Oczywiście, że rozumiesz, głupia kobieto! – fuknął Kreol, opanowawszy gniew. – Na mój rozkaz demon Ronów nauczył cię prawdziwego języka!

– Co masz na myśli, mówiąc „prawdziwy”? – burknęła Vanessa.

Pierwszy strach zaczął mijać, a dziewczyna od dzieciństwa wyróżniała się mocnymi nerwami. Ostatecznie podczas pracy zdarzało jej się spotykać gorszych typów, a i wszystkie te sztuczki na pewno

dadzą się jakoś wyjaśnić…

– A wy co, umówiliście się? – Kreol aż plasnął w ręce niecierpliwie. – Prawdziwy język to sumeryjski! Język wielkich miast Ur, Yolange i Babilonu!

– Co ty gadasz? – obruszyła się dziewczyna. – Nawet ja wiem, że Sumeryjczycy wymarli diabli wiedzą ile wieków temu. Babilon został zburzony. A o tych dwóch starych miastach w ogóle nie słyszałam.

Kreol złapał za ochronny amulet, a potem szybko wymruczał modlitwę za zmarłych.

– No cóż, panie, przypuszczaliśmy przecież, że wszyscy wymrą, nieprawdaż? – filozoficznie zauważył Hubaksis, rozkładając ręce. – Za dużo lat minęło…

– Masz rację, niewolniku… – odburknął Kreol. – No cóż, nie będę już Pierwszym Magiem… Trzeba będzie stworzyć własną Gildię. A może lepiej podbić cudzą?

– To może być trudne, panie – ostrożnie zauważył Hubaksis. – Kiedy ty byłeś Pierwszym Magiem…

– Tak, tak, pamiętam. – Kreol rozpłynął się w pełnym zadowolenia uśmiechu. – Ja takich zdobywców… ha! No dobrze, pożyjemy, zobaczymy, co ma do zaoferowania ten świat.

Vanessa patrzyła to na jednego, to na drugiego, starając się zrozumieć o czym rozmawiają te dziwne stworzenia. Niestety, w dzieciństwie Van wolała czytać kryminały i oglądać komiksy o superbohaterach. W historii orientowała się kiepsko. W bajkach, mitach i innych głupotach – jeszcze gorzej.

– Dlaczego ukradliście te wszystkie rzeczy? – zapytała, zauważywszy laskę leżącą nadal obok Kreola.

– Co? – Taka bezczelność wyprowadziła maga z równowagi. – Że niby ja je ukradłem? Ja? Po prostu wziąłem to, co należało do mnie od początku. To wy ukradliście moje narzędzia! Wy, bezczelni złodzieje!

– Co za głupoty gadasz?! – fuknęła Vanessa. – Te artefakty znaleziono podczas wykopalisk w grobowcu cesarza, czytałam napisy na gablotach. Co ty masz z tym wspólnego?

– Cesarza? – zdziwił się Hubaksis. – Panie, czy ona mówi o tobie?

– Pochlebia mi to, oczywiście, ale nigdy nie rządziłem niczym większym od mojego pałacu – uśmiechnął się Kreol. – Prawdziwy mag kicha na cały ten zgiełk. Władza cesarzom, a magia – magom. Magia! Magia, a nie władza – oto co naprawdę cenię. Ale masz rację, kobieto, rzeczy wydobyto z grobowca. Z mojego grobowca! Co za bezczelność – jeśli ktoś umarł, to znaczy, że już można go okradać, tak? Leży sobie człowiek, nikomu nie wadzi… ale nie, trzeba koniecznie przyjść, rozdrapać co cenniejsze fanty, a jego samego przenieść w jakieś nieznane miejsce! Powiedz lepiej, gdzie mnie przytaszczyli. Co to za bezbożne miejsce?!

Vanessa powoli zamrugała, przyswajając informacje, które eksplodowały z maga.

– Panie, gdy tak szybko mówisz, ja też nic nie rozumiem… – zauważył Hubaksis.

– Stop! – Dziewczyna powoli podniosła rękę. – Stop, stop, stop, stop… Chcesz powiedzieć, że to ty leżałeś w tej trumnie?

– W końcu dotarło! – fuknął mag.

– Czyli to był twój grób! Kim jesteś – Draculą czy kimś takim? – Vanessa cofnęła się mimo woli.

– Pierwsze słyszę. – Kreol wzruszył ramionami. – Co masz na myśli, kobieto?

– A w takim razie, kto to jest? – Vanessa histerycznie pokazała palcem Hubaksisa. – Wróżka Zębuszka? Czy Piaskowy Dziadek? Co za cuda tu się dzieją?

– To jest najzwyklejszy dżinn – posępnie odpowiedział mag. – Hubaksis. Ach, zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Kreol.

– Bardzo mi miło, Vanessa Lee, można mówić po prostu Van. Dżinn… mówisz? Jak w arabskich „Baśniach z tysiąca i jednej nocy”?

– Jakich znowu nocy? – znowu nie zrozumiał mag. – Ar… baskich? Nie znam takiego słowa.

– No jak w bajce o Aladynie – wyjaśniła Vanessa, czując się przy tym strasznie głupio. – Tam było o magicznej lampie, w której mieszkał dżinn. Gdy się ją potarło, wychodził i spełniał życzenie… Kreskówka taka była, Disneya.

– Diss-nej? – upewnił się Kreol. – Znajome imię, gdzieś słyszałem… O jakiej znowu lampie mówisz? Co mają wspólnego dżinny z lampami?

– No jak to co…? – Vanessa zakręciła palcami, czując, że coraz bardziej traci wątek.

Kreol i Hubaksis z niedowierzaniem spoglądali na siebie. Do maga powoli zaczynało docierać, że pięć tysięcy lat to naprawdę długi okres i będzie potrzebował mnóstwa czasu, żeby zorientować się, o co chodzi w tym nowym świecie.

– Mogę włączyć światło? – spytała Vanessa, zmieniając temat. – Ciemnawo tu coś.

Kreol nie do końca rozumiał, o czym mówi ta kobieta – nie widział w pobliżu ani pochodni, ani świeczników, ani innych przedmiotów dających światło. A już zupełnie nie wiedział, jak można „włączyć” światło. Ale nie widział w tym żadnego zagrożenia dla swej osoby, więc zdawkowo kiwnął głową na znak zgody.

Należy wyjaśnić, że pokój wynajmowany przez profesora Greena znajdował się akurat naprzeciwko gigantycznego neonu, wiszącego na budynku po drugiej stronie ulicy, więc przedmioty można było rozróżnić nocą nawet przy wyłączonym świetle. Zresztą dlatego

gospodarz wynajmował go za trzy czwarte normalnego czynszu – nie wszystkim podobało się, że nocą w oknie świeciłaby im taka łuna.

Vanessa pstryknęła kontaktem i dżinn zawył z zaskoczenia, oślepiony światłem zalewającym pokój. Kreol także podskoczył, jakby ktoś ukłuł go szydłem w tyłek, ale natychmiast się opanował.

– Magiczne oświetlenie, i tyle – uśmiechnął się, patrząc na żyrandol. – Chociaż magii nadal nie czuję, a to dziwne.

Rozdział 2

W końcu, niegłupiej przecież Vanessie, udało się wyjaśnić, o co chodzi. Historia, którą opowiedzieli jej Kreol i Hubaksis brzmiała nieprawdopodobnie, ale dowody były całkiem przekonywające. Demony, które widziała na własne oczy, najprawdziwsza magia, nieznany język opanowany w ciągu sekundy, wygląd Kreola i oczywiście dżinn. Wszystko to mogło przekonać nawet większego niedowiarka.

Kreol, początkowo traktujący Vanessę z pogardą, po pewnym czasie zainteresował się jej opowieścią… no, przynajmniej jej znaczną częścią. Za nic na świecie nie przyznałby się nawet przed samym sobą, ale w głębi duszy bał się wyjść na ulicę i znaleźć się tam, pośród tych zaczarowanych świateł, gigantycznych domów i okropnych ludzi władających takimi strasznymi miotającymi gromy amuletami. Dziewczyna ani trochę nie wyglądała jak magini, a to znaczyło, że takie przedmioty są w tym świecie czymś normalnym. Uciekając ze swoich czasów, nie przypuszczał, że świat zmieni się *aż tak*. Zaczął nawet zastanawiać się, czy aby nie popełnił pomyłki. W końcu z Eligorem można było się dogadać…

Natomiast Vanessa całkiem otrząsnęła się z lęku. Oczywiście, to wydawało się dziwne, lecz człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, a po bliższym poznaniu Kreol okazał się całkiem przyzwoitym gościem. Szczególnie gdy już się uspokoił i zaczął trzeźwo myśleć.

Do tego w Van obudził się duch handlowca. W głębi duszy często marzyła, że szybko się wzbogaci, a teraz nagle pojawiła się przed nią taka możliwość. Na razie nie wiedziała jeszcze, jak Kreol miałby jej w tym pomóc, ale przecież sam powiedział, że w poprzednim życiu żył w pałacu i posiadał mnóstwo niewolników, a to znaczy, że magowie dobrze zarabiają. A tutaj, gdzie praktycznie nie ma konkurencji, będzie jeszcze łatwiej. Co prawda od razu odrzuciła przestępczość. Oczywiście, magia Kreola umożliwiłaby bezkarne wypatroszenie paru banków, ale na samą myśl o naruszeniu prawa sumienie policjantki oraz wnuczki policjanta zaczynało się buntować.

Vanessa zastanowiła się chwilę i zdecydowała się pomyśleć o tym później. Najpierw trzeba pomóc nowemu znajomemu zadomowić się we współczesnym świecie, a dopiero potem można zabrać się za planowanie. W muzeum nic nie będą od niej chcieli do samego rana, więc o tym też można było nie myśleć. Van w zadumie pokiwała głową i zdecydowanie wzięła w swoje kobiece ręce los przybyszów z przeszłości.

– Na początek musimy się stąd wynieść – zarządziła. – Nie wiem, kiedy wróci profesor Green, ale lepiej na niego nie czekać.

– Kto wróci? – Kreol spojrzał na nią spod oka. – O czym mówisz, kobieto?

– Profesor Green – cierpliwie wyjaśniła Vanessa. – W waszym świecie byli profesorowie?

Jako że w sumeryjskim, który tak nieoczekiwanie opanowała, nie istniało takie słowo, można było się bez trudu domyślić, że pięć tysięcy lat temu profesorowie nie istnieli, ale Van wolała się upewnić.

– Nie wiem, jak ich nazywaliście – zbagatelizowała. – Mędrcy, filozofowie, myśliciele…

– O czym mówisz, kobieto? Co ma do tego jakiś filozof?!

– To człowiek, który tutaj mieszka! – wyjaśniła Vanessa z niecierpliwością. – Ten, który przyniósł tu trumnę i… ciebie.

– I mnie, panie, i mnie! – przypomniał o sobie Hubaksis.

– Tak, i ciebie – burknęła Vanessa.

– A, to tak! – zrozumiał w końcu Kreol. – A po co mamy gdzieś chodzić? Niech no tu tylko przyjdzie, tak go podsmażę…! Od razu załaduję laskę i choćby był nawet potrójnym magiem, przerobię go na pokarm dla robaków, na Tiamat i jej wodza Kingu!

– Nawet o tym nie myśl! – zdenerwowała się Vanessa. – Nie wolno zabijać ludzi!

– Dlaczego? – zdziwił się Kreol.

– No właśnie, dlaczego? – jeszcze bardziej zdziwił się Hubaksis. – Pan i ja zabiliśmy wielu różnych ludzi, dlaczego teraz nie wolno?

– Nie interesuje mnie, co się z wami działo w starożytnym Babilonie! – podniosła głos Vanessa. – Teraz jesteście w San Francisco, więc bądźcie uprzejmi przestrzegać prawa! Inaczej nie pomogę wam i róbcie sobie co chcecie!

Kreol zbaraniał. Za jego czasów, w Sumerze, kobieta zajmowała miejsce gdzieś między meblami a domowymi zwierzętami. Żadna z jego niewolnic nie śmiałaby nie tylko rozmawiać z nim, ale nawet spojrzeć mu prosto w oczy. A ta wrzeszczy na niego, jakby to było całkiem normalne. Początkowo Kreol chciał się rozzłościć, ale mag raczej nie lubił pochopnie podejmować decyzji. Zwłaszcza po tej pamiętnej. Pomyślawszy chwilę, przypomniał sobie, że w niektórych narodach kobiety były równe mężczyznom, a nawet chyba słyszał o takim, gdzie rządziły. Dlatego postanowił wybaczyć głupiej dzikusce i przez jakiś czas traktować wyrozumiale jej dziwactwa.

– Ale on zabrał nas z mogiły do siebie, do domu – po chwili namysłu powiedział dżinn. – Okradać groby też nie jest dobrze.

– O czym wy mówicie? – zdziwiła się Vanessa. – Przecież to była ekspedycja archeologiczna, rozumiecie? Jeśli grób ma tyle lat, to już nie jest grobem, tylko zabytkiem! Skąd profesor miał wiedzieć, że nie całkiem umarliście?

– Ja tam umarłem całkowicie – sprostował Kreol. – Po prostu

potem zmartwychwstałem.

– Nieważne jak było – zbagatelizowała Van. – Spróbujcie tylko sobie wyobrazić jego minę, kiedy wróci i zobaczy pustą trumnę.

Kreol wyobraził sobie i rozchylił usta w uśmiechu. Przez chwilę jeszcze walczył z wątpliwościami, ale w końcu zgodził się wybaczyć także profesorowi.

– Niech tak będzie, zabierajmy się stąd. – Ugodowo kiwnął głową. – Gdzie jest wyjście z tego niedorzecznego domostwa?

– Ej, ej, poczekaj no, poczekaj. – Vanessa podniosła ręce. – Masz zamiar tak się wybrać na ulicę?

– A co ze mną jest nie tak? – znowu obraził się Kreol.

– No, nie wiem jak tam u was, w starożytnym Sumerze, ale u nas po ulicy nie spacerują zombi w rozsypujących się szmatach! Gdybym teraz była na służbie, natychmiast bym cię aresztowała.

– Jeśli wolno mi się odezwać, panie, w Babilonie też by cię zatrzymał pierwszy napotkany strażnik – uprzejmie dodał Hubaksis. – Żywych trupów nigdzie nie lubią.

– Może zrobisz jakąś sztuczkę, żeby doprowadzić się do porządku? – zapytała Van z nadzieją. Miała ogromną ochotę jeszcze raz przekonać się, że trafiła na prawdziwego cudotwórcę.

– Właśnie, panie, wezwij demona-uzdrowiciela! – zaproponował dżinn z entuzjazmem. – Na przykład Walefora.

– Demony szybko mi się skończą, jeśli będę wzywał je do każdej bzdury – odgryzł się Kreol. – Nie zapomniałeś czasem o charakterze mojej umowy? Jedno życzenie, a potem czekaj sobie jedenaście lat. W legionie Eligora jest raptem sześćdziesiąt demonów, a wszystkie chciwe, trzeba im płacić… A ja mam tylko jedną duszę i nie zamierzam znowu jej sprzedawać! Jeden raz wystarczy. Nie, damy sobie radę sami.

Zaklęcie Uzdrowienia mag miał już gotowe. Wymamrotał słowo-aktywator i przeciągnął ręką po twarzy. Na wynik nie trzeba było długo czekać. Jego skóra wróciła do normalnego stanu, chociaż w dotyku nadal była zimna jak u gada. Oczy nabrały zwyczajnej szarej barwy i tylko białka pozostały odrobinę zaczerwienione, ale to zdarza się wielu ludziom. Jedynie włosy nie odrosły, ale do tego zwykłe zaklęcie leczące nie wystarczy.

– Wyglądasz znacznie lepiej! – zachwyciła się Vanessa.

Z nową twarzą Kreol nieco przypominał mieszkańca Kaukazu albo Araba, ale było to i tak znacznie lepsze od poprzedniej twarzy jak u potwora Frankensteina. W poprzednim życiu dożył do dziewięćdziesiątki, ale teraz wyglądał co najwyżej na czterdziestkę.

– A dlaczego tylko twarz? – spytała Van po namyśle, przyglądając się dokładniej Kreolowi.

Rzeczywiście, od ramion w dół wszystko zostało po staremu. Ta

sama skóra biała jak brzuch zdechłej ryby, liczne ubytki, a w kilku miejscach – wręcz otwarte rany. Największa i najwstrętniejsza dziura znajdowała się na samym środku piersi, tak że można było podziwiać przez nią wystające żebra.

– Mogę zająć się całością, ale to potrwa długo – beztrosko odpowiedział Kreol. Jego samego nic to nie obchodziło; najważniejsze, że organizm działał normalnie.

– Dobrze, i tak pod ubraniem nikt nie zobaczy – niechętnie zgodziła się Van. – Tylko ubranie też trzeba zmienić.

– A co ci się znowu nie podoba w moim okryciu?

– Panie, spójrz na siebie! – zachichotał Hubaksis. – W Babilonie najgorszy włóczęga był lepiej ubrany!

– U nas też – przytaknęła Vanessa. – Trzeba sprawdzić, może profesor trzyma tutaj jakieś ciuchy?

– A może ma jakieś jedzenie? – zapytał dżinn z zaciekawieniem. – Wiesz Van, nic nie jadłem od pięciu tysięcy lat.

– Trzeba zajrzeć do lodówki. Myślę, że nie będzie miał nam za złe, jeśli trochę sobie weźmiemy.

Lodówka stała się tuż obok. Ani mag, ani dżinn do tej pory nie zwrócili na nią uwagi, bo nawet im do głowy nie przyszło, że takie cudo istnieje.

– Niczego sobie! – zachwycił się Hubaksis. – Mrożący kufer!

– Nic szczególnego – wydął wargi Kreol. – W pałacu miałem całą piwnicę. Nałożyłem na nią specjalne zaklęcie, żeby jedzenie się nie psuto, pamiętasz?

– Pamiętam ile złota sypnął nam imperator, gdy zrobiliśmy mu taką samą. – Dżinn pokiwał głową.

– Dobrze jest być czarnoksiężnikiem… – westchnęła Vanessa z zazdrością, grzebiąc we wnętrzu lodówki.

– Magiem, kobieto, magiem! – Kreol zmarszczył się z niezadowoleniem.

– A co za różnica?

– Ogromna! – mag podniósł głos. – Podobałoby ci się, gdybym nazwał cię dziwką?

– Ej, uważaj, co mówisz, draniu! – wzburzyła się Van. – Myślisz, że jeśli umiesz czarować, to możesz obrażać innych?

– Widzisz, nie podoba ci się. – Kreol uśmiechnął się zjadliwie. – A taka jest mniej więcej różnica. Mag jest artystą, dla mnie magia jest sztuką. Od nikogo nie zależę, robię co zechcę. Czarnoksiężnik to niewolnik, co sprzedaje duszę demonowi w zamian za magiczną siłę. Mag może być białym, czarnym albo szarym, jak ja. Czarnoksiężnik – tylko czarnym. Granica między magiem a czarnoksiężnikiem jest bardzo subtelna, ale istnieje! Na łono Tiamat, po to sam siebie pochowałem żywcem, żeby nie przekroczyć tej granicy! Żeby

uratować **DUSZĘ,** oto dlaczego przeniosłem się do tego świata!!! Rozumiesz, bezmózga dzikusko?!!

Z każdym zdaniem w Kreolu narastała złość, a po słowie „dusza" ryczał jak wściekły mamut. Jednak i Hubaksis, i Vanessa patrzyli obojętnie na szalejącego maga. A to go złościło jeszcze bardziej.

– Wybacz, nie wiedziałam. – Dziewczyna beztrosko wzruszyła ramionami, kiedy w końcu Kreol opadł z sił. – Dobra, na razie jedzcie, a ja poszukam, w co by cię można było wystroić.

Na pospiesznie napełnionym przez dziewczynę talerzu pyszniła się kurza nóżka, kawałek pizzy, rozcięty na pół pomidor i dwa ogórki konserwowe. Obok stały dwie puszki – z piwem i coca-colą. W lodówce nic więcej nie udało się znaleźć, profesor dość rzadko jadał obiady w laboratorium.

Pizza bardzo spodobała się Hubaksisowi. Mimo swych rozmiarów, dżinn miał apetyt godny pozazdroszczenia. Nóżkę i ogórki zjadł Kreol. A pomidor obu ich zadziwił.

– Jaki dziwny owoc – mruknął mag, oglądając nieufnie pomidora. – Jak myślisz, niewolniku, jest trujący?

– Nie wiem, panie. Może każemy najpierw spróbować kobiecie?

– Nie. – Mag pokręcił głową. – Nie chcę, by pomyślała, że jestem tchórzem. Ty spróbuj, niewolniku.

– Ależ, panie…

– Próbuj! Do kogo mówię?!

Hubaksis fuknął ze złością, ale odgryzł kawałeczek. A potem wgryzł się z całych sił.

– Jakie smaczne, panie! – zakrzyknął. – Nigdy wcześniej nie próbowałem niczego podobnego!

– Tak? – Kreol pełen wątpliwości odgryzł kawałek. – Masz rację, niewolniku! No już, oddaj mi swoją część!

Oburzony Hubaksis zawył i jak najszybciej mógł, wpakował do paszczy to, co jeszcze zostało z pomidora. Za co od razu dostał po łbie. Ale niezbyt mocno – z powodu maleńkich rozmiarów dżinna, Kreol bał się walnąć go z całej siły. Wcale nie miał ochoty zamienić stosunkowo przydatnego niewolnika w maleńkiego trupka.

– A co to takiego? – Kreol zajął się puszkami. – Zdaje mi się, że coś w środku chlupie.

– Moim zdaniem to taki metal – zasugerował dżinn. – Tylko jak wydostać to, co jest w środku?

Kreol jeszcze raz obmacał puszkę. Kółeczko, za które należało pociągnąć, w ogóle go nie zainteresowało – wziął je za ozdobę. Żadnych otworów nie znalazł.

– Pozwolisz panie, że sprawdzę, co jest w środku? – zaproponował Hubaksis.

Kreol w milczeniu kiwnął głową i dżinn wskoczył do środka przez

ścianę puszki. Z wnętrza natychmiast rozległo się apetyczne chłeptanie – trafił na piwo.

– Wspaniały napój, panie! – Napęczniały dżinn wypełznął na zewnątrz. – Trochę przypomina piwo, ale jest znacznie lepszy. Niestety, nic tam już nie zostało. Pozwolisz, że sprawdzę drugie naczynie?

– Obejdzie się! – oburzył się Kreol. Dokładnie obejrzał puszkę i z całej siły cisnął nią o ścianę. Puszka pozostała cała. Uderzenia laski także nie były w stanie rozbić wytrzymałego metalu. Wtedy Kreol uniósł rytualny nóż. Magiczne ostrze, zdolne przeciąć kamień jak kawałek masła, bez trudu rozpruło puszkę, niszcząc podłogę i zostawiając na niej dużą czarną kałużę.

– Wiesz panie, to smakuje zupełnie inaczej – w zamyśleniu oznajmił Hubaksis, pociągając łyk z ocalałej połówki. – Ale też jest niezłe.

– Niezłe – zgodził się Kreol, dopijając to, co udało się ocalić. – Dziwne uczucie, jakby w tym płynie było dużo malutkich bąbelków.

– Co żeście tu beze mnie narobili? – westchnęła Vanessa, stając na progu.

Kreol i Hubaksis najeżyli się w poczuciu winy.

Z ubraniem Vanessa męczyła się dość długo. Najprawdopodobniej profesor Green wykorzystywał swoje drugie mieszkanie także jako skład niepotrzebnych rzeczy. Znalazła aż trzy szafy nabite po brzegi starą odzieżą. Mogłoby się wydawać, że wybór jest ogromny – od piżamy do stroju do pochówku (o dziwo, znalazła nawet i to). Z tym że pojawił się jeden drobny problem – rozmiar. Kreol miał całkiem imponującą figurę – był wysoki, szeroki w barach, talię i biodra miał wąskie. Profesor na odwrót, był niski i pulchny. Każda jego rzecz wyglądałaby na rosłym magu nie lepiej niż obecne ubranie. Nawet bielizna osobista.

W końcu Vanessie mimo wszystko udało się znaleźć coś odpowiedniego. Prawdopodobnie strój należał do syna profesora albo do kogoś z jego krewnych. Tak czy inaczej wyglądał jak uszyty dla Kreola na miarę. I wątpliwe, czy był noszony więcej niż jeden raz. Szkoda tylko, że frak nieszczególnie nadaje się do nocnych spacerów po mieście. Zazwyczaj takim strojem można pysznić się na proszonych kolacjach i uroczystych przyjęciach. Ale nie było z czego wybierać.

– Jakie… dziwne… ubranie – wysapał Kreol, bezskutecznie próbując wciągnąć lewą nogawkę. – Jesteś pewna, że wasi mężczyźni noszą coś takiego?

Oczywiście, że jestem – powiedziała Vanessa z odrobiną niepewności w głosie. – To bardzo dobry frak i świetnie na ciebie pasuje, a to najważniejsze. Jutro kupię ci coś innego.

– Nie wierzę, że w tym można się normalnie poruszać – burknął

Kreol, zginając ręce. Nie był w najmniejszym stopniu przyzwyczajony do takiej odzieży, więc utrudniało mu to poruszanie. – No nic, rozkręcę się jak należy, wypełnię Plan – słowo „plan" zdawał się wymówić dużą literą – i wszystkich przebiorę w normalne rzeczy…

– A co nosili w starożytnym Egipcie?

– W jakim znowu Egipcie, jestem z Sumeru! – odgryzł się Kreol.

– Oj, wybacz, zapomniałam. – Vanessa uśmiechnęła się wesoło. – No więc co tam nosili?

– W Babilonie nosili płaszcze, tuniki, kaftany – odpowiedział Hubaksis. – Do tego pan nigdy nie pokazywał się bez dwóch skrzyżowanych szarf. A pantalonów nikt u nas nie nosił. To barbarzyński strój.

– Po pierwsze, to nie pantalony, tylko spodnie. – Vanessa ujęła się za współczesną modą. – Po drugie, wcale nie barbarzyński tylko bardzo wygodny – sama tak chodzę.

– Kobieta w pantalonach?! – Kreol dopiero teraz zwrócił uwagę na strój Vanessy. – Co za wstrętny widok!

– No mój drogi! – Vanessa obraziła się jeszcze bardziej. – Lepiej byś porzucił te swoje przestarzałe poglądy – na świecie jest dwudziesty pierwszy wiek!

– Dwudziesty pierwszy? – zasępił się Kreol i zaczął coś liczyć na palcach. – A od jakiego wydarzenia liczycie? Za moich czasów mieliśmy sześćdziesiąty wiek po Wielkim Potopie…

– A co znowu za potop? – zbagatelizowała Vanessa. – Liczymy lata od narodzin Chrystusa. Ale o tym opowiem ci później. W ogóle musisz się wiele dowiedzieć.

Vanessa cofnęła się i sceptycznie popatrzyła na ubranego maga. W nieznanym ubraniu było mu strasznie niewygodnie, z trudem powstrzymywał się od drapania tu i ówdzie. Ale ogólny obraz spodobał się jej – teraz Kreol przypominał wyłysiałego Jamesa Bonda. W takiej postaci nie powinien przynajmniej wywołać zdziwienia na ulicy.

– Brakuje krawata – powiedziała w zadumie. Nie znalazła porządnych krawatów – tylko kilka szmatek w strasznym kolorze, które zazwyczaj daje się w prezencie na urodziny, gdy zabraknie lepszych pomysłów. – Dobrze, dobrze, na początek może być. Zbieraj swoje rzeczy i idziemy.

Kreol zgarnął przedmioty zabrane z muzeum i znieruchomiał na środku pokoju, niezdecydowany. Wówczas Vanessa także zrozumiała, że z taką kupą złota w rękach będzie tak czy siak wyglądał podejrzanie, ruszyła więc na poszukiwanie jakiejś torby łub walizki. W końcu znalazła torbę z kijami golfowymi. Sądząc po ich wyglądzie, nie były używane co najmniej od zeszłego roku, Vanessa nie czuła więc specjalnych wyrzutów sumienia, wyrzucając wszystkie kije na

podłogę. Do opróżnionego pojemnika włożyli narzędzia Kreola. Co prawda nie wszystkie – tylko ruszt, czarę i łańcuch. Amulet został na jego szyi, a nóż wyśmienicie zmieścił się w lewej kieszeni spodni. Mag nie zgodził się też na rozstanie z laską, motywując, że jest to najcenniejsza rzecz ze wszystkiego co ma i wolałby już wyrzucić resztę. Van musiała szybciutko odświeżyć całą swą wiedzę na temat krawiectwa i dorobić pod połą fraka coś w rodzaju dwóch pętelek ze sznurka, w które wsunęli laskę. Kreol upewnił się, że może wyciągnąć ją jednym ruchem ręki i to go zadowoliło.

– Teraz trzeba jakoś otworzyć drzwi – powiedziała w zamyśleniu. – Oczywiście, profesor zamknął je od zewnątrz… Nie masz czasem przy sobie karty kredytowej? A w ogóle o co ja pytam… Dobrze, zaraz coś wymyślę…

– Otworzyć drzwi? – Kreol uśmiechnął się pod nosem. – Już się robi.

– Nawet o tym nie myśl! – krzyknęła Van, ale mag już uruchomił zaklęcie Błyskawicy.

Z ręki Kreola wystrzelił ogromny ładunek elektryczny, zamieniając i tak wielce żałosne drzwi w coś wiszącego na jednym zawiasie. Kreol z dumną miną popchnął smętny kawałek drewna, który z trzaskiem upadł na podłogę, podnosząc obłoczek kurzu.

– Sprytnie – westchnęła Vanessa, rozumiejąc, że już za późno na kłótnie. – A tak przy okazji, jeśli bez wysiłku władasz taką mocą, to może oddałbyś mi pistolet? Tak w ogóle noszenie broni bez pozwolenia podlega u nas karze!

Kreol wyciągnął broń, o której już zdążył zapomnieć. Amulet ochronny milczał, a to znaczyło, że dziewczyna nie żywi względem niego żadnych wrogich uczuć. Do tego w międzyczasie zdążył już odbudować jedną warstwę Osobistej Ochrony. Było to jedno z nielicznych zaklęć, których nie da się umieścić w lasce.

– Co to jest „pozwolenie” i skąd wiesz, że go nie mam? – zapytał podejrzliwie, wyciągając w jej stronę rękę z pistoletem.

– No, to jest… – spróbowała Vanessa, ale szybko się poddała. Mimo że mówiła po sumeryjsku tak, jakby był to jej ojczysty język, jednak wiele słów musiała, tak jak przedtem, wymawiać po angielsku. W sumeryjskim po prostu nie istniały pojęcia, jakie oznaczały. – Potem postaram się wyjaśnić…

Kreol zdecydowanie przestąpił przez rozwalone drzwi i ruszył na klatkę schodową. Hubaksis pomknął w ślad za nim.

– Ejże, poczekajcie! – zawołała Vanessa. – Nie wiem, jak tam było u was, ale u nas po ulicach nie latają dżinny. No już, szybko do torby!

– Van, a może lepiej schowam się u ciebie za pazuchą? – zaproponował dżinn. – Tam też nikt mnie nie zauważy, a będzie cieplej…

– Jeszcze czego! – oburzyła się, zauważywszy, z jakim pożądaniem gapi się na nią dżinn-liliput. – Schowaj się u swojego pana, jeśli boisz się zmarznąć!

– On jest zimny! I wstrętny…

– Nie zwracaj na niego uwagi. – Kreol machnął ręką z obrzydzeniem. – Nie jest wyjątkiem, dżinny ganiają za wszystkim, co się rusza. Jeśli to „wszystko" jest płci żeńskiej, jak dotąd nigdy nie słyszałem o dżinnach sodomitach.

– I tak nic mu z tego nie wyjdzie, należymy do różnych kategorii wagowych – z pogardą fuknęła Vanessa.

– Ej, ślicznotko, jeśli trzeba, mogę powiększyć się do twoich rozmiarów, wtedy zobaczysz! – Hubaksis rozpłynął się w uśmiechu. – Chcesz popatrzeć?

– Obejdzie się! Naprawdę potrafisz? – zapytała na wszelki wypadek Van.

– Może, może – zmęczonym głosem odpowiedział mag. – Na bardzo krótko, ale tyle mu wystarczy.

– I to jeszcze jak starczy! – potwierdził dżinn. – Do tej pory nikt nie narzekał!

– Trzymaj się jak najdalej ode mnie! – Van podsunęła pięść pod samą twarz Hubaksisa, a drugą ręką jednoznacznie dotknęła kabury.

– Uspokój się, kobieto. – Kreol spojrzał na nią spod oka. – Mój sługa ma za długi język, za to całą resztę króciutką. Nie wierzysz – zobacz sama. Pamiętam, w domu ciągle czepiał się moich niewolnic, a jak przyszło co do czego…

Mag popatrzył na dżinna i zaśmiał się obrzydliwie. Najwyraźniej przypomniało mu się coś śmiesznego. Hubaksis zasyczał ze złością i wyleciał przez sufit. Vanessa pomyślała z nadzieją, że o tej porze może na górze nikogo nie ma.

– Dam ci radę na przyszłość: lepiej zapomnij o słowie „niewolnik" – ostrzegła Kreola. – Niewolnictwa już nie ma.

– Co? Nie ma niewolnictwa? A kto zbuduje mi wieżę… i pałac… i całą resztę?! Co za barbarzyństwo, jak do tego doszliście?

– A tak, tak, doszliśmy – westchnęła Van. – O, wrócił potworkowaty Casanovą? Szybko do torby, do kogo mówię?!

– Wiesz, Van, jestem tylko *jego* niewolnikiem! – obraził się Hubaksis. – Nie mam obowiązku cię słuchać!

– Nie chcesz do torby, to nie właź – fuknął Kreol. – Ale w takim razie musisz się zmniejszyć.

– Tak już lepiej – burknął dżinn, zmniejszając się szybko, aż stał się nie większy od wyrośniętej mrówki. Teraz prawie nie można było go zauważyć.

– Mówiłeś przecież, że nie może zmienić się na długo – przypomniała Vanessa.

– Zwiększyć się nie może – poprawił ją Kreol. – A zmniejszyć, proszę bardzo, nawet na zawsze.

Winda nie działała. Być może gospodarz wyłączył ją na noc, a może po prostu ktoś ją zepsuł. Musieli zejść po schodach.

Po przejściu pięciu pięter Van dosłyszała, że Kreol coś burczy pod nosem. Zaczęła nasłuchiwać, ale słowa brzmiały niezrozumiale jak jakaś „abrakadabra".

– Z kimś rozmawiasz? – zaciekawiła się.

Niezadowolony mag rzucił na nią okiem i zaczął burczeć szybciej. Gdy pokonali jeszcze kilka stopni, skończył i odpowiedział:

– Szykuję zaklęcie. Należy wykorzystać każdą wolną chwilę, nigdy nie wiesz, kiedy się przyda.

– Super. A dużo znasz zaklęć?

– Zależy jakich – odpowiedział Kreol niechętnie. – Łatwych – jakieś sześćset… albo siedemset, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby je policzyć.

– A co, są i trudne?

– Oczywiście. Proste zaklęcie wystarczy wypowiedzieć na głos. Tacy mocni magowie jak ja, mogą i po cichu, ale to jest znacznie trudniejsze… a potem ono siedzi sobie w pamięci, dopóki nie postanowisz go użyć. Trudniejsze trzeba nie tylko wymówić, ale jeszcze wykonać czynności towarzyszące. Na przykład spalić zioła, rozlać wywar, krąg narysować, złożyć ofiarę… Zależy od okoliczności. Jak myślisz, do czego są mi potrzebne narzędzia?

– Rozumiem, rozumiem… – Vanessa zamyśliła się, wyobrażając sobie, jak można wykorzystać rzeczy z torby. – A do czego jest łańcuch?

– Żeby podporządkować sobie demony, z którymi nie mam umowy – skrzywił się Kreol. – Niemiła sprawa.

– A jakie masz zaklęcia? – Van nie chciała się odczepić.

– Różne!

– Ale jakie?

– Długo by wymieniać… – Mag zmarszczył brwi. – Znajdę trochę czasu, przepiszę moją księgę na pergamin, wtedy zobaczysz…

Co, można będzie poczytać? – zdziwiła się Vanessa. – Słyszałam, że czarnoksięż… oj, przepraszam, magowie nikomu nie opowiadają o swoich tajemnicach. I co, każdy może tak po prostu przeczytać zaklęcie, a ono zadziała?

– Też coś! – prychnął Kreol wzgardliwie. – Gdyby tak było, świat składałby się z samych magów! Nie, nie wystarczy po prostu przeczytać tekst, aby zastosować zaklęcie, trzeba się najpierw długo uczyć. A teraz nawet przeczytać nikt nie może, skoro nikt nie zna sumeryjskiego. Jeśli chcesz, potem opowiem ci więcej. Nigdy nie odmawiałem nauki magii innym…

Nie wiadomo dlaczego przy tych słowach Hubaksis ironicznie zachichotał.

Na ósmym piętrze Vanessa usłyszała, że Kreol znowu coś burczy pod nosem.

– A jakie zaklęcie teraz szykujesz? – spytała z ciekawością.

– Daj mu spokój – zapiszczał jej do ucha malusieńki dżinn. – Jeśli teraz przerwie, będzie musiał zacząć wszystko od początku. Tobie by się coś takiego spodobało?

– Aaa. – Van kiwnęła głową ze zrozumieniem. – A ile on może… no, utrzymać zaklęć?

– W pamięci – z jedenaście, dwanaście… W lasce – jeszcze z pięć razy tyle. Przeciętnie, oczywiście.

– To znaczy?

– No, jedne zaklęcia zajmują więcej miejsca, inne mniej. Trzęsienie Ziemi albo Piekielny Grad, na przykład, zajmują połowę pamięci albo jedną dziesiątą laski. A Światło, wręcz przeciwnie, można setkami zapamiętywać i jeszcze na coś innego miejsca zostanie…

– Trzęsienie Ziemi…? – zainteresowała się Vanessa. Wygląda na to, że jednak nie doceniła Kreola.

Recepcjonistka odprowadziła tę dwójkę zdziwionym wzrokiem. Mogłaby przysiąc, że nigdy wcześniej nie widziała tutaj ani łysego mężczyzny we fraku, ani Chinki w policyjnym mundurze. Ale pracodawcy kazali jej zatrzymywać wchodzących, a nie wychodzących, więc nic nie powiedziała.

Na ulicy Kreol zjeżył się. Był przyzwyczajony do cieplejszych okolic. Co prawda, San Francisco ma całkiem ciepły klimat, ale w październiku, do tego w nocy, było tam dość chłodno, a mag nie był odpowiednio ubrany.

Wpół do czwartej nad ranem to późna godzina (lub bardzo wczesna, zależy jak na to patrzeć), a laboratorium profesora znajdowało się dość daleko od centrum, na ulicach nie było więc tłoku.

Gdy czekali na taksówkę, Kreol zdążył wrzucić do pamięci aż trzy pełne zaklęcia.

– Tak, najważniejsze: nie bój się – szybko uprzedziła go Vanessa, przypominając sobie, jakie przerażenie budziły samochody w różnych cudakach z przeszłości, jakich widywała na filmach.

– Przecież wiem – odparł rozdrażniony mag. – Myślałby kto, samobieżny rydwan, miałem podobny. Nie bierz mnie za dzikusa, kobieto.

– No dobrze. – Vanessę ucieszyła jego reakcja. – W takim razie wsiadaj.

Właśnie jakiś kierowca zauważył jej znaki i taksówka zatrzymała

się przy krawężniku.

Kreol był przyjemnie zaskoczony, gdy odkrył, że za kierownicą siedzi Murzyn. Sam był w jednej czwartej Afrykaninem i miał dla czarnych więcej szacunku niż dla białych. Jeśli trafił się jeden czarnoskóry, to znaczy, że jest ich tu więcej. Kreol był zadowolony.

– Co, pani oficer, aresztowaliśmy kogoś? – wesoło zapytał kierowca.

– Nie. My… wracamy z balu karnawałowego. Tak, właśnie, to kostiumy z maskarady. – Vanessa znalazła wytłumaczenie. Nie miała ochoty przyznawać się, że jest prawdziwą policjantką, chociaż było to tchórzostwo.

– Tak, tak, rozumiem – przytaknął szofer.

W rzeczywistości nie uwierzył jej. Doświadczone oko starego taksówkarza od razu dostrzegło, że w kaburze dziewczyny tkwi prawdziwy pistolet, a nie atrapa. Ale po co ma się wtrącać w nie swoje sprawy? Ma dość własnych problemów.

– Dokąd jedziemy? – podejrzliwie zapytał Kreol.

– Do mnie, do domu – odpowiedziała Van. – Pomieszkacie tam kilka dni, a potem poszukamy czegoś lepszego.

– Na początek trzeba się zaopatrzyć w pieniądze. Zdobądź mi pomieszczenie do odprawiania rytuałów, kobieto, a szczodrze cię wynagrodzę.

Odpowiadało to w pełni planom Vanessy, kiwnęła więc z zadowoleniem głową. Kierowca obserwował ich we wstecznym lusterku, starając się zgadnąć, w jakim języku rozmawiają.

Vanessa mieszkała na przeciwnym krańcu miasta, w niemalże takim samym domu, jak ten, który opuścili.

Wynajmowała mieszkanie na spółkę z koleżanką Louise McDougal, kasjerką z supermarketu.

– Tylko cicho – uprzedziła, otwierając drzwi. – Jeśli czegoś nie zrozumiecie, pytajcie mnie. Nie czarować bez pozwolenia, nie wychodzić z domu, nie hałasować za bardzo. Jasne?

– Panie, kto tu jest najważniejszy? – zapiszczał Hubaksis z pretensją.

– Milcz, niewolniku – dobrodusznie nakazał Kreol.

Okazało się, że mieszkanie Vanessy i Louise jest tylko trochę większe od pracowni profesora Greena. Ale za to był tu telewizor, meble wypoczynkowe i inne przyjemne osiągnięcia cywilizacji. Było widać, że tutaj ktoś naprawdę mieszka, a nie tylko przychodzi od czasu do czasu popracować.

Telewizor nie zainteresował Kreola – pudełko jak pudełko, co w nim ciekawego? Vanessa nie włączyła go, postanowiwszy pokazać później. Pozostałe wyposażenie też nie przyciągało uwagi – w pokoju nie było niczego nadzwyczajnego. Za to Kreol po prostu osłupiał,

zobaczywszy domowego pieszczocha dziewcząt – puszystego kota syjamskiego o imieniu Fluffi.

– Święte zwierzę! – zawołał z zachwytem. Nabrał do Van większego szacunku. – Nie mówiłaś, że należysz do szlachetnych!

– O czym mówisz? – Wzruszyła ramionami Vanessa, zrzucając bezczelnego kota z poduszki.

– Świętokradztwo! – zakrzyknął wzburzony Kreol. – Nie waż tak się obchodzić z Kotem!

Niemalże było słychać, jak ostatnie słowo wymawia *wielką* literą.

– A myślałam, że tylko Egipcjanie czcili koty… – zauważyła Vanessa w zamyśleniu, patrząc, z jaką atencją Kreol gładzi prężącego się Fluffiego.

– Sumeryjczycy ich nie czcili – zapiszczał jej do ucha dżinn. – Po prostu odnosili się do nich z szacunkiem. Posiadać je mogli tylko członkowie arystokratycznych rodów, a za zabicie kota groziła kara śmierci.

– No nie wiem, według mnie to właśnie nazywa się oddawaniem czci – burknęła Vanessa.

Drzwi do pokoju Louise otwarły się i pojawiła się w nich sama Louise – zaspana, mrugająca od oślepiającego ją jasnego światła. Platynowa blondynka z długimi nogami, znacznie ładniejsza od swojej przyjaciółki. Chociaż wszystko jest sprawą gustu.

– O, cześć, Van! – wymamrotała sennie. – Przecież miałaś dziś być w pracy przez całą noc?

– Tak, ale widzisz, pojawiły się pewne problemy… – wybąkała Vanessa.

– A to kto? – Louise zwróciła uwagę na Kreola, który cały czas jeszcze głaskał kota. – Twój nowy chłopak?

– No coś ty! – fuknęła Van. – Nie jest w moim typie. To mój daleki krewny. Z Chin. Przyjechał tak nieoczekiwanie… no i nie ma się gdzie zatrzymać. Nie masz nic przeciwko, żeby nocował u mnie przez kilka dni?

– Nie-eee, na Boga… – ziewnęła Louise. – Witamy w Stanach! – krzyknęła raptem głośno, zwracając się tym razem do Kreola. Wykonywała przy tym jakieś dziwne ruchy, jakby rozmawiała z głuchoniemym.

– Co mówi ta wariatka? – dopytywał się mag, który, porzuciwszy kota, ze zdziwieniem wpatrywał się w niezgrabne gesty panny McDougal.

– Wita się – wyjaśniła Vanessa. – Louise, on nie rozumie ani słowa po angielsku. I w ogóle jest trochę dziwny. Widzisz, całe życie spędził w górach Tien-szan… Więc nie dziw się, jeśli wykręci jakiś numer.

– Co, pierwszy raz w dużym mieście? – uśmiechnęła się Louise.

– No właśnie. Wyobrażasz sobie – dzisiaj pierwszy raz w życiu

zobaczył samochód!

– Co ty mówisz?! – szczerze zdziwiła się przyjaciółka. – Nie może być! A jak się nazywa?

– Kreol.

– I co, to wszystko? A nazwisko?

– Nazwisko…? – zająknęła się Vanessa. – Oj, widzisz no, wyleciało mi z głowy. Zaraz zapytam. Jak się nazywasz? – zapytała po sumeryjsku.

– Kreol. Nie powiedziałem ci? – Mag spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nie o to chodzi! – Vanessa przewróciła oczami. – Człowiek nie może mieć tylko samego imienia!

Do tej pory mi wystarczało – zasępił się Kreol, zmartwiony tym, że potomkowie wprowadzili modę na noszenie kilku imion, a do tego jeszcze się dziwią, że ktoś ma tylko jedno. – A może chodzi o tytuł? W takim razie jestem Kreol, Syn Kreola, Arcymag Piątego Stopnia Magicznej Akademii Sześćdziesięciu Nauk, Pierwszy Mag Ur, Yolange i Babilonu, Posiadacz Tęczowej Laski Władców, Zwycięzca Szummy, Teja i Methu, Zwycięzca Esketynga i Trzech Wielkich Demonów Enku…

– No to jak? – nie wytrzymała Louise, która marzyła tylko o tym, aby znowu znaleźć się w łóżku. – On co, sam nie wie?

– Wygląda na to, że tam u nich nie używają nazwisk – niezręcznie wykręciła się Vanessa, z rozdrażnieniem spoglądając na Kreola, który wciąż jeszcze wymieniał swoje tytuły. Zdążyła już pożałować, że zadała mu to pytanie – mag najwyraźniej postanowił wymienić wszystkie co bardziej znaczące momenty ze swej biografii. – To zupełne dzikusy…

– Niech będzie… – powiedziała Louise obojętnie. – No dobrze, dobranoc, jest już bardzo późno…

– Raczej wcześnie – wymamrotała Vanessa, patrząc jak za sąsiadką zamykają się drzwi. – Mój Boże, piąta rano!

Zaprowadziła Kreola i, prawdopodobnie, Hubaksisa do swojej sypialni i zamknęła drzwi od wewnątrz. Dżinn natychmiast wrócił do swoich naturalnych rozmiarów i westchnął z ulgą. Nie lubił być mały. To znaczy jeszcze mniejszy niż zwykle.

W sypialni było dość ciasno. Łóżko, niewielki telewizor, toaletka, dwie szafki – oto wszystkie meble. Kreol od razu usiadł na brzegu łóżka – niezbyt lubił spać.

– Łóżko jest tylko jedno… – zaczęła Vanessa.

– Jedno mi wystarczy – przerwał jej Kreol. – O co chodzi, kobieto, boisz się, że się nie zmieszczę?

– Co za bezczelność. – Van pokiwała głową. – A gdzie ja będę spać, twoim zdaniem?

– Nie wiem, jak w waszym zwariowanym świecie, ale u nas miejsce kobiety było na podłodze – mruknął Kreol.

– Skończ już z tym swoim pierwotnym szowinizmem! – nadęła się Vanessa. W następnej sekundzie zobaczyła wesołe iskierki w oczach maga i nadęła się jeszcze bardziej.

– Pan żartuje – uspokoił ją dżinn. – Na podłodze spały tylko niewolnice, a kobiety wolne – w łóżkach, tak jak mężczyźni. Czasami nawet razem z nimi… Zrozumiałaś aluzję?

– Milcz, niewolniku – leniwie nakazał Kreol.

– Od razu widać, że poczucie humoru macie sprzed pięciu tysięcy lat – sucho zauważyła Vanessa.

– A co? – Hubaksis nie mógł się uspokoić. – Według mnie, świetnie zmieścimy się we trójkę…

– Milczeć, niewolniku!

– To ja powinienem powiedzieć! – oburzył się Kreol.

Rozdział 3

Postaram się wrócić jak najszybciej – obiecała Vanessa. – Louise wychodzi dopiero o jedenastej, więc siedźcie cicho jak mysz pod miotłą. Nie rozmawiajcie z nią – nie daj Boże domyśli się, kim jesteście. Chociaż nie, co ja mówię, i tak przecież się nie zrozumiecie… A mimo wszystko źle, że nauczyłeś mnie szwargotać po waszemu, lepiej byście sami nauczyli się po angielsku…

– To samo mówiłem! – przytaknął Hubaksis.

– Milcz, niewolniku – z przyzwyczajenia westchnął Kreol.

– Ciebie to też dotyczy, skrzydlaty pigmeju! Tylko spróbuj pokazać się Louise na oczy – odetnę nożem twoją dumę! Jeśli uda mi się *to* znaleźć, oczywiście…

– Van, a ty dokąd się wybierasz? – zapytał dżinn z ciekawością.

Sprawy pozałatwiać, czy to nie jest jasne? Samochód odebrać, po sklepach pochodzić, wpaść do muzeum i wytłumaczyć się. Obawiam się, że będę miała przez was nieprzyjemności… A tak przy okazji, Kreolu, nie mógłbyś pożyczyć mi kilku tych swoich złotych zabawek? Łatwiej mi będzie się wytłumaczyć…

– Bardzo proszę… – Wzruszył ramionami mag.

– Naprawdę? – Vanessa była mile zaskoczona.

– Oczywiście. Tylko ty w zamian pożyczysz mi rękę. Albo nogę, sama wybierz. Bo ja bez tych narzędzi jestem jak ty bez ręki.

– Mówiłam ci już, że twoje dowcipy są stare i zupełnie nieśmieszne? – Przygryzła wargi Vanessa. – Dobrze, postaram się załatwić wszystko bez nich… Zachowujcie się!

Drzwi zatrzasnęły się za nią i Kreol z Hubaksisem zostali sami w pokoju.

– Co będziemy robić, panie? – zainteresował się dżinn.

– Trzeba pomyśleć… Tyle lat, tyle spraw, aż nie wiem od czego zacząć. Zaklęcia załadowałem… Trzeba chyba najpierw przepisać księgę. Czaszka to nie jest godne zaufania miejsce, można coś stracić. Ciekawe, czy ta kobieta ma tutaj pergamin.

– Nie sądzę, panie. Pergamin to droga rzecz, skąd by go wzięła?

– Tak, masz rację… – ze smutkiem zgodził się Kreol.

Hubaksis polatał po pokoju, przyglądając się dokładnie wszystkim drobiazgom. Kilka razy znikł wewnątrz ścian, potem przeleciał przez drewnianą szafę i natychmiast wrócił, zachwycony prawie do nieprzytomności.

– Panie, otwórz te drzwi! – zawołał. – Będziesz szczęśliwy, klnę się na Wielkiego Chana!

Kreol z niedowierzaniem uchylił drzwiczki regału i rzeczywiście, aż wytrzeszczył oczy z zachwytu. Stały tam książki. Vanessa nie miała

ich zbyt wiele, ale mimo wszystko zajmowały całą półkę. W starożytnym Sumerze taką ilość ksiąg można było zobaczyć tylko w domach bardzo bogatych ludzi – tak cenne były w tych czasach.

Ale nie to tak zachwyciło Kreola – podobne rzeczy przestały go już dziwić. Zaskoczył go papier.

– Jaki biały i jaki cienki pergamin! – westchnął, gładząc palcami stronicę. – I jaki delikatny! Ileż trzeba było włożyć pracy, by nakreślić tyle jednakowych liter! Ileż rękopisów, ileż w nich mądrości!

Zachwyt maga zgasłby natychmiast, gdyby wiedział, że (poza nielicznymi wyjątkami) wszystkie książki na półce były to kryminały i romanse. Ale nie umiał czytać po angielsku, a w jego czasach książki niezawierające mniej lub bardziej przydatnych informacji po prostu nie istniały – gdy każdy egzemplarz trzeba było przepisywać ręcznie albo mozolnie wyciskać na glinianych tabliczkach, literatura rozrywkowa była nieosiągalną przyjemnością.

– Panie, popatrz na to! – Pokazał dżinn. – Ta jest całkiem pusta!

Kreol z nabożeństwem wziął zeszyt leżący w kącie. Bielą i gładkością stron tak przewyższał pergaminowe księgi, że znowu się zachwycił.

– Myślę, że to nie jest zwykły pergamin… – powiedział w zadumie. – Ten materiał o tyle przewyższa pergamin, o ile pergamin przewyższa gliniane tabliczki.

Ale to znaczy… że mogę po prostu napisać nową księgę zaklęć i odprawić nad nią rytuał Niestarzenia!

– A nad pergaminem nie można, panie? – wtrącił się Hubaksis.

– Niestety… Pergamin pamięta, że był częścią zwierzęcia, z nim nie można tak postąpić. Papirus, to co innego, ale na papirusie niech swoje księgi pisze Troy. Zacznę od razu. Szybko, niewolniku, znajdź mi pióro i atrament.

Hubaksis posłusznie zaczął myszkować po pokoju, nie zadając sobie trudu, by omijać przedmioty – po prostu przenikał przez nie. Zaryzykował nawet i przeszukał sypialnię Louise, przy okazji ulegając pokusie, by przeniknąć przez kołdrę i do woli napatrzeć się na to, co leżało pod nią. Ale wrócił z pustymi rękami.

– Wybacz, panie – oświadczył ze skruchą, bezradnie rozkładając skrzydła. – Nie znalazłem ani jednego, ani drugiego. W ogóle nic przypominającego narzędzia do pisania.

Przepraszając swego pana, dżinn patrzył przy tym prosto na długopis leżący na stole. Ale oczywiście nawet mu do głowy nie przyszło, że czymś takim można pisać.

– Szkoda, wielka szkoda… – westchnął Kreol. – No cóż, odłożymy to na później. A teraz trzeba by zrobić trochę złota, żeby było za co żyć. Niewolniku, znajdź mi coś metalowego. Tylko nie za duże.

– To się nada, panie? – Hubaksis pokazał odznakę policyjną, którą

zdenerwowana Vanessa nieopatrznie zostawiła na stoliku.

– Czuję obecność Wenus… czyli jest to miedź. Nada się. Rozgrzej ruszt.

– Nie wiem, panie – powątpiewał Hubaksis. – To coś przypomina amulet. Może nie warto?

– Nie opowiadaj głupot, niewolniku – fuknął Kreol. – W tym przedmiocie nie ma ani krztyny magii. Jeśli nawet to amulet, to całkowicie niegroźny.

– Bo ja pomyślałem, panie… W niczym jeszcze nie poczułeś tutaj magii, panie.

– Kontynuuj swoją myśl. – Mag w zadumie potarł podbródek.

– A może nasi potomkowie nauczyli się stosować magię tak, żeby nie można jej było wyczuć?

Kreol zamyślił się głęboko. Hipoteza była interesująca, ale mało prawdopodobna.

– Nie – zdecydowanie potrząsnął głową. – Nie da się całkowicie zatrzeć śladów magii, udowodnił to jeszcze wielki Ar-Nuj. A jeśli nawet by tak było, to zamiana w złoto nie zniszczy amuletu. W złocie jest więcej magii, od tego będzie tylko silniejszy.

– Rzeczywiście, masz rację panie – uspokoił się dżinn.

– No pewnie! To gdzie jest ruszt?

– Za chwilę wszystko będzie gotowe, panie!

Producenci kuchenek oddaliby pół życia za tajemnicę tego rusztu. Wystarczyło przeciągnąć nad nim ręką i powiedzieć „Płoń!”, żeby pojawił się płomień niepotrzebujący żadnego paliwa. Można go było zwiększyć, albo zmniejszyć w ten sam sposób – jednym ruchem ręki. Kreol nalał do magicznej czary wody z karafki i powiesił ją na haku w górnej części rusztu. Do czary dołączona była także specjalna pałeczka – mag wręczył ją dżinnowi i nakazał rytualnie mieszać.

Odznaka policyjna pogrążyła się w wodzie, Kreol nachylił się nad powierzchnią czary i zaczął po cichu coś burczeć. Rytuał Transmutacji Metali nie wymagał żadnych specjalnych substancji, ale za to potrzebne było maksymalne skupienie podczas długiego odczytywania zaklęcia. Trzeba było bardzo długo przekonywać ducha metalu, że w zmienionym stanie będzie mu znacznie lepiej. Kreolowi wychodziło to tylko z niewielkimi przedmiotami, a do tego za każdym razem czuł się tak zmęczony, jakby sam w pojedynkę wtaszczył fortepian na dwudzieste piętro. Niestety, magia transformacji nie była jego mocną stroną.

Tym niemniej, po jakichś dziesięciu minutach szeptania zaklęć nad kipiącą wodą, znak zaczął żółknąć. Minęło drugie tyle i zżółkł całkowicie. Miedź zamieniła się w złoto.

Kreol zakasał rękawy i wyjął odznakę z wrzątku. W poprzednim życiu mag nie zaryzykowałby zrobienia czegoś takiego, ale po

zmartwychwstaniu stał się znacznie odporniejszy. W rzeczywistości pozostał na wpół martwym i ból odczuwał tak samo, jak niemający nerwów dąb.

– Bardzo pięknie, panie – pochwalił Hubaksis.

– Oczywiście – złapał oddech Kreol. – Teraz odpocznę chwilę, jakoś się zmęczyłem…

Ułożył się na łóżku, a Hubaksis, także porządnie zmęczony, przysiadł, żeby odpocząć, na pilocie od telewizora. Oczywiście, nie wiedział, że to pilot, po prostu wybrał najbliższy, wygodny przedmiot. Maleńki dżinn ważył nie więcej niż pięć deka, ale wystarczyło to, by nacisnąć przycisk.

– O! – Widząc świecący ekran, Kreol podniósł się mimowolnie.

– O żesz ty! – zgodził się z nim Hubaksis.

– Magiczne lustro! – westchnął mag. – I to u zwykłej kobiety, nawet nie arystokratki! Świat zwariował!

Na włączonym przypadkowo kanale pokazywali jakiś talk-show. Przy stole siedziało dwóch poważnych mężczyzn w eleganckich garniturach i prowadziło niezrozumiałą, ale niewątpliwie bardzo ważną rozmowę. Kreol początkowo patrzył z zainteresowaniem, ale szybko mu się znudziło.

– Ej, lustro! – zawołał do telewizora. – Pokaż mi kobietę o imieniu Vanessa!

Oczywiście telewizor nie usłuchał.

– Słyszałoś mój rozkaz, lustro? – zdziwił się mag. – Imionami wszystkich bogów nakazuję ci: wypełnij rozkaz!

– Nie wypełnia, panie – zauważył Hubaksis po kilku minutach oczekiwania.

– Sam widzę… – odgryzł się Kreol.

– Może ono nie rozumie naszego języka? – podsunął dżinn.

– Być może… – Mag przygryzł wargę. – A może słucha tylko swojej pani. Przynajmniej moje słuchało tylko mnie… Tak, trzeba będzie zrobić nowe, przyda się.

– Czy warto, panie? – westchnął Hubaksis ze smutkiem. – W tym świecie, gdzie się nie obejrzysz, tam jest magiczne zwierciadło.

– I tak moja magia jest silniejsza! – zaperzył się Kreol. – Pamiętasz, jaką minę miała ta kobieta, kiedy zobaczyła demona?

Minął kwadrans. Mężczyźni na ekranie nadal rozmawiali.

– A mimo wszystko, ciekawe, o czym rozmawiają? – w zamyśleniu powiedział Kreol.

– Panie, a może tym lustrem rządzi ten przedmiot? – zaproponował Hubaksis, po tym, jak dość długo oglądał pilota. – Zapłonęło, gdy na nim usiadłem.

– Tak? Daj no go tutaj…

– Wybacz, panie, nie mogę, jest za ciężki – wysapał dżinn,

bezskutecznie próbując podnieść pilota.

Kreol popatrzył na niego ironicznie, pstryknął palcami i pilot sam wskoczył mu do ręki. Telekineza to jedna z najprostszych odmian magii i Kreol mógł unieść w powietrze jednocześnie nawet sto małych przedmiotów. Albo dziesięć większych. Albo jeden bardzo duży, na przykład dom. A przygotowanie zaklęcia nie wymagało dużo czasu – na odnowienie zaklęcia Telekinezy potrzebował nie więcej niż sekundę.

– Ciekawe… – Obrócił w dłoniach nieznany przedmiot. – Jakieś symbole, piktogramy… Tylko co mogą znaczyć?

– Spróbuj nacisnąć jakiś guzik, panie – doradził dżinn.

Kreol w skupieniu zmarszczył czoło i bardzo starannie nacisnął jeden z guzików. Był to przycisk „sleep”. Na ekranie pojawił się napis „10”, ale nic więcej się nie wydarzyło.

Mag niezdecydowanie przeciągnął palcem po przyciskach i wybrał „4”. Obraz na ekranie zmienił się – teraz telewizor pokazywał biegnących ścieżką Guffiego i Donalda.

– O, żywe obrazki! – ucieszył się Kreol. – Gdy imperator Lugalbanda był jeszcze malutkim chłopcem, zrobiłem mu podobne.

– Ciekawe istoty, panie. Podobne do Thota i Anubisa, nieprawdaż?

– Rzeczywiście… – zmrużył oczy Kreol. – Pewnie służba świątynna.

Kreskówki niezbyt zainteresowały maga. Nie widział sensu w przyglądaniu się jakimś narysowanym obrazkom, nawet ożywionym. To, że przedstawiają one bogów (przynajmniej on tak uważał) także nie zrobiło na nim wrażenia. Kreol w nosie miał te wszystkie zwierzogłowe, egipskie bóstwa. Znowu więc przełączył kanał, naciskając sąsiedni przycisk.

Na piątym kanale nadawano horror „To” według powieści Stephena Kinga.

– Patrz, panie, błazen! – ucieszył się Hubaksis, patrząc na wykrzywiającego się klauna.

– To nie błazen! – zawołał Kreol. W tym momencie klaun zaczął przeistaczać się we wstrętnego potwora. – To demon w postaci błazna! Ciekawe, gdzie to się dzieje? Na wszelki wypadek należy przygotować się do obrony. Gdzie jest mój łańcuch?!

– Panie, a jeśli ten demon zauważy, że go obserwujemy i przyjdzie do nas przez lustro?! – przestraszył się dżinn. Diabelski klaun wystraszył nawet jego.

– Mmmm, tak, mogę oczywiście poradzić sobie z nim… ale po co bez przyczyny ryzykować? – zgodził się Kreol i przełączył na inny program.

Na szóstym kanale szedł jakiś serial fantasy. W tej akurat chwili

pokazywano maga wymawiającego zaklęcie. Starzec w długiej szacie stał na szczycie góry, wiał huragan, z chmur nad jego głową biły pioruny, ogólnie efekty specjalne były na poziomie.

– No widzisz! – Kreol rozpłynął się w uśmiechu. – Mówiłem, że magia przetrwała! Ależ on jest beztroski – pozwolił zobaczyć się w magicznym lustrze! I do tego w chwili, gdy czaruje! A swoją drogą, nie znam tego zaklęcia… Niewolniku, zapamiętaj je!

– Jak mam zapamiętać, panie? – Dżinn ze smutkiem rozłożył ręce. – Nie rozumiem ani słowa.

– A niech to, masz rację! Natychmiast trzeba nauczyć się tego języka! Niewolniku, który jeszcze demon potrafi to zrobić?

– Nie pamiętam, wydaje mi się, że Agares…

– Przygotuj mi pieczęć Agaresa! Chociaż nie, jeszcze zdążymy… – westchnął Kreol, gdyż serialowy czarnoksiężnik znikł z ekranu, a na jego miejsce pojawiła się reklama. – Odkryłem gniazdo… No nic, jeszcze go znajdę, niech no tylko zrobię swoje lustro.

– A to co takiego, panie? – zdziwił się Hubaksis, widząc, jak w telewizorze rozmawiają dwie szczoteczki do zębów.

– Na pewno ten mag coś nabroił – domyślił się Kreol. – Pamiętam, kiedyś chcieli mnie podejrzeć, a ja pokazałem tym bezczelnym typom parę kopulujących wszy. Specjalnie przygotowałem taką sztuczkę…! – chichotał mag.

– Też to pamiętam, panie. – Dżinn uśmiechnął się z aprobatą. – Może jeszcze coś obejrzymy.

Kreol nacisnął kolejny przycisk i trafił na wideo-klip. Dwie dziewczyny – biała i czarna – podrygiwały w otoczeniu muskularnych młodzieńców, jednocześnie wykrzykując jakąś piosenkę. Słów Kreol oczywiście nie zrozumiał, ale wystarczyło mu, że ubrania miały na sobie tylko tyle, by klip był jako tako przyzwoity.

– Popatrz, panie, odaliski! – oblizał się lubieżnie Hubaksis.

– Milcz, niewolniku, sam widzę! – Machnął ręką Kreol. – Jakie ciekawe rzeczy pokazuje to lustro!

W tym momencie minęło dziesięć minut i telewizor się wyłączył.

– A to co takiego, wróć! – zawołał Hubaksis, rozczarowany.

– Milcz, niewolniku! – warknął Kreol. – Pewnie zaklęcie się wyczerpało. Nie, moje lustro było lepsze – w moje można było patrzeć nawet cały dzień.

– Tak, tylko że nie pokazywało takich ciekawych rzeczy – kwaśno odparł dżinn.

– Za to słuchało rozkazów!

Vanessa wróciła do domu we wspaniałym humorze. Udało jej się wrócić do muzeum na kilka minut przed kontrolą i to, że całą noc nie było jej na posterunku, pozostało niezauważone. Nieskalana reputacja Van jako policjantki uratowała ją przed dochodzeniem. Tak naprawdę

nikt specjalnie nie wyrywał się, żeby coś wyjaśniać – jak ustalono, narzędzia Kreola nie były specjalnie cenne. Doktor Redwall, dyrektor muzeum, skłaniał się ku opinii, że to podróbki.

Oprócz tego zabrała samochód z parkingu, wpadła do sklepu, kupiła parę potrzebnych rzeczy (oraz kilka niepotrzebnych) i zaszła do agencji sprzedaży nieruchomości, by umówić się na oglądanie domów. Na to, żeby wynająć domek nie miała dotąd pieniędzy. Wcześniej nigdy by się nie odważyła utopić wszystkich swoich oszczędności, ale teraz nie wątpiła, że już niedługo nie będzie musiała martwić się o pieniądze.

– Witajcie, neandertalczycy! – powiedziała półgłosem Vanessa. Półgłosem, bo nie miała ochoty, żeby usłyszała ją Louise. – Jak leci?

Vanessa zdążyła się przebrać i teraz paradowała w ślicznym dżinsowym komplecie. Tak właśnie ubierała się po pracy.

– Potrzebuję pióra i atramentu – natychmiast zażądał Kreol. – Szybko!

– A grzeczniej nie można? – obraziła się Van. – O, tam leży długopis! Co, nie widzisz?

– Tym można pisać? – zdziwił się mag, biorąc do ręki wskazany przedmiot. – Nie mam wosku.

– A co ma do rzeczy wosk? – zdziwiła się z kolei Van.

– No, przecież to jest pałeczka do pisania? – uściślił Kreol. – Takimi pisze się tylko na wosku. Albo na miękkiej glinie…

Vanessa roześmiała się perliście, myśląc, że mimo wszystko ten łysy czarodziej jest zabawny.

Zdjęła skuwkę i pokazała mu, jak pisze się długopisem.

Kreol miał przy tym niezwykle śmieszną minę. Nagle Vanessa zobaczyła swoją nieszczęsną odznakę policyjną i teraz ona wyglądała zabawnie.

– Co zrobiliście z moją odznaką?! – zapytała przerażona. – Po co ją pomalowaliście?!

– Niczym jej nie malowaliśmy. – Kreol lekceważąco machnął ręką, ciesząc się nową zabawką. – Po prostu zamieniłem ją w złoto.

– W złoto? – wyszeptała Vanessa, ważąc odznakę w dłoni. Rzeczywiście, była nieco cięższa. – Ale jak?

– Jeszcze się nie przekonałaś, że mój pan jest magiem? – nachmurzył się Hubaksis.

– Dziękuję za komplement – z roztargnieniem powiedział Kreol. – A co, rzeczywiście potrzebny był ci ten amulet?

– To nie amulet! To… mmmm… w waszym języku nie ma takiego słowa… – Vanessa wyobraziła sobie, jak będą na nią patrzeć na komendzie, jeśli pojawi się ze złotą odznaką na piersi. Tak, czegoś takiego jeszcze nie było. Chociaż może przecież powiedzieć, że ją zgubiła, a to przetopić i sprzedać… Van oszacowała, ile może

kosztować taki kawałek złota. Sumka wyszła niemała, postanowiła więc wybaczyć Kreolowi.

– Jeśli chcesz, mogę zrobić z powrotem tak jak było… – niechętnie zaproponował mag.

– Dobrze, nie trzeba – uśmiechnęła się Vanessa. – A swoją drogą dobrze, że twoje narzędzia są tylko pozłacane, inaczej miałabym nieprzyjemności.

– Co?! – oburzył się mag. – O czym ty mówisz, kobieto?! Wszystkie moje narzędzia są zrobione z najczystszego złota! Ani odrobiny dodatków! Prawdziwe złoto i drogocenne kamienie – nie jestem jakimś tam znachorem, żeby używać podróbek!

– Bzdury! – fuknęła Vanessa, ważąc w ręce magiczną czarę. – To jest lekkie jak z drewna!

– Ach, o to chodzi… – Kreol rozpłynął się w uśmiechu pełnym wyższości. – Głupia dzikusko, znowu zapomniałaś, że jestem magiem. Wyobraź sobie, jak ciężko byłoby mi taszczyć taką laskę, gdyby była z czystego złota. – Bez trudu machnął nią, aby zademonstrować swoją rację.

– No o czym niby ja mówię? – zaperzyła się Vanessa, puściwszy mimo uszu „głupią dzikuskę".

– Nie, źle mnie zrozumiałaś… to znaczy, niedokładnie się wyraziłem. Oczywiście i laska, i cała reszta są ze złota, ale przeprowadzono nad nimi rytuał Ulżenia. Prosta sprawa – rzecz staje się kilka razy lżejsza, nie tracąc przy tym żadnych innych właściwości.

– To tak – w końcu zrozumiała. – Nie sądzę, żeby doktor Redwall domyślił się czegoś takiego. Ale jak to w ogóle możliwe?

– Trudno wyjaśnić – zmarszczył się Kreol. – Jest to jakoś związane z tymi malutkimi kuleczkami, z których zbudowane jest wszystko, co istnieje.

– Molekuły? W waszych czasach wiedziano już o istnieniu molekuł? – zdziwiła się Vanessa. Pamiętała jeszcze lekcje chemii w szkole.

– Teraz tak je nazywają? Magowie zawsze o nich wiedzieli, a jakże…

– A my oglądaliśmy twoje magiczne lustro! – pochwalił się Hubaksis.

– Co znowu za magiczne lustro? – spytała Vanessa podejrzliwie, przyglądając się lustru wiszącemu na ścianie. Zdecydowanie nie było w nim nic magicznego.

– O, to – wyjaśnił dżinn, siadając na telewizorze. – Widzieliśmy tam tyle różności… dopóki zaklęcie się nie wyczerpało.

– A, to lustro! – roześmiała się Van. – No i co tam zobaczyliście?

– Najpierw żywe obrazki z Thotem i Anubisem – zaczął wyliczać dżinn. – Potem demona. Okropne stworzenie. Ale nie bój się, nie

zauważył nas, w porę się przed nim ukryliśmy.

– A nawet jeśli nas zauważył, bez trudu sobie z nim poradzę – wtrącił Kreol. – Poskramiałem takie demony, przy których ten wyglądałby jak drobny złodziejaszek.

– Widzieliśmy także innego maga – pośpiesznie dodał dżinn. – Ten akurat nas zauważył i zatarł obraz. Potem oglądaliśmy tańce odalisek, ale wtedy akurat zaklęcie się wyczerpało.

– Rozumiem… – Vanessa uśmiechnęła się, zgadując co rzeczywiście ci dwaj widzieli w telewizji. I co to takiego, do diabła, są te odaliski? – Nic więcej nie widzieliście?

– Nie zdążyliśmy – ze smutkiem westchnął Kreol. – Mogłabyś pokazać mi Babilon? Chciałbym zobaczyć, czy coś z niego zostało…

– Widzisz, to niezupełnie takie lustro jak sądzisz… – zmieszała się Van, zastanawiając się, jak wyjaśnić tej żywej skamienielinie, co to jest telewizja… – To działa mniej więcej tak…

Wyjaśnienia zajęły tylko parę minut. Kreol nie był głupi i dość łatwo zrozumiał, o co chodzi.

– Czyli to jest coś w rodzaju teatru, tylko na odległość? – W zadumie podrapał się w kark. – Można zobaczyć tylko to, co pokazuje samo lustro?

– Świetnie wszystko zrozumiałeś – przytaknęła Van.

– A coś prawdziwego pokazuje? – upewnił się mag.

– No, nadają wiadomości, filmy dokumentalne, różne programy edukacyjne… – wymieniła Vanessa. – Tam pokazują prawdziwe rzeczy.

– Nie, moje lustro było znacznie lepsze – fuknął Kreol, nadąsany. – Pokazywało to, co ja chciałem, a nie to, co samo raczyło.

– Nie wątpię – zgodziła się Van.

Potem pokazała Kreolowi zakupy. Kupiła mu komplet bielizny, parę skarpetek, koszule i wspaniały zestaw dżinsowy, bardzo podobny do tego, jaki sama nosiła. Taka odzież po prostu podobała się Van bez żadnej głębszej przyczyny.

Mag założył nowe rzeczy i od razu prezentował się znacznie lepiej. Frak mimo wszystko wyglądał na nim okropnie głupio. Został za to w starych butach.

– Dziwna tkanina. – Dotknął rękawa. – Za moich czasów robili z takiej worki.

– Słusznie, dżins robi się z płótna… a może z juty? – Vanessa nieco się zawahała. – Nie przejmuj się – to teraz ostatni krzyk mody. Kupiłam ci jeszcze marynarkę, spodnie, kurtkę i inne drobiazgi. Potem przymierzysz. A tobie się podoba?

– Mnie się podoba, panie – podpowiedział dżinn. – Tylko jeszcze potrzebna jest czapka.

– Czapka? – zdziwiła się Van. – A po co czapka?

– A co to za mag bez czapki? – żachnął się Kreol. – Czapkę wybiorę sam – nie jestem pewien, czy kupisz to, co potrzeba.

– Jak sobie życzysz… – Vanessa wzruszyła ramionami.

Mag w zamyśleniu popatrzył w lustro. Zasadniczo obraz mu się podobał. Tylko że… Pogładził ręką łysinę i żachnął się niezadowolony.

– W poprzednim życiu miałem najpiękniejsze włosy w całym Babilonie – powiedział ze smutkiem. – Łysych uważano wtedy za potwory.

– No, z tym nic się nie da zrobić… – Vanessa starała się go pocieszyć, z przerażeniem wyobrażając sobie, że znalazła się na jego miejscu.

– Dlaczego? – chrząknął mag. – Jeśli zdobędziesz dla mnie trochę oliwki z oliwek, oleju rozmarynowego, łodygę krwawnika, kilka liści dębu, pączek goździka i z dziesięć włosów kota, w ciągu dziesięciu minut przygotuję wspaniały wywar na porost włosów. Za kilka godzin będę miał włosy nie gorsze od twoich.

– Sprytnie! – zachwyciła się Vanessa. – Naprawdę możesz coś takiego zrobić?

– A ty co, nie wierzysz? – fuknął mag.

– Czy u was łysi nie chodzą do maga, żeby wyhodować nowe włosy? – zainteresował się Hubaksis.

– Jak by to powiedzieć… – zmieszała się Vanessa. – Nasi magowie nie potrafią zrobić czegoś takiego… A niech to diabli, teraz w ogóle nie ma magów! Tylko szarlatani.

– Nie myśl, że mnie to martwi. – Kreol rozciągnął usta w uśmiechu. – A co z tym, o co prosiłem?

– Eeee, może poczekamy z tym, dopóki nie przeprowadzisz się do innego domu. Nie jestem pewna, czy Louise dobrze zareaguje, jeśli nagle, tak szybko odrosną ci włosy.

– Możesz powiedzieć, że to peruka – zaproponował dżinn. – W naszych czasach też je nosili.

– Mimo wszystko lepiej poczekać – westchnęła Van. – To przecież nie jest pilne?

– Nie – zgodził się mag. – A co to za gadka o przeprowadzce?

– Nie możecie przecież wiecznie siedzieć w jednym pokoiku?

Oczywiście, że nie! Potrzebuję dużego domu z wieloma komnatami! – powiedział Kreol. – Zamienię go w kocebu! Musi mieć dużą piwnicę, żeby wzywać tam demony, szopę do przechowywania ziół i eliksirów, magiczne laboratorium, odosobnioną komnatę do wypróbowywania eliksirów, kilka sypialni…

– Van, a ty zostaniesz z nami? – zapiszczał Hubaksis. – Przywiązałem się do ciebie…

– Oczywiście, że zostanie! – powiedział mag nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Muszę odwdzięczyć się jej za wszystkie usługi,

tego wymaga honor maga!

– Hi, hi, honor… – Malutki dżinn zrobił złośliwą minę.

– No więc tak! – Vanessa skrzyżowała ręce na piersiach. – Jeśli wy, dwa bezczelne typy, myślicie, że kupię wam za własne pieniądze elegancką willę w dobrej dzielnicy, a sama zostanę w tej pluskwiarni, to bardzo się mylicie! Oczywiście, że ja też się przeprowadzę! A pieniądze później mi oddacie, bo i tak będę musiała wziąć ogromny kredyt!

– O to akurat nie trzeba się martwić – uspokoił ją Hubaksis. – Pan zawsze miał mnóstwo złota i innych drogocenności! Poczekaj miesiąc albo dwa, a będzie równie bogaty jak przedtem.

– Cieszy mnie to. – Van łaskawie kiwnęła głową. – A co w tym twoim przepisie mówi się o włosach kota? Wydawało mi się, że koty są dla ciebie święte…

– Przecież nie krew, a tylko kilka włosków! – Kreol postukał się w czoło. – Jak może komuś zaszkodzić strata kilku włosków?

Rozdział 4

Wygląda na to, że Louise już poszła – stwierdziła Van, wsłuchując się w trzask zamykanych drzwi. – Możecie wyjść.

Kreol i Hubaksis posłusznie ruszyli do dużego pokoju.

– Przygotuję wam teraz coś do zjedzenia – obiecała Vanessa. – Może pooglądacie przez chwilę telewizję. Chcecie?

– Nie, dziękuję – pogardliwie odmówił mag. – Jaki jest sens oglądać, jeśli to wszystko jest tylko iluzją? To już lepiej popracuję.

– Będziesz czarować? – z zainteresowaniem zapytała dziewczyna.

– Nie, przede wszystkim muszę skopiować księgę. Kreol usadowił się w fotelu i zaczął starannie wyrysowywać coś w znalezionym zeszycie. Ale już po minucie wzdrygnął się i z obrzydzeniem odrzucił długopis.

– Co znowu jest nie tak? – zawołała oburzona Vanessa z kuchni. I tak przeszkadzał jej Hubaksis, który usadowił się na suficie i z oddaniem w oku zaglądał jej za dekolt. – Długopis się wypisał?

– Nie mogę pisać tą idiotyczną pałką – zazgrzytał zębami Kreol. – Jest niewygodna! I ten grymuar jest za cienki. Nie zmieści się w nim nawet jedna dziesiąta tego, co mi jest potrzebne!

– Dobrze. – Vanessa załamała ręce. – Zaraz pójdę do sklepu papierniczego i kupię najgrubszy zeszyt, jaki tylko będą mieli! Ale jeśli potem znowu będziesz marudzić… po prostu nie wiem, co ci wtedy zrobię!

Wróciła po dwudziestu minutach, trzymając w rękach opasły tom przypominający wczesne wydania Biblii. Vanessa z trzaskiem rzuciła go na stół i ze zmęczeniem westchnęła.

– Masz. Duży format, najlepszy papier, tysiąc sześćset dwadzieścia stron, twarda okładka. Zasadniczo jest to album do szkicowania, ale nic lepszego nie znalazłam. Takich używają zawodowi artyści! Do tego kupiłam ci butelkę atramentu, kałamarz i pióro. Wybacz, gęsich nie było, wzięłam metalowe. Zadowolony?

– Jeszcze jak! – Kreol rozpłynął się w uśmiechu, otwierając foliał na pierwszej stronie i zanurzając pióro w atramencie. – Lepiej być nie może. Teraz zapiszę pierwszą stronę i przeprowadzę rytuał Niestarzenia. I wtedy będzie to prawdziwa Księga Zaklęć…

– A tak przy okazji, za to wszystko zapłaciłam czterdzieści osiem dolarów – oświadczyła Vanessa, zagryzając wargi.

– Nic mi to nie mówi. – Machnął ręką mag. – Co to jest „dolar”?

Vanessa westchnęła i wróciła do kuchni. Ryż już prawie się dogotował.

Widziała stamtąd dobrze, jak Kreol najpierw szybko pisze coś w swojej nowej księdze, a potem długo mamrocze kolejną *abrakadabra*,

obwiązawszy najpierw książkę magicznym łańcuchem i opryskawszy jakimś świństwem przygotowanym w pośpiechu na ruszcie. Składniki wywaru wyniósł po kolei z kuchni. Vanessa nie zapamiętała całego składu, ale zauważyła, że potrzebna była sól, oliwa z oliwek, sok z winogron i znowu kocia sierść. Doszła do wniosku, że Kreol dlatego właśnie szanował koty, że do każdej magicznej brei trzeba było dodawać kocie kłaki.

Zakończywszy dziwny proces, mag wyciął na okładce kilka linii i wypełnił je wywarem. Następnie wypowiedział na głos jeszcze kilka słów i księga przez kilka sekund dosłownie świeciła wewnętrznym światłem.

– Księgo Słów, Księgo Rytuałów, bądź błogosławiona, o Księgo Sztuki! – głośno zakrzyknął mag. – W imię Krzyża, Kręgu i Gwiazdy, niech tak się stanie!

Szarpana przez ciekawość Vanessa podeszła popatrzeć, co takiego wyczarował. Rezultat zrobił na niej ogromne wrażenie.

Okładka księgi wyglądała teraz jak wycięta z kamienia, z jaspisu albo malachitu. Skrzyły się na niej jakieś zawijasy, a na okładce pojawił się rysunek pentagramu w kole z równoramiennym krzyżem w środku. Nad tą figurą mag wyciął słowo „Kreol". Nie zwracając uwagi na ironiczne spojrzenia Kreola i Hubaksisa, Van spróbowała otworzyć księgę, ale nic z tego nie wyszło. Do tego zrobiła się znacznie lżejsza – Vanessa prawie nie czuła ciężaru tomu, chociaż trzymała go w jednej ręce.

– Zadziwiające… – Pokiwała głową. – Jak długo będziesz… no, zapełniać ją?

– Myślę, że dam radę uporać się z tym w kilka tygodni. – Kreol wzruszył ramionami. – Oczywiście, będę musiał pracować po nocach…

– A kiedy zamierzasz spać?

– W najbliższym czasie w ogóle nie zamierzam – burknął mag. – Spałem pięć tysięcy lat, kobieto, czy myślisz, że się nie wyspałem? W najgorszym wypadku jest taka prosta rzecz, jak zaklęcie Bezsenności. Dziesięć minut i senność znika na całą noc.

– A mówią: starożytność, starożytność… – z zawiścią westchnęła Vanessa. – My się tu męczymy, pijemy kawę litrami, łykamy tabletki, a u was wszystko jest takie proste…

– Nie powiedziałbym, żeby to było proste – sucho poinformował mag.

– W takim razie nie możesz jeszcze trochę wstrzymać się z tą swoją głupią księgą?

– Kobieto! – wybuchnął Kreol. – Gdy masz ochotę udać się w ustronne miejsce, spróbuj zatkać otwór palcem i się wstrzymać! Mam nadzieję, że porównanie cię nie wzburzyło?

Vanessa tylko fuknęła lekceważąco.

– Widzisz, chodzi o to – spróbował wyjaśnić mag. – Musiałem przechować księgę zaklęć, inaczej, po upływie pięćdziesięciu wieków, obudziłbym się pozbawiony znacznej części mocy. Ale moja księga była spisana na pergaminie, a na pergamin nie działa czar Niestarzenia. Istnieje jeszcze zaklęcie Wzmocnienia, ale jest słabsze i nie wytrzymałoby tyle czasu. Dlatego przeniosłem księgę do głowy… Chociaż było to szalenie trudne. Początkowo myślałem, że wytrzymam i nie śpieszyłem się. Ale teraz okazało się, że nie dam rady. Zaklęcia palą mi czaszkę od środka, chcą wyrwać się na wolność. Właśnie przeniosłem jedno z nich do księgi i od razu przestało mnie męczyć.

– Przepraszam, nie wiedziałam… – powiedziała Vanessa ze szczerą skruchą. – Może trzeba było ci kupić maszynę do pisania?

– A co to takiego?

– No, widzisz, takie narzędzie, z literami… Naciskasz przyciski i maszyna sama pisze.

– Magiczny samopis? – zorientował się Kreol. – Miałem taki. Nie ma sensu, każde słowo w księdze zaklęć powinno być napisane ręcznie. I muszę to zrobić sam.

– A na dodatek ani ja, ani mój pan, nie znamy jeszcze waszych liter. – Hubaksis wygłosił aluzję tonem sugerującym brak zainteresowania. Wyraźnie miał ochotę pooglądać jeszcze telewizję, ale nie jest to zbyt ciekawe, gdy nie znasz języka.

Po kilku minutach Vanessa podała do stołu. Kreol z zadowoleniem powąchał duszoną baraninę z ryżem, ale zastawa stołowa okazała się zagadką nie do rozwiązania.

– Co to takiego? – Wziął do ręki widelec. – Mały trójząb?

– Widelec. – Vanessa przechyliła głowę. – Tylko nie staraj się mnie przekonać, że za waszych czasów nie znali widelców. W sumeryjskim jest takie słowo!

– Wiem, co to jest widelec! – odburknął Kreol. – Ale ma dwa zęby i nie służy do jedzenia!

– Au nas służy – odparowała Van. – I jeśli nie chcesz, żeby pokazywali cię palcami w restauracji, musisz się nauczyć go używać.

– Czy ja też mam się nauczyć? – wyciamkał Hubaksis z paszczą nabitą po brzegi jedzeniem.

Vanessa zmierzyła go spojrzeniem. Mało prawdopodobne, żeby malutki dżinn był w stanie chociażby podnieść widelec, a co dopiero manipulować nim przy stole.

– Ty nie – zgodziła się niechętnie. – I tak nikt nie będzie na ciebie patrzeć.

– Dlaczego?

– Dlatego, że tam, gdzie są ludzie, będziesz musiał się zmniejszyć. – Dziewczyna postukała się w czoło. – Albo chować do torby, jak

wolisz.

Kreol nie umiał prawidłowo trzymać widelca. A i nożem posługiwał się dość niezgrabnie – jakby używał go wszędzie, tylko nie przy stole. Jednakże jadł z widocznym zadowoleniem, co bardzo cieszyło Vanessę. Dla kucharza nie ma nic milszego, niż widok pochłanianych z apetytem dań. Ku jej ogromnemu zdziwieniu, Hubaksis zjadł prawie tyle samo co Kreol.

– Gdzie to się wszystko w tobie mieści? – zdziwiła się. – Zżarłeś więcej niż sam ważysz! Tak z dziesięć razy…

– Przecież to dżinn… – wyjaśni! Kreol leniwie, smakując domowy cydr. – Dżinn może nic nie jeść latami, a może za jednym posiedzeniem pochłonąć parę słoni. Chociaż to dotyczy zwykłych dżinnów – co do mojego niewolnika mam wątpliwości.

– Ja też mogę, panie – nieprzekonywająco skłamał Hubaksis. – Tylko nie chcę.

Na deser Vanessa podała galaretkę. Kreol niezwykle podejrzliwie przyglądał się zielonej, trzęsącej się substancji, dziabnął ją nożem, potem niezdecydowanie dotknął palcem. Hubaksis wyraźnie podzielał jego uczucia.

– A co to takiego? – Kreol zdecydował w końcu zapytać. Vanessa mimowolnie pomyślała, że w ciągu jednego tylko dnia słyszy to pytanie chyba już po raz setny.

– Galaretka – wyjaśniła obojętnie. – Bardzo smaczne jedzenie.

– Z czego to jest zrobione? – Kreol odciągał jak mógł chwilę degustacji.

– W dotyku przypomina gumę, panie – oznajmił dżinn. – A wyglądem – zdechłą meduzę.

– Skosztuj, niewolniku! – nakazał Kreol.

– Dziękuję, panie, jestem syty. – Dżinn cofnął się mimowolnie.

– Powiedziałem, skosztuj! – Mag podniósł głos. Hubaksis ścisnął wargi w wąziutką kreskę, ze złością spojrzał na niego swym jedynym okiem i niezdecydowanie odgryzł kawałek galaretki. Przeżuł. Połknął.

– No i? – zawołała Van, z trudem powstrzymując się, żeby nie potrząsnąć małym dżinnem. Co prawda wyglądałoby to nieco dziwnie – jakby potrząsała myszą albo wróbelkiem.

– Bardzo słodkie, panie! – Hubaksis uśmiechnął się nieoczekiwanie, bardzo zadowolony.

– Taaaak? – zapytał Kreol z niedowierzaniem. Potem wziął łyżkę i po kilku nieudanych próbach oderwał kawałek deseru i skierował do ust.

Tylko dobre wychowanie i pragnienie, by nie wyjść przed Vanessą na głupca nie pozwoliły Kreolowi wypluć galaretki. Zmusił się do przełknięcia tego, co miał w ustach. Ale wyraz twarzy miał przy tym taki, jakby zjadł pijawkę.

– Świństwo… – Skrzywił się. – W smaku jest takie samo jak w dotyku: guma.

– Ale przecież jest słodkie, panie? – cicho zachichotał Hubaksis.

– Tak, słodkie – wycedził Kreol, potwierdzając prawdziwość tego stwierdzenia. – Za słodkie. Widzisz, kobieto, co sobą reprezentuje mój niewolnik? Z zasady nie może mnie okłamać, ale za to może co nieco przemilczeć, bydlę…

– Wybacz, panie, nie mogłem się powstrzymać – wymamrotał dżinn. Było widać, że jest bardzo zadowolony z siebie.

– Widocznie zapomniałeś, jak boleśnie bije moja laska – rzucił Kreol.

– Dość! Przestańcie! – Vanessa rozłożyła ręce jak sędzia na ringu. – Co to za średniowiecze?! Niewolnictwo zniesiono jeszcze w zeszłym wieku, wtedy zakazano też kar cielesnych!

– A tortury? – jednocześnie krzyknęli Kreol i Hubaksis.

– Jeszcze wcześniej! – oznajmiła nieugięta dziewczyna. – I tylko spróbujcie powiedzieć, że was, diabelskich sadystów, to martwi!

– Nie, z jednej strony to oczywiście dobrze. – Hubaksis postanowił nie dyskutować. – Z drugiej strony – źle…

Kreol skończył jeść i znowu zaczął pisać w swej księdze.

Vanessa najpierw poszwendała się nieco z nudów, nie wiedząc, czym by się zająć. Nie miała ochoty oglądać telewizji, w domu nie było nic do zrobienia, i w ogóle było nudno. Każdego innego dnia poszłaby po prostu posiedzieć w kawiarni, ale dzisiaj nie miała ochoty wychodzić z domu bez potrzeby. W każdej chwili ktoś mógł przyjść w gości i gdyby odkrył, że w jej pokoju urzęduje mag oraz należący do niego dżinn, sytuacja mogłaby być niezręczna.

– Masz zamiar tak cały czas pisać? – zapytała znudzonym głosem, zaglądając Kreolowi przez ramię. Strona zapełniona była znaczkami i rysunkami, w których Vanessa z pewnym trudem rozpoznała znany jej (od dzisiejszego poranka) sumeryjski. Ale, poza nielicznymi wyjątkami, nie mogła rozpoznać słów.

– Tak – potwierdził zadowolony mag. – Mam zamiar pisać, aż przepiszę wszystko. A co?

– Może gdzieś pójdziemy, zabawimy się? – nieoczekiwanie zaproponowała Vanessa. Zazwyczaj w takich sytuacjach czekała, aż zostanie zaproszona, ale w tym przypadku raczej nie miało to sensu. – Zobaczycie miasto… Wiesz, jakie piękne jest nasze miasto?

– To prawda, panie! – podchwycił Hubaksis. – Chodźmy! Pochodzimy po bazarze, zajdziemy do łaźni, popatrzymy na świątynie! A przy okazji, muszę w ustronne miejsce. Gdzie to jest?

– Możesz napaskudzić do doniczki – z roztargnieniem powiedział Kreol. – Jesteś taki mały, że i tak nikt nie zauważy.

– Co to, to nie! – fuknęła Vanessa. – W waszym Babilonie możecie

paskudzić, gdzie chcecie, ale tu są Stany Zjednoczone, tu się tak nie robi! Chodź, pokażę ci.

Hubaksis wrócił po pół godzinie.

– Wyobraź sobie, panie! – Zamachał rękami. – Tam… Tam są marmurowe ściany, prawdziwa wanna i woda leci prosto ze ściany! Naciskasz przycisk i leci! A papier… – zniżył głos do szeptu – papieru używają nawet do… no wiesz…

– Do czego konkretnie? – Kreol zmarszczył czoło, nie przerywając pisania.

– No… do… – Dżinn wstydliwie pokazał gestami, do czego współcześni ludzie używają papieru.

– Co za marnotrawstwo. – Wzruszył ramionami mag, nadal pisząc coś w księdze. Pióro biegało po papierze z szybkością błyskawicy.

– To co, wybierzemy się na przejażdżkę? – Vanessa postukała palcami w blat stołu. – Pokażę wam Golden Gate.

– C-co? – Kreol aż przestał pisać. – Bramę ze złota?! Za moich czasów takie mieli tylko imperatorzy!

– Bogato! – Hubaksis wyciął dolną wargę.

– Nie, nie zrozumiałeś – zmarszczyła się Van. – To nie jest prawdziwa brama. To most.

– Most? – Kreol zdziwił się jeszcze bardziej. – Most ze złota?! A wy co – nie macie co robić ze złotem, że budujecie z niego mosty? I dlaczego w takim razie nazywa się „bramą”?

– Oj, przecież nie jest ze złota! To tylko taka nazwa!

– Jakaś głupota! – fuknął Kreol. – Zwariowany wiek. Za moich czasów most nazywano mostem, bramę – bramą, złoto – złotem, a głupka – głupkiem. Myślę, że wasz cesarz ma poważne kłopoty z głową, jeśli tak nazwał most. I po co w ogóle nazywać most? Przecież to nie jest miasto…

– A za waszych czasów nie nazywali mostów? – zapytała Vanessa jadowitym tonem.

– Nazywali, dlaczego by nie. – Kreol wzruszył ramionami. – Nazywali. Powiedzmy: „most na rzece Tygrys”. Albo „most na rzece Eufrat”. A najczęściej po prostu „most”. Nie, oczywiście żartuję, spróbuj zbudować most na Tygrysie. Przeprawiali się na promach…

– Wystarczy! – Dziewczynę zmęczył głupi spór. – Idziecie ze mną, czy nie? Jeśli nie, pójdę sama. Znudziło mi się siedzieć w czterech ścianach…

– Niech będzie, rozprostuję kości – miłościwie zgodził się Kreol. – Tylko wezmę ze sobą narzędzia. I księgę też.

– Może od razu weźmiesz całe mieszkanie? – wyburczała Vanessa. – Jak chcesz, ty będziesz to taskał.

Van znalazła swoją starą sportową torbę, w której bez trudu zmieścił się cały dobytek maga, w tym także potężne tomisko. Torba

bardzo dobrze pasowała do jego nowego ubrania i nie zwracała uwagi. Tylko najgłupszy złodziej mógłby ukraść worek wyglądający na wypchany hantlami i innym sprzętem sportowym.

– Nie będzie ci ciężko to nieść? – zapytała Van złośliwie, patrząc, jak mag wrzuca bagaż na ramię.

– Jak ty niczego nie rozumiesz, kobieto. – Kreol pokiwał głową. – Potrzymaj no.

Vanessa machinalnie wzięła od niego bagaż i aż krzyknęła ze zdziwienia. Torba wyglądająca na niezwykle ciężką, w rzeczywistości prawie nic nie ważyła – w każdym razie nie więcej niż kilogram.

– Ach, cały czas zapominam, jaki z ciebie sprytny cza… mag – powiedziała z zrozumieniem. – Zaklęcie Ulżenia? – uściśliła.

– Oczywiście. Sama mówiłaś, że moje narzędzia wzięto za pozłacane…

– Tak, oczywiście, zapomniałam… Księgę też zdążyłeś już zaczarować?

– A jakże! – pochwalił się z dumą.

Ku rozgoryczeniu Vanessy, wyglądający przez okno samochodu Kreol nie przejawiał szczególnego zdziwienia. Pierwsze wrażenie minęło i teraz mag patrzył obojętnie na cuda San Francisco. Co innego Hubaksis. Dżinn co chwila achał i ochał, i wszystko wskazywał palcem. – Domy do samego nieba! Ludzi więcej niż w Babilonie! I ani jednego strażnika!

– Khem… – odkaszlnęła Van znacząco, patrząc właśnie na policjanta nudzącego się koło radiowozu. – W ogóle to są, tylko wyglądają inaczej…

– A jak? – ze szczerym zainteresowaniem zapytał Hubaksis.

Zamiast odpowiedzi Vanessa milcząco wskazała ruchem głowy tegoż policjanta.

– Mogę się mylić – bez przekonania zaczął Hubaksis, drapiąc się po nosie – ale, według mnie, w takim właśnie ubraniu chodziłaś… no, na początku.

– Oczywiście – odparła nieporuszona Vanessa. – Widzisz, mój maleńki przyjacielu, według waszej przedpotopowej terminologii mnie także można nazwać strażnikiem.

Hubaksis stropił się. Kreol powoli uniósł głowę, do tej pory przechyloną od niechcenia na bok. Potem, wraz z dżinnem jednocześnie zachichotali.

– Nie rozśmieszaj mnie, kobieto! – Kreol aż pokładał się ze śmiechu.

– Kobieta strażnik?! – wtórował mu dżinn. – W życiu nie słyszałem nic równie głupiego! Tylko nie przekonuj mnie, że trafiliśmy do królestwa amazonek!

– Jakich znowu amazonek?! – nadęła się obrażona Vanessa. – U

nas panuje równouprawnienie płci, ot co!

– Starczy już! – krzyknął Kreol z lekkim zniecierpliwieniem. – Masz mnie za durnia? Równouprawnienie płci… Oczywiście, za moich czasów istniały państwa, w których mężczyzna mógł mieć tylko jedną żonę, ale nawet tam ich nie dopuszczali do walki… kobiet, znaczy.

– Właśnie – zgodził się Hubaksis. – Kobieta nie da rady nawet podnieść halabardy, jaki z niej strażnik?

– Nie chcecie, nie wierzcie – machnęła ręką Vanessa. – Z czasem sami się przekonacie.

– Zobaczymy – sceptycznie burknął mag. Obiecany cud, most Golden Gate zrobił jednak na Kreolu pewne wrażenie. Z szacunkiem pokiwał głową, oceniając ogrom pracy włożony w budowę takiego kolosa, ale od razu zauważył, że w porównaniu z Wieżą Babel to po prostu zabawka.

– Czyżby to nie był mit? – zdziwiła się Van.

– Nasza wieża? – dumnie powiedział Kreol. – Najprawdziwsza prawda. Setki tysięcy robotników budowało ją prawie czterdzieści dziesięcioleci! W budowie uczestniczyło stu dwudziestu należących do Gildii sumeryjskich magów! Nawet wasze budynki są niczym w porównaniu z tym cudem. A właśnie, czy jeszcze stoi?

– Bezsensowne pytanie, panie – ze smutkiem orzekł Hubaksis. – Jeśli Van myśli, że Wielka Wieża jest mitem, to znaczy, iż została zburzona tak dawno, że nikt nawet nie jest pewien, czy kiedykolwiek naprawdę istniała…

– Szkoda… – Pokiwał głową mag. – Przecież ja też naprawdę ją budowałem. Co prawda dopiero pod koniec…

– Wy dwaj jesteście bezcennymi świadkami! – krzyknęła Vanessa. – Każdy historyk dałby sobie uciąć pół nogi, żeby tylko móc z wami porozmawiać i dowiedzieć się, jak było… no, pięć tysięcy lat temu.

– Po co? – Kreol uniósł brwi. – Czyżbyście nie mieli kronik?

– Dobrze, zapomnij. – Van machnęła ręką, zniechęcona. – I tak nikomu nie udowodnisz, kim naprawdę jesteś i skąd się wziąłeś. Nie uwierzą. Co najwyżej wezwą psychiatrę…

– Nie uwierzą… – Kreol uśmiechnął się paskudnie. – A jeśli zamienię ich w stertę węgla, wtedy uwierzą?

– Wtedy zamiast psychiatry wezwą FBI – rozsądnie odpowiedziała Vanessa. – Tajne materiały i takie tam… Tak, a wy naprawdę nie zamierzacie wrócić?

– Dokąd? – nie zrozumiał mag.

– No, z powrotem, do przeszłości… – wyjaśniła Van. – Ja tu się z wami cackam, a wy nagle jutro – hop i zniknie cie?

– Co za głupoty opowiadasz, kobieto? – Kreol popatrzył na nią tak, jakby wątpił czy jest przy zdrowych zmysłach. – Jak można wrócić do przeszłości?

– A kto was tam wie, magików diabelskich, co możecie, a czego nie… – wymamrotała Vanessa.

– Kobieto! Bogowie najwyraźniej poskąpili ci rozumu! Żaden mag nie jest w stanie zmienić tego, co już się zdarzyło! Na Ea i Enlila, tego nie mogą nawet sami bogowie!

– Ani Wielki Chan – przytaknął Hubaksis.

– Jaki znowu chan? – spojrzała na niego spod oka Vanessa.

– Wielki Chan dżinnów i ifritów – wyjaśnił. – Panie, jak sądzisz, czy on jeszcze żyje?

– Nie jestem pewien. – Kreol zagryzł wargę. – Z jednej strony, minęło mnóstwo czasu, ale z drugiej strony, wy, dżinny, żyjecie niemalże wiecznie… A co, stęskniłeś się za starym panem?

– Chrońcie mnie bogowie! – Malutki dżinn aż się zatrząsł. – Co też, panie, szybciej się utopię niż odejdę od ciebie! On z pewnością będzie mnie torturował, aż… będzie mnie wiecznie torturował!

– Oj, tak, tak – życzliwie przytaknął mag. Całkiem zagubiona Vanessa prowadziła samochód, starając się zgadnąć, za co też Wielki Chan tak znienawidził tę kruszynę, że aż gotów był poświęcić całą wieczność, byleby tylko udręczyć go jak należy? I dlaczego nie może zrobić tego teraz – czyżby Kreol był silniejszy od władcy dżinnów?

Nieoczekiwanie mag pociągnął nosem jakby coś obwąchiwał. Van także powąchała powietrze, ale nie wyczuła nic poza zapachem benzyny. Jej toyota dawno już wymagała remontu – należało załatać chłodnicę i naprawić jeszcze kilka drobiazgów, ale cały czas brakowało na to czasu.

– Zatrzymaj się tutaj! – ostrym tonem zażądał Kreol.

Vanessa zdziwiła się, ale mimo wszystko nacisnęła hamulec. Po kilku nieudanych próbach Kreol w końcu uporał się z otwarciem drzwi i stanął na chodniku. Hubaksis zmniejszył się do rozmiarów muchy i skoczył w ślad za nim.

– Czuję magię! – ochrypłym głosem poinformował mag, cały czas węsząc wokół. – Pierwszy raz od przebudzenia czuję cudzą magię! Stamtąd!

Wskazał na niewielki sklepik ze starociami. Vanessa wzruszyła ramionami, pisnęła pilotem, zamykając samochód i ruszyła w ślad za Kreolem. Wcale nie uśmiechało jej się zostawić maga samego na środku ulicy.

– W czym mogę pomóc, madame? – Właściciel sklepu nadszedł, słysząc dźwięk dzwonka nad drzwiami i rozpłynął się w przesłodzonym uśmiechu.

Kreol z pożądaniem oglądał wystawę, nie przestając przy tym wietrzyć. Raczej nie można było od niego oczekiwać pomocy.

– Sama nie wiem… – niezgrabnie plątała się Van. – A nie ma pan czasem czegoś takiego… nie wiem jak to powiedzieć… magicznego?

Sprzedawca uśmiechnął się ze zrozumieniem. Najwyraźniej był przyzwyczajony do różnych dziwaków.

– Madame – przysunął się do niej bliżej – muszę powiedzieć, że mamy dużo z tego, czego pani potrzeba. To jest, na przykład… – pochylił się nad jednym z pudełek i wyjął coś podobnego do wysuszonego korzenia – najprawdziwsza mandragora. Jest w stanie wyleczyć prawie wszystkie choroby, a także – mrugnął frywolnie – znacznie zwiększyć męską potencję. Czy to panią interesuje?

– Mówi, że to mandragora – przetłumaczyła Vanessa Kreolowi. – Czy to prawda?

Mag rzucił krótkie spojrzenie na korzonek i pogardliwie fuknął.

– To wysuszona łodyga bylicy. Nawet nie jest podobna do mandragory. W tym śmieciu nie ma za grosz magii.

– Mój znajomy mówi, że to bylica – przetłumaczyła Vanessa ze śmiechem.

– Zapewniam, madame, że to najprawdziwsza mandragora! – oburzył się sprzedawca. – Czyżbym miał panią oszukać z powodu jakiś głupich sześćdziesięciu dolarów?

– Tu jest! – zawołał podekscytowany Kreol, ryjący w skrzynce z tanimi ozdobami. – Kup to, kobieto! Zapłać każdą cenę, to jest tego warte!

Mówił oczywiście po sumeryjsku, ale sprzedawcy wystarczył sam ton głosu, którym wypowiedziano te słowa. Jego oczka od razu zabłysły, a wewnętrzna kasa nerwowo zabrzęczała.

– Ile kosztuje ta rzecz? – zapytała Vanessa, ciągle jeszcze z powątpiewaniem. Można ją zrozumieć, jeśli wziąć pod uwagę, że znaleziony przez Kreola przedmiot był tylko pozieleniałym ze starości amuletem na łańcuszku. Wykonanym chyba z brązu. Widać było na nim jakieś zygzaki, ale nawet doświadczony kryptograf nie podjąłby się odgadnąć, co oznaczają. Był jeszcze spiralny wzór na odwrocie, też całkiem nieciekawy.

– Oooo, madame! – Sprzedawca przewrócił oczami, jakby przyszło mu sprzedać ukochanego syna. – Pani przyjaciel znalazł jeden z najcenniejszych skarbów w mojej kolekcji! To starożytny talizman hinduskich fakirów, zdolny chronić przed nieszczęściem, a także… – znowu frywolnie mrugnął – zwiększyć męską potencję…

– To antykwariat czy sex shop? – zapytała Vanessa z obrzydzeniem. – Pytam się, ile to kosztuje?

– Jest bezcenny, madame, bezcenny! Tylko dla pani, tylko dla pani, mogę odstąpić go za… powiedzmy… za pięćset dolarów.

– Co?!!! – wrzasnęła Van ze złością. – Pięćset?! W cenniku jest napisane: pięćdziesiąt!

– To niemożliwe! – Oburzony sprzedawca aż syknął. – Niemożliwe! Niech no spojrzę… ach, o to chodzi! To mój synek, mały

łobuz, zamazał jedno zero jakimś świństwem. Dzieci, dzieci… Nic się nie stało, zaraz je dopiszę… To co, bierze pani czy nie? Proszę się szybko decydować, za kilka minut zamykam.

Vanessa bezsilnie opuściła ręce. Zupełnie nie miała ochoty dać takiej sumy za jakiś głupi talizman. Gdyby miała przy sobie odznakę i pistolet, z pewnością nie wytrzymałaby i aresztowała oszusta.

– Widzisz, co narobiłeś! – wyszeptała po sumeryjsku do Kreola. – Gdybyś się tak głośno nie cieszył, sprzedałby nam to za pięćdziesiąt! Może nawet wytargowałabym za połowę tego!

– Mmm… tak. – Kreol podrapał łysinę. Od razu zrobiło mu się wstyd – mag nienawidził przepłacać na straganach. – Zapytaj go, czy nie zechce się zamienić?

– A na co? – zdziwiła się Van. – Tylko nie mów, że oddasz w zamian swojego Świętego Graala!

– Ani myślę! – zapewnił mag. – Niewolniku, stwórz w mojej lewej kieszeni twardą iluzję złotego pierścienia z brylantem.

– Słucham, panie – pisnął nie wiadomo skąd Hubaksis.

Gdy Kreol wyjął rękę z kieszeni, błyszczał w niej wspaniały pierścień. Nawet królowa angielska nie powstydziłaby się ozdobić takim swój palec. Nie ma nawet co wspominać, jak na ten widok sprzedawca-krętacz wybałuszył oczy.

Wyciągnął spod stołu szkło powiększające, sprawnie obejrzał kamień, spróbował ugryźć metal, o mało nie łamiąc przy tym górnego siekacza, a potem prędko podetknął Vanessie brązowy medalion.

– Zgoda! – wykrzyknął szybko. – Zabierajcie swój zakup, madame, i proszę wyjść jak najszybciej! Już zamykam… Pora na kolację… spać… wziąć lekarstwa… Do widzenia, madame, zapraszam ponownie!

Dosłownie wypchnął Vanessę i Kreola ze sklepu i od razu zamknął drzwi na zasuwę. Za szybą zakołysała się wywieszka „**zamknięte”.**

– A co on tak? – Mag podniósł brwi.

– Boi się, że się rozmyślimy – zachichotała Van. – Fajny był pierścionek, trochę nawet szkoda…

– Nie ma co żałować – krótko powiedział mag, wsiadając do toyoty. – Uruchom swój rydwan, bo obawiam się, że to on się zaraz rozmyśli.

– Dlaczego? – zainteresowała się wesoło. – Nawet jeśli brylant był fałszywy, taki pierścionek i tak jest wart więcej niż ten drobiazg.

– Widzisz, kobieto – Kreol rozciągnął usta w uśmiechu – mój niewolnik jest bardzo małym dżinnem, a twarde iluzje są znacznie trudniejsze od bezcielesnych. Ten pierścień będzie istniał pięć minut, nie dłużej. Myślę, że nasz nowy znajomy już stał się świadkiem tego, jak pierścień rozpłynął się w powietrzu.

– To nie moja wina – ze skruchą powiedział dżinn. – Przecież tyle

ci wystarczyło, panie?

Vanessa oparła się czołem o kierownicę i wybuchnęła bezdźwięcznym śmiechem. Oczywiście, dopiero co stała się współuczestnikiem oszustwa, ale myśl o tym, że naciągacz sam został naciągnięty i do tego tak sprytnie, sprawiła jej wielką przyjemność.

– A mimo wszystko, co w tej rzeczy jest takiego nadzwyczajnego? – zapytała w końcu z zainteresowaniem. – Dla mnie to po prostu tania biżuteria, w każdym śmietniku można znaleźć ładniejszą…

– Jeśli znajdziesz jakieś ustronne miejsce, pokażę ci, do czego jest zdolny nasz nabytek – obiecał Kreol.

Vanessa poczuła ciekawość. Skręciła w odludną uliczkę i zatrzymała się w mrocznym zaułku między dwoma domami. Nikt tu nie pojawiał się częściej niż raz – dwa razy w ciągu dnia.

Kreol wyszedł z samochodu, rozejrzał się dookoła, szczególnie długo zatrzymał wzrok na stercie śmieci wysypujących się z przewróconego pojemnika i wyraźnie powiedział:

– Sługo, ukaż się!

Kilka metrów od niego, wprost z powietrza zmaterializowała się figura podobna do rozczochranego nastolatka, z tym że w całości wyrzeźbionego z kryształu. Widać było przez niego przedmioty i wyglądał na pozbawionego życia. Oczy miał smutne, zgaszone.

– Kto to? – szeptem zapytała Vanessa, na wszelki wypadek chowając się za plecami Kreola.

– Magiczny Sługa – odpowiedział mag. – Stworzony przez magię. Zazwyczaj jest niewidoczny. Nie ma uczuć, ani pragnień, ani nawet myśli. Umie tylko spełniać rozkazy. Rozkazy tego, kto nosi ten amulet. – Kreol uśmiechnął się złośliwie.

– Nieźle! – zgodziła się Vanessa. – A co on może?

– No, nie tak już wiele – przyznał Kreol. – Nie więcej, niż dobry robotnik. Uszyć ubranie, zrobić meble, zbudować dom…

– Nooooooooo – rozczarowała się Vanessa. – To oczywiście nieźle, ale…

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków, kobieto – uśmiechnął się Kreol. – Najpierw popatrz sama. Sługo, sprzątnij te śmieci!

Magiczny Sługa zniknął w mgnieniu oka. Kontener błyskawicznie stanął na miejscu, a rozrzucone dookoła śmieci same zaczęły się zbierać i wpadać do wewnątrz. Wszystko działo się w takim tempie, że Vanessa nie mogła nadążyć wzrokiem za latającymi papierami i ogryzkami. Nie minęło nawet dwadzieścia sekund, a wszystko dookoła wręcz błyszczało, jakby przed chwilą przeszła tędy brygada stróżów. Van westchnęła z podziwem.

– Robi wrażenie…!

– Porusza się sto razy szybciej niż zwykły człowiek, a do tego ma wszystkie narzędzia niezbędne do wykonania dowolnej pracy. – Mag

uniósł palec. – Pracuje za setkę robotników, a przy tym nie je i nie śpi.

– A samochód może naprawić? – zainteresowała się Vanessa.

– Samochód? – zamyślił się mag. – Nie wiem… Oczywiście, Magiczny Sługa umie dużo, ale przecież jest bardzo, bardzo stary… Widzisz, tu na odwrocie jest napis w języku, który był starożytny już za moich czasów.

– I co, każdy może założyć tę błyskotkę i wydawać rozkazy temu chłopakowi?

– Oczywiście. – Wzruszył ramionami Kreol. – Chcesz spróbować?

– Mogę? – ucieszyła się Vanessa.

– Proszę bardzo, dlaczego by nie…

Mag zdjął amulet i własnoręcznie włożył go na szyję dziewczyny. Zimny łańcuch przyjemnie chłodził skórę, a sam amulet prawie nic nie ważył, jakby podlegał Zaklęciu Ulżenia.

– No dalej, Van, rozkaż mu coś – rozległ się głos Hubaksisa.

– Zaraz… zaraz… niech to diabli porwą, nic mi nie przychodzi do głowy…

Vanessa rozejrzała się dookoła. Na ziemi nie znalazła nic odpowiedniego.

– No? – Kreol uniósł brwi.

– No poczekaj żesz… – Van zagryzła wargi.

– Rozkaż mu rozłożyć śmieci tak, jak leżały przedtem… – zjadliwie poradził dżinn.

– Odczep się! Stop, przypomniałam sobie!

Vanessa wyjęła z torby przypadkowo zabraną pomarańczę i uniosła wysoko przed sobą, jakby chciała nią nakarmić niewidzialnego słonia.

– Zupełnie nie umiem ich obierać, zawsze się opryskam sokiem – rzekła konfidencjonalnym szeptem. – Ej, ty tam, obierz pomarańczę!

Nic się nie wydarzyło.

– Coś się zepsuło?

– Po prostu zapomniałaś dodać: „sługo” – burknął mag. – Słowo-klucz. Jak inaczej ma zrozumieć, że zwracasz się do niego, a nie do kogoś innego?

– Tak? Dobrze… Sługo, obierz pomarańczę!

W następnej sekundzie skórka z prędkością błyskawicy odpadła z owocu i wylądowała na dłoni Vanessy. Na słodkim miąższu nie zostało ani śladu skórki.

– Nieźle – oceniła, dzieląc pomarańczę na trzy równe części. – Tylko po co oddał mi skórkę? Mógł ją wyrzucić, czy on jest całkiem tępy?

– Oczywiście. – Mag kiwnął głową. – Wypełnia rozkazy i nic więcej. I dobrze, że jest całkiem pozbawiony rozumu.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Magiczny Sługa obdarzony rozumem wcześniej czy później poczuje się zmęczony swoją sytuacją. W rezultacie nieunikniony jest bunt. Znam co najmniej trzy przypadki, gdy taki właśnie sługa zabił swego pana.

Vanessa o mało nie udławiła się pomarańczą. Pospiesznie zdjęła z szyi łańcuszek i oddała amulet Kreolowi. Nieporuszony, założył go z powrotem, obok swojego starego amuletu ochronnego i dodał:

– Ale tego nie ma się co bać. Oczywiście, jeśli wydam mu rozkaz, aby cię zabił, wypełni go co do joty, ale równie dobrze można bać się kuchennego noża. Chociaż nie, nie mam racji. Nawet mniej. Magiczny Sługa nie może zrobić krzywdy swemu panu – to część jego życiowego credo.

– W takim razie jak mogli się buntować? – podejrzliwie zapytała Vanessa.

– Zwykła sprawa. Niedoróbka w zaklęciu. Większość magów obdarza takich magicznych służących chęcią do pracy. Miłość do pracy, rozumiesz?

– Czyli robią z nich pracoholików? – Kiwnęła głową Van. – I co w tym złego?

– Sługa stopniowo staje się coraz bardziej samodzielny. Zaczyna domagać się od pana pracy – najpierw nieśmiało, a potem coraz natarczywiej. Z czasem dochodzi do tego, że grozi zabiciem maga, jeśli nie dostanie kolejnego rozkazu.

– A niech to, czegoś takiego nie wymyśliły nawet nasze związki zawodowe! – mruknęła Vanessa. – I co, zabijają?

– Rzadko. Większość magów stosuje w takim przypadku zwyczajną pułapkę – nakazują słudze zrobić coś niewykonalnego. Na przykład ukręcić bicz z piasku, albo wyczerpać morze łyżką. Zajmuje to temu stworzeniu nieokreślony czas.

– Czasami dają im jeszcze magiczną siłę – dodał Hubaksis. – Znałem kiedyś jednego maga, władającego takim sługą. Nazywał go „To, Nie Wiadomo Co”.

– Wydaje mi się, że w dzieciństwie czytałam podobną bajkę… – zamyśliła się Van.

Rozdział 5

Wróciwszy do domu, Kreol przede wszystkim zajął się amuletem Sługi, sprawdzając, czy nie ma w nim ukrytej pułapki. Dokładniej rzecz ujmując, sprawdzał wszystkie możliwe wbudowane świństwa. Przy okazji poinformował ściany, że w przypadkowo znalezionym amulecie może siedzieć wszystko, co tylko komu przyjdzie do głowy, nawet jeszcze jeden demon – tyle, że wrogi.

Ściany – dlatego, że Vanessa i Hubaksis nie wyrazili chęci przyglądania się jego pracy. Woleli oglądać telewizję. Oczywiście Kreol okropnie się obraził, ale nikt na to nie zwrócił uwagi.

– Prawdziwych mistrzów nie cenią nigdzie – burczał półgłosem. – Ani tutaj, ani w Sumerze…

Mamrotał, ale tak, żeby słyszano go w drugim pokoju. Nawet otworzył szerzej drzwi, żeby wszyscy dookoła wiedzieli, jaki jest niezadowolony. Van natychmiast pogłośniła dźwięk w telewizorze.

– Mimo wszystko nie rozumiem – nachmurzył jedyne oko Hubaksis, tępo wpatrując się w ekran. Nie rozumiał ani słowa, ale mimo to oglądał. – Jeśli ten człowiek poprawnie odpowie na pytanie, to dostanie pieniądze?

– Aha. – Vanessa obojętnie przytaknęła. – Dwadzieścia dolarów. Jeśli jeszcze raz odpowie – dostanie więcej.

– A jeśli źle odpowie? Zabiją go? – zapytał dżinn z wyraźną nadzieją.

– Oczywiście, że nie. Po prostu nie dostanie nagrody.

– Nawet nie obiją go pałkami?

– Nie obiją.

– Nawet nie wbiją gwoździa w plecy?

– Ależ masz fantazję… – Vanessa z wyrzutem pokręciła głową.

– To co w tym jest ciekawego? – Hubaksis był szczerze rozczarowany. – Pokaż lepiej walkę gladiatorów.

Vanessa też niezbyt lubiła te wszystkie intelektualne widowiska, dlatego bez specjalnych sprzeciwów zaczęła przerzucać kanały, szukając czegoś, co mogłoby być odpowiednikiem walki gladiatorów. Poszczęściło jej się – już przy piątej próbie trafiła na wrestling. Hubaksis natychmiast się zainteresował.

– To gladiatorzy?

– Tak.

– A dlaczego są bez broni?

– Bo to *tacy* gladiatorzy! – z rozdrażnieniem odpowiedziała Van.

– Bójka na pięści to zajęcie dla tłuszczy – natychmiast zawyrokował dżinn. Patrzył jeszcze przez kilka sekund, a potem zawołał ze wzburzeniem: – Przecież to nie jest prawdziwa walka!

Wszystko jest ustawione! Patrz, patrz, ten uderzył tamtego stołkiem, a nawet żeber mu nie złamał! Tak się nie zdarza!

– A może jest osłonięty tarczą siłową? – odezwał się Kreol, który wszystko doskonale słyszał. – Pamiętam, kiedy byłem jeszcze czeladnikiem, zarabiałem, pomagając najemnikom wygrywać pojedynki… Zawiniesz takiego w magiczny kokon i można go okładać czymkolwiek, nawet świątynią Enlila…

– Nie, panie, gdybyś sam zobaczył, nie mówiłbyś takich rzeczy! – zdecydowanie zaprzeczył Hubaksis. – Wyraźnie nie uderzył z całej siły! Wszystko jest ustawione, na pewno! W tym świecie nawet gladiatorzy są niepełnowartościowi!

Vanessa z niezadowoleniem wydęła wargi. Jej też nie podobał się wrestling, ale jakim prawem ten beznogi krasnal narzeka na coś, o czym nie ma pojęcia?

W tym czasie Kreol zakończył pracę nad amuletem. Nie znalazł w nim nic podejrzanego, ale nie rozwiało to wszystkich jego wątpliwości. Aby ostatecznie się uspokoić, postanowił zastosować najcięższą broń – jednego ze swych osobistych demonów. Mag szybkim ruchem musnął rytualnym nożem nadgarstek tak, aby krew kapnęła do podstawionej czary i ściszonym głosem wymamrotał:

– Twoim imieniem i swoją krwią przywołuję cię, Skaramachu. Przybądź i powiedz mi wszystko, co pragnę wiedzieć, przyzywam cię imieniem Marduka i jego pięćdziesięciu wcieleń. Przyjdź, skosztuj mojej krwi oddanej dobrowolnie.

Skaramach nie należał do legionu Eligora, a więc nie dotyczyła go umowa zawarta przez Kreola w zamierzchłych czasach. Dlatego mag musiał zapłacić – bezpłatnie demon nie pracował. Przy czym kilka kropli krwi nie było zbyt wygórowaną zapłatą, a znosić ból Kreol nauczył się w wieku piętnastu lat. Jego pierwszy nauczyciel był urodzonym sadystą i często zabawiał się, odcinając uczniom kończyny i przywracając je potem na miejsce. Tych, którzy w czasie „operacji” krzyczeli z bólu, bił do nieprzytomności posochem. Odlanym z czystego brązu.

Skaramach nie ociągał się. Pojawił się jakby znikąd i zawisł w powietrzu na wysokości brzucha Kreola – szarobury stwór wielkości ludzkiej głowy, podobny do nieprawdopodobnie otyłego pająka. Miał osiem pajęczych nóg wystających z porośniętego sierścią tułowia, na grzbiecie sterczało mu kilka długich i cienkich „wąsików”, a głowa przypominała łeb żuka, choć z paszczą bestii.

Ten niewielki demon był zazwyczaj wykorzystywany właśnie do sprawdzania, czy w przedmiotach lub miejscach nie kryją się jakieś niebezpieczne paskudztwa, ale można było go wykorzystać także w inny sposób. Na przykład, można było mu rozkazać, aby kogoś zabił. Kreol nieoczekiwanie poczuł palenie w piersiach – ochronny amulet

prawie krzyczał, ostrzegając o niebezpieczeństwie.

– Co to znaczy, pomiocie Lengu?! – Mag groźnie popatrzył na Skaramacha.

Ale ten nie uznał za stosowane nawet się przywitać. Uważnie popatrzył na Kreola owadzimi oczami, a potem szybko otworzył pysk i wystrzelił cieniuchną pajęczynę. Pajęczyna ta mogła przeniknąć na wylot nawet najtwardsze metale, ale teraz haniebnie rozpłynęła się, pochłonięta przez zaklęcie Osobistej Ochrony. Jednakże tuż za nią pojawiła się następna, która zniszczyła kolejną Osobistą Ochronę. Trzecia pajęczyna przeszła przez Kreola jak przez masło, zostawiając po sobie maleńką dziurkę w prawym płucu i krótkotrwały ból.

Wszystko to trwało nie dłużej niż trzy sekundy. Kreol, który nie spodziewał się zdrady ze strony Skaramacha, wiernie służącego mu niejedno dziesięciolecie, w pierwszej chwili nie zadbał o ochronę. Ale już w następnej zareagował.

– Na łono Tiamat! – krzyknął, wzburzony, aktywizując jednocześnie dwa zaklęcia: Zbroję Marduka i Ognistą Kopię.

Zbroja Marduka służyła przede wszystkim do ochrony przed wrogimi demonami Lengu – była w stanie odbić znaczną część ich arsenału. Ognista Kopia natomiast… Wyobraźcie sobie bijący z ludzkiej dłoni słup ognia grubości męskiego ramienia, a będzie wiadomo, co magowie rozumieją pod pojęciem kopii.

Skaramach z nieludzką szybkością uchylił się przed Ognistą Kopią i uniósł się aż pod sufit. Kreol gniewnie zaryczał i rzucił w przeciwnika zaklęcie Paraliżu. Nie dało to jakiegoś specjalnego efektu – ten rodzaj Paraliżu świetnie działa na stałocieplnych, ale niestety Skaramach był prawie całkiem pozbawiony krwi.

Latający pająk złośliwie zarechotał i wystrzelił cały pęk pajęczyny, która przeniknęła przez meble i ściany, ale nie zostawiła nawet zadrapania na ciele sumeryjskiego maga. Jednakże Zbroja Marduka wyraźnie pobladła – żadne zaklęcie obronne nie może ochraniać swojego właściciela wiecznie. Niektóre działają tylko przez określony czas (zazwyczaj niezbyt długi), inne mogą pochłonąć lub odbić tylko określoną liczbę ciosów, inne bronią tylko przed czymś konkretnym, na przykład przed ogniem lub piorunem, jeszcze inne dają nieprzyjemne efekty uboczne. (Kokon Absolutnej Ochrony działa praktycznie wiecznie, ale mag chroniony tym zaklęciem praktycznie nie może nawet drgnąć, gdy więc niebezpieczeństwo nie mija, czarodziej po prostu dusi się wewnątrz własnej ochrony).

Kreol zrobił dziką akrobację, unikając kolejnej porcji demonicznej pajęczyny i szczupakiem skoczył w stronę łóżka, gdzie leżał magiczny łańcuch. Jednak Skaramach świetnie wiedział, co to jest (Kreol niejeden raz stosował łańcuch przeciwko niemu), dlatego błyskawicznie znalazł się między magiem a jego instrumentami,

odstraszająco szczerząc kły. Kreol uderzył go Błyskawicą i w czasie, gdy demon wił się z bólu – przed Błyskawicą praktycznie nie da się uchylić, ale nie jest ona zbyt efektywna przeciwko demonom takim jak Skaramach – uderzył Rezonansem Dźwiękowym, który odrzucił potwora na ścianę.

– Aha! – wrzasnął mag, chwytając łańcuch. – Uważaj teraz, pomiocie Lengu!

– Co się tam u ciebie dzieje? – zawołała Vanessa, która dopiero teraz oderwała się od telewizora. Całkowicie nieprawdziwe, ale jednak efektowne walki „gladiatorów" tak wciągnęły ją i Hubaksisa, że zupełnie nie słyszeli odgłosów magicznej bitwy rozgrywającej się w sąsiednim pokoju.

– Won stąd! – krzyknął mag, kręcąc coraz szybciej łańcuchem nad głową.

Skaramach nie przestraszył się ani trochę. Przemieścił się nieco niżej i strzelił pajęczyną w brzuch Kreola. Zbroja Marduka odbiła i ten pocisk, ale zrobiła się taka blada, że każdy głupi by zrozumiał – jeszcze kilka uderzeń i całkiem się rozwieje. A Kreol, jak na złość, nie zachował prawie nic w zapasie – wykorzystał już niemal wszystkie zaklęcia, jakie umieścił w pamięci. Miał oczywiście na podorędziu jeszcze kilka drobiazgów, ale były w tej chwili zupełnie nieprzydatne.

Gdy Kreol wymachiwał łańcuchem, starając się choć raz trafić zbuntowanego demona, Vanessa zdążyła pobiec po pistolet. Tak się spieszyła, że po drodze poślizgnęła się, upadła i silnie stłukła kolano.

– Nie ruszaj się! – krzyknęła, celując w obrzydliwe stworzenie.

Skaramach nawet się nie obejrzał. Otworzył szerzej paszczę i strzelił takim pękiem pajęczyny, że starczyłoby na parę hipopotamów. W ostatniej chwili Kreol zdążył rzucić ostatnie zaklęcie, jakie mu jeszcze zostało – Ognistą Aurę, ale starczyło jej tylko na dwie trzecie pajęczyny. Większą część z tego, co przetrwało, pochłonęły żałosne resztki Zbroi Marduka, ale dwie albo trzy nici pajęczyny przeszyły na wylot brzuch Kreola.

Vanessa mimowolnie mrugnęła, wyobrażając sobie jak to musi boleć i, prawie nie celując, strzeliła.

– Aaaaa! – dziko zawył Kreol, padając na ścianę.

– Nie trafiłam? – wyszeptała przestraszona dziewczyna.

– Trafiłaś – wychrypiał mag, trzymając się za brzuch, z którego krew płynęła strumieniami. – Och, mój brzuch… Sijła chazir, med'aj tek-karrib…

– Van strzelaj, no strzelaj! – zawył Hubaksis. – Pan jest pusty, skończyły się wszystkie zaklęcia!

Vanessa posłusznie wystrzeliła jeszcze raz. Tym razem trafiła tam, gdzie celowała – Skaramach nigdy dotąd nie miał do czynienia z bronią palną i nie miał pojęcia, że pistolet może być równie

niebezpieczny jak magia. Nawet przykład Kreola nie nauczył go ostrożności.

Przebity kulą na wylot, zapiszczał cienko i przewrócił się na bok. Dla demona jego rangi taka rana to drobiazg, mógł ją zaleczyć w ciągu kilku minut. Ale tego czasu w pełni wystarczyło Kreolowi, aby doczytać zaklęcie. Nadzwyczaj zabójcze zaklęcie – Kopię Marduka. Marduk to najbardziej wyklęte wśród demonów Lengu imię. Nikt inny nie wyrządził im tyle szkody, co ten mag-wojownik, który po śmierci stał się jednym z najsilniejszych bogów.

Pozbawiony oka i połowy łap Skaramach upadł na podłogę. Niewielki stwór wyglądał jak martwy, ale nadal mógł się bronić. Gdyby dano mu taką możliwość.

Jednakże Kreol, pokonując ból, wstał i z całej siły uderzył demona łańcuchem. Ten podskoczył jak piłka – na burym brzuchu pojawiła się jasnoczerwona pręga jak od oparzenia.

– Mów, robaku w łajnie Tiamat i jej wodza Kingu! – zaryczał Kreol, waląc go jeszcze raz. – Mów!

– Co mam powiedzieć? – wychrypiał Skaramach najczystszym sumeryjskim. Jego szczęki nie poruszały się, głos powstawał gdzieś w brzuchu.

– Dlaczego na mnie napadłeś, robaku?! Kto cię przekupił: Troy, Meszen'Ruz-ah?! Kto?!

– Mag… – z trudem wydusił z siebie pokaleczony demon. – Mag…

– Jaki mag?! No?! Niewolniku, podaj mi nóż!

– Teraz będą tortury… – zachichotał złośliwie dżinn.

– Przestań, ale już! – zdecydowanie wtrąciła Vanessa. – Jakie tortury?! Nie jesteście w Babilonie, to są Stany Zjednoczone! Żadnych tortur!

– To demon, demony można torturować – obraził się Hubaksis. – Powiedz jej, panie.

– Milcz, niewolniku – burknął Kreol. Przykucnął obok na wpół martwego Skaramacha i cichutko wyszeptał pochylając się nad nim: – Obiecuję, pomiocie Lengu, że jeśli nie powiesz, kto zapłacił za zdradę, wsadzę cię do klatki i będę męczyć tyle wieków, ile sam dam radę przeżyć – a zamierzam żyć długo.

– Troy… – wycharczał Skaramach. – Troy…

– Kiedy to było? Kiedy mu się sprzedałeś?

– Dawno… Bardzo dawno… Wiele wieków…

– Ale Troy nie żyje, ty płodzie Lengu! Czyżby umowa obowiązywała także po śmierci?!

– Troy… żyje…

– Troy żyje?! Jak?! Gdzie jest?!

– Nie wiem… Nic więcej… Wypuść mnie…

– Wypuścić cię? – zachichotał Kreol. – Wypuścić… Zupełnie

oszalałeś, demonie! Jeszcze nie zwariowałem, żeby zostawiać żywych wrogów. Hej tam, niewolniku, pomóż mi…

Hubaksis świetnie wiedział, co ma robić. Kreol otoczył niezdolnego do najmniejszego nawet ruchu demona magicznym łańcuchem, a dżinn unosił się nad nim, tworząc w powietrzu iluzje wielu pieczęci – wszystkie miały tę samą postać: krwistoczerwony okrąg z poprzecznym pasem, ozdobiony falistymi liniami i krzywą swastyką w lewym rogu. Mag podniósł laskę i zaczął wymawiać straszne zaklęcie.

Wrzyj, wrzyj! Płoń, płoń!
Związuje cię! Związuję cię!
Oddaję cię Girze, Władcy Ognia!
Niech Wiecznie Płonący Girra da siłę moim rękom!
Niech Władca Ognia Gibil da siłę moim czarom
Utuk Chuł Ta Ardata!
Niech twe wnętrzności obrócą się w popiół!
Niech twe ciało obróci się w popiół!
Niech rozum twój obróci się w popiół!
Niech twoja dusza obróci się w popiół!
Płoń!
Wrzyj!
Nie ja, ale Marduk, syn Enki, nakazuje ci!
Kakkammu! Kanpa!
Pomiocie Mroku, wracaj tam, skąd przyszedłeś!
Pomiocie Mroku, zniknij w Chaosie, który istniał od zarania dziejów!
Pomiocie Mroku, tak oto niszczę twoją dusze!

Z każdym słowem nad magicznym łańcuchem coraz wyżej unosiły się płomienie niebieskiego ognia, przybliżające się do uwięzionego demona. Skaramach żałośnie charczał, ale nie prosił o litość – gdyby w bitwie zwycięzcą okazał się nie sumeryjski mag, lecz on, też nie oszczędziłby Kreola.

Wraz z ostatnim słowem zaklęcia Skaramach ohydnie zawył i dosłownie rozsypał się w szary proch. Oszołomiona Vanessa patrzyła, jak gaśnie niebieski ogień, a Kreol podnosi rozpalony łańcuch, nie parząc się przy tym ani trochę.

– Troy żyje… – Zasmucony mag potarł podbródek. – Żyje… Na łono Tiamat, jak mu się udało?! Ile jeszcze moich demonów przekupił? Dobrze chociaż, że nie podlega mu legion Eligora… Ale teraz trzeba będzie pracować ostrożniej.

– Kim jest Troy? – Vanessa zażądała odpowiedzi.

– Przynajmniej nie wie, że zmartwychwstałem. Inaczej sam by

zaatakował. Na razie wpadłem tylko do starej pułapki…

– Kim jest Troy?!

– Jak myślisz, niewolniku, jak mu się udało tyle przeżyć? Oczywiście, też mógł przespać te wszystkie lata, ale jeżeli nie… Arcymag nie jest w stanie przeżyć pięciu tysięcy lat… ale Pierwszy… brrrrrrr… Troy został Pierwszym Magiem?! Toż to mój najgorszy koszmar…

– Kim! Jest! Troy! – Vanessa leciwie mogła się powstrzymać, żeby nie uderzyć ignorującego ją, jakby specjalnie, Kreola.

– A ciebie warto by wyprawić w ślady Skaramacha, kobieto! – Kreol odwrócił się do niej gwałtownie.

Vanessa aż usta otwarła z oburzenia.

– Za co?!

– A za to… – zazgrzytał zębami mag, zdejmując koszulę. W jego brzuchu ziała taka dziura, że gdyby na jego miejscu był zwykły człowiek, dawno by się już wykrwawił. – Jeszcze trochę niżej i żegnaj nadziejo na potomka! Niewolniku, podaj mi nóż!

– Ja… ja nie chciałam. – Vanessa okropnie się przestraszyła. – Przecież cię uratowałam!

– Dlatego nie złoszczę się na ciebie – smętnie oświadczył Kreol. – Co za szalony świat – każdy głupek może wziąć taki amulet, jak twój…

– To się nazywa „pistolet”, panie – wysapał dżinn, dociągnąwszy w końcu na miejsce nóż dwa razy większy od niego samego.

– Co za różnica… Nie, trzeba nałożyć na siebie więcej zaklęć ochronnych. Twój świat jest jeszcze gorszy niż mój, a do tego okazało się, że Troy żyje.

– A więc nie jesteś na mnie zły? – ostrożnie upewniła się Vanessa, patrząc na zakrwawionego maga.

– Nie. Ale dziękować też nie będę. Zarobiłaś jeden punkt i jeden straciłaś. W sumie – zero.

– A w takim razie po co ci nóż?

Kreol ze złością zgrzytnął zębami i pokazał do czego potrzebny mu jest nóż – zaczął dłubać w ranie, wyjmując z niej kulę. Jeśli odczuwał ból, to nie pokazał tego po sobie. Wyjąwszy kulę, mag wyszeptał zaklęcie Uzdrowienia – rana po kuli zaczęła szybko się zmniejszać, aż całkiem znikła. Przy okazji wyleczony został cały brzuch – zrobił się różowy i gładki.

– A mimo wszystko – kim jest Troy? – Vanessa nie dawała za wygraną.

– Moim krewnym – niechętnie odpowiedział mag. – Hańba naszego rodu. Zdaje się, że jego pradziadek był bratem mojej babki… albo na odwrót – jego babka była siostrą mojego pradziadka…

– Nie pamiętasz nawet, kim jest dla ciebie? – zdziwiła się Van. –

Kuzynem czy wujem?

– A co za różnica – parsknął Kreol lekceważąco. – Mam… miałem mnóstwo krewnych. Co prawda dalekich – bliskich nie. Matka umarła podczas porodu, a ojciec… Ojciec, moim zdaniem, przypominał sobie o moim istnieniu tylko wtedy, gdy nawinąłem mu się pod rękę. Urodziłem się, gdy miał już siedemdziesiątkę – też był magiem, a magowie starzeją się wolniej. Braci ani sióstr nie miałem, dzieci też nie.

– A żonę?

Kreol zrobił taką minę, że Vanessa od razu zrozumiała – należał do tych, których przyjęto nazywać zatwardziałymi kawalerami.

– Nie, trzeba szybko przenieść się do innego domu – zagryzł wargi Kreol. – Jeśli Troy żyje, trzeba przygotować się do obrony. Kingu go wie, gdzie teraz jest i ile sił zgromadził… Że też go nie dobiłem… Ten dom jest za duży – nie da się go otoczyć stałą tarczą. Za długo by to trwało. Szachszanor – mój stary pałac – woziłem się z nim prawie dwa lata… Chociaż wtedy byłem młodszy. Ale tak czy siak, potrzebne jest coś mniejszego. Troy się nie uspokoi…

– A dlaczego w ogóle chce cię zabić? Myślałam, że krewni powinni się kochać nawzajem – odezwała się Van.

Kreol i Hubaksis popatrzyli na siebie, a potem jednocześnie zachichotali. Śmiali się tak długo i głośno, że Vanessa na serio się obraziła.

– Mam z Troyem… stare porachunki – ugodowo odpowiedział Kreol, gdy w końcu opanował atak wesołości. – Jeszcze z czasów, gdy zajmowałem stanowisko Głównego Maga. Zawsze uważał, że to miejsce należy się jemu, a ja, sama rozumiesz, nie zgadzałem się z tym. Chociaż nie, kłamię, w rzeczywistości to zaczęło się znacznie dawniej…

– Czy to nie było wtedy, jak ty, panie… – wtrącił się Hubaksis.

– Milcz, niewolniku! – warknął mag. – To wszystko jest już tylko przeszłością! Wyrównaliśmy z Troyem rachunki i teraz to on jest mi winien dwa albo i trzy życia! Dlatego go zabiję – zakończył całkiem już spokojnie.

– Oczywiście, że zabijesz. Ale najpierw będziesz musiał doprowadzić do porządku mój pokój! – zażądała Van tonem nieznoszącym sprzeciwu. – I to szybko!

Rozdział 6

Wzywam cię i zaklinam, duchu Agaresie!

Vanessa weszła do pokoju, gdy mag kończył wymawiać zaklęcie. Tuż przed nim wisiał Hubaksis trzymający pieczęć Agaresa – mglisty dysk, na którym widoczne było coś podobnego do dzbanka ozdobionego krzyżem.

Powietrze zgęstniało i w pokoju pojawił się Agares – duży, barczysty demon z twarzą pokrytą bruzdami i zaskórnikami. W miejscu oczu miał dziury, w których płonął ogień, a zamiast rąk – łapy zakończone pazurami.

– Słucham, magu! – zagrzmiał demon. – Co rozkażesz?

– Naucz mnie i mojego dżinna języka, którym mówią w tym kraju – spokojnie rozkazał Kreol.

– W końcu się zdecydował – zawarczała Vanessa. – Mógł się go nauczyć jeszcze wczoraj. Pamiętaj, przed Louise musisz udawać. Powiedziałam jej, że nie mówisz po angielsku…

– Wykonać? – zasępił się demon, uważnie słuchając jej monologu.

– Wykonać, wykonać. – Van machnęła ręką. – Stop, zatrzymaj się! Wiesz co, realizatorze życzeń, naucz ich jeszcze chińskiego… tak na wszelki wypadek.

– Chwila, moment! – oburzył się Agares. – Zgodnie z umową mam obowiązek spełnić tylko jedno życzenie! Jedno! Mogę nauczyć języka, odszukać człowieka albo spowodować trzęsienie ziemi. Wybraliście naukę języka – wspaniale! Ale jeśli nauczę języka dwie osoby, to będą już dwa życzenia!

Kreol skrzywił się złośliwie i pokazał demonowi magiczny łańcuch.

– Nie, przecież nie odmawiam! – szybko poprawił się Agares. – Ale dwa języki i dwie osoby to aż cztery życzenia, a to już zdecydowanie za dużo! Znajcie miarę, ludzie!

Kreol trochę posapał, ale potem niechętnie kiwnął głową.

– Dobrze, tylko angielski. Ale obydwóch!

– Obydwóch, obydwóch… – Demon wyciągnął łapy w obronnym geście. – Czyli co, wykonać?

– Wykonuj!

– Ma być odmiana amerykańska! – znowu wtrąciła się Van. – Brakuje tylko, żeby zaczęli mówić z brytyjskim akcentem.

Kreol nie do końca zrozumiał, o czym ona mówi, ale w milczeniu skinął głową, zgadzając się na poprawkę.

– Wykonuję… poczekajcie chwilę… gotowe. Żegnajcie!

Agares znikł, a Vanessa sceptycznie popatrzyła na Kreola i Hubaksisa. Na pierwszy rzut oka nie było widać po nich żadnej

różnicy.

– Powiedz coś – poleciła z powątpiewaniem.

– A co mam ci powiedzieć, kobieto? – zdenerwował się Kreol.

Van wprost emanowała radością. Słowa były niegrzeczne, ale wypowiedziane poprawną angielszczyzną. Wręcz wspaniałą, bez śladu obcego akcentu. Żaden Amerykanin nie byłby w stanie odróżnić maga od swoich rodaków.

– Chcę jeść! – oznajmił Kreol, otwierając drzwi do dużego pokoju.

– Ja też, panie, ja też – przyłączył się Hubaksis.

– Milcz, niewolniku. Ciebie nikt nie pyta. Kobieto, czy kolacja jest gotowa?

– Tak w ogóle to mam imię – sucho zauważyła Vanessa. – A kolacji nie ma. Nawet jeszcze nie zaczęłam szykować.

– Rozumiem. – Kreol kiwnął głową. Wbrew oczekiwaniom wyglądał na nadspodziewanie zadowolonego. – To nawet lepiej – wypróbujemy mojego nowego Sługę. I tak, Sługo, przygotuj kolację na trzy osoby i nakryj stół!

W stronę kuchni pomknął podmuch żywego wiatru, jedzenie zawirowało w powietrzu z ogromną prędkością, podzieliło się na kawałki, a potem znowu scaliło w nową kompozycję.

– Tak czy siak, trzeba będzie poczekać – z filozoficznym spokojem powiedziała Vanessa.

– A to niby dlaczego?

– A dlatego, że bez względu na to, jaki jest szybki, zupa nie ugotuje się od tego prędzej – uśmiechnęła się dziewczyna.

– Nie doceniasz mojego Sługi. – Kreol również rozciągnął wargi w uśmiechu. – Nie obowiązują go żadne ograniczenia.

Jakby na potwierdzenie jego słów, na stole zabrzęczały trzy talerze z czymś parującym. Wszyscy patrzyli na nie w milczeniu.

– Nie ma o czym gadać, szybko gotuje… – przerwał milczenie Hubaksis.

– …ale ma beznadziejnie przestarzałą książkę kucharską – podsumowała Vanessa. – Co to za packa?

W mętnym bulionie pływały jakieś listki, kawałki mięsa oraz słoniny, i jeszcze coś nieokreślonego. Potrawa wyglądała tak, jakby Sługa wziął to, co mu się nawinęło pod rękę, pokroił wszystko na kawałki i razem wrzucił do garnka. Najbardziej przypomniało to „irlandzki stew”* Jerome’a **[*irish stew, gulasz irlandzki – odniesienie do książki „Trzech panów w łódce, nie licząc psa” J. K. Jerome’a w tłum. K. Piotrowskiego (przyp. tłum.)]** .

– Nie przypominam sobie, żeby w mojej lodówce było takie paskudztwo. – Van podejrzliwie powąchała danie. – Chociaż pachnie smakowicie…

– Niewolniku, skosztuj – zarządził Kreol.

– Dlaczego zawsze ja mam próbować? – oburzył się dżinn. – Niech ona spróbuje!

Wyglądał przy tym tak nieszczęśliwie, że Vanessie żal się zrobiło dżinna-kontraktora. Ostrożnie nabrała na łyżkę odrobinę tej brei i jeszcze ostrożniej podniosła ją do ust.

– Dziwne, ale smakuje znacznie lepiej niż wygląda – przyznała. – W konkursie kulinarnym nie miałoby szans, ale da się zjeść.

Kreol niechętnie spróbował i musiał potwierdzić ten osąd. Smak był daleki od ideału, ale nie można było powiedzieć, że jest zupełnie niedobry.

Hubaksis także postanowił spróbować. Ale nie zdążył – w zamku zazgrzytał klucz i do pokoju weszła Louise. Biedny dżinn nie miał innego wyjścia jak tylko zmniejszyć się do mikroskopijnych rozmiarów. A i tak o mało co nie został dostrzeżony.

– Witam wszystkich! – wesoło przywitała się Louise, zdejmując kurtkę. – Jecie kolację? O, dla mnie też nakryliście? Dziękuję.

Poczęstunek nieoczekiwanie przypadł Louise do gustu. Bardzo trudno byłoby wyjaśnić, dla kogo przeznaczony jest trzeci talerz, dlatego Kreol i Vanessa jednomyślnie udawali, że właśnie dla niej.

– Panie, ona zjada moją zupę! – rozległ się oburzony pisk w lewym uchu Kreola.

Mag tylko uśmiechnął się nieszczerze, grzebiąc w uchu małym palcem.

– Van, zrób coś! – Z kolei w uchu Vanessy rozległo się brzęczenie przypominające głos komara.

Dziewczyna udała, że chwilowo ogłuchła.

– A co tam słychać u was, w Tien-szan? – Louise zainteresowała się sytuacją międzynarodową.

– Nic ciekawego, życie toczy się powolutku… – wymijająco odpowiedział Kreol, starając się zgadnąć, gdzie znajduje się ten cały Tien-szan? Nazwa wydawała się znajoma, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją słyszał.

– O, pan mówi po angielsku? – zdziwiła się Louise. Pytanie na temat Tien-szan zadała odruchowo. – A pamiętam, że wczoraj nie rozumiał pan ani słowa. Jak udało się panu tak szybko nauczyć?

– Kurs przyspieszony… – odpowiedziała krótko Vanessa, rzucając wściekłe spojrzenie w stronę Kreola. Nieostrożny mag jednym zdaniem zniszczył całą legendę.

– Kurs przyspieszony? No tak… – Louise udawała, że wszystko rozumie, chociaż pełne zdziwienia oczy świadczyły o czymś odwrotnym.

Van patrzyła na nią niewinnie, jakby bawiły się, kto dłużej wytrzyma spojrzenie przeciwnika, nie odwracając wzroku. Za nic na świecie nie chciała się z nikim dzielić swoim własnym, osobistym

magiem. Nawet z najlepszą przyjaciółką.

– Chcesz zagrać w „Monopol”? – zapytała Louise, ziewając dyskretnie, gdy już uporała się z zupą magicznego pochodzenia.

Vanessa, milcząc, pokręciła głową.

– A w „Twistera”? Vanessa znowu odmówiła.

– W takim razie, dobranoc.

Louise jeszcze raz podejrzliwie popatrzyła na zagadkowego znajomego przyjaciółki i znikła w sypialni. Vanessa pospiesznie wepchnęła maga do swojego pokoju. Louise najwyraźniej coś podejrzewała, tylko najprawdopodobniej skłaniała się do bardziej przyziemnej wersji wydarzeń.

Kreol westchnął ze zmęczenia i rozłożył na stoliku swój rękopis. Dzisiaj wykorzystał na pisanie każdą wolną chwilę i udało mu się zapełnić prawie czterdzieści stron. Jeśli wziąć pod uwagę format kartek i drobny charakter pisma maga, był to prawdziwy wyczyn.

– Jeśli chcesz pracować, idź do dużego pokoju – sennie burknęła Vanessa. – Nie lubię spać przy świetle.

– Ja też nie lubię – przytaknął Hubaksis. – Panie, zostaw mnie sam na sam z Van, dobrze?

– Idźże stąd! Casanovą jednooki! – obraziła się Vanessa. – Znajdź sobie kogoś swojego rozmiaru!

– Na przykład mysz – chrząknął Kreol. – Światło możesz zgasić, daj mi tylko minutę na zaklęcie Nocnego Wzroku.

Mag dokończył zaklęcie i wyłączył lampę samą siłą woli. Pisał teraz po ciemku.

– Tylko spróbuj mnie dotknąć, a zabiję… – zawarczała już prawie przez sen Vanessa, w nieoczekiwanym napadzie paranoi.

– Przecież on nie może! – nerwowo zachichotał Hubaksis. – Wszystko niżej pasa ma całkiem martwe! Oj, wybacz, panie!

Kreol zmierzył go ciężkim spojrzeniem. W ciemnościach źle było widać, ale sądząc z odgłosu, przyłożył dżinnowi łaską.

– Oj, znajdę czas by się uzdrowić, wtedy zobaczysz… – mętnie obiecał Kreol.

Po minucie Vanessa już spała.

– Panie, nadal chce mi się jeść – cichutko zachlipał Hubaksis, upewniwszy się, że Vanessa pogrążona jest w świecie snów.

– Wytrzymasz, niewolniku – posępnie odparł mag. – Wy, dżinny, możecie wytrzymać bez jedzenia dowolnie długo. Myślisz, że nie wiem?

– Tak, panie, ale to nie znaczy, że nam się to podoba – odparł niezadowolony Hubaksis. Ale więcej nie zabierał głosu. Ciszę przerywało tylko skrzypienie pióra.

Nowy dźwięk rozległ się dopiero o drugiej nad ranem. Louise obudziła się i poczuła, że chce się jej pić. A że nie miała zwyczaju

trzymać nic do picia w sypialni, bardzo ostrożnie przekradła się do lodówki. Jako zawodowa policjantka, Vanessa zawsze tak samo reagowała na odgłos cudzych kroków w nocy – wyjmowała spod poduszki pistolet, wyskakiwała z łóżka i krzyczała: „Stój, bo strzelam!". Czasem zdarzało jej się faktycznie strzelać. Co prawda zazwyczaj powstrzymywała się, ale po co igrać z losem? Dlatego Louise nauczyła się chodzić bardzo cicho.

Otwarła drzwi i zamarła ze zdziwienia jak żona Lota. W lodówce siedział skrzydlaty diabełek wielkości chomika i jakby nigdy nic energicznie zajadał parówkę dwa razy większą od niego. Louise powoli zamknęła oczy. Potem otwarła. Nic się nie zmieniło.

– Nie wolno otwierać drzwi bez pukania – pouczającym tonem oznajmił wstrętny liliput.

– Aaaaaaa… – wydusiła z siebie Louise.

– Najważniejsze: nie krzyczeć. Nie chcemy przecież nikogo obudzić? – rzekło paskudztwo ugodowo. – Najlepiej nie zwracaj na mnie uwagi. A w ogóle to mnie tu nie ma. Tylko ci się śnię.

Louise wolno zamknęła drzwi lodówki. Oparła się plecami o białą powierzchnię i przez kilka sekund stała bez ruchu. Potem odwróciła się i zdecydowanie szarpnęła za uchwyt.

Diabełka w środku już nie było. Została za to niedojedzona połówka parówki. Gdy się dobrze przyjrzeć, można by zauważyć ślady drobnych ząbków.

Louise dokładnie obejrzała parówkę. Zastanowiła się.

Potem ją zjadła.

Vanessa obudziła się, gdy słońce stało już wysoko na niebie. Światło zalewało cały pokój, przypominając, że październik to nie grudzień, a Kalifornia to nie Alaska.

Kreol siedział na tym samym miejscu, w jakim zostawiła go wieczorem. Z jedną niewielką różnicą – teraz jego głowa leżała na książce, a oczy miał zamknięte. Wyglądało na to, że mag mimo wszystko przecenił swoje możliwości, gdy mówił, że teraz długo nie będzie potrzebował snu. Vanessa popatrzyła na niego z tkliwością, prawie tak, jak spoglądała na Fluffiego, gdy ten zmęczony zabawą pluszową myszą zasypiał na środku pokoju.

Skierowawszy spojrzenie ku dołowi zauważyła Hubaksisa. Nieznośny dżinn zignorował całą konspirację i ułożył się spać dziewczynie na brzuchu. Początkowo chciała go zrzucić na podłogę, ale śpiący dżinn wyglądał znacznie sympatyczniej niż wtedy, gdy latał i opowiadał nieprzyzwoite rzeczy. Vanessa postanowiła więc ulitować się nad bezczelnym stworzeniem.

Ale tak czy siak trzeba było wstać, więc ostrożnie wysunęła się spod kołdry starając się nie niepokoić drzemiącego błogo Hubaksisa. Ale i tak się obudził.

Nie zwracając uwagi na przecierającego oko dżinna, podeszła do Kreola i ostrożnie zajrzała mu przez ramię. Przez noc mag zapisał prawie sto stron. Vanessę po raz koleiny zadziwiła jego pracowitość. Może wykorzystywał jakąś magię?

Kreol usnął w połowie zdania. Na tej stronie nie było zawiłej *abrakadabry,* wszystkie słowa były zrozumiałe i Vanessa zaczęła z czytać z zainteresowaniem.

U góry stronicy widniał tytuł *„Błyszczące Oko”*. Pod nim Kreol umieścił rysunek – trzeba przyznać, całkiem niezły. Vanessa mimowolnie zaczęła zachwycać się piękną broszą, przypominającą kwiat ozdobiony dużym brylantem w środku i piętnastoma małymi dookoła. Najwyraźniej było to właśnie owo Błyszczące Oko.

Pod rysunkiem mag napisał taki oto tekst:

Jest jeszcze magiczny talizman, mający tak zadziwiające możliwości, że poruszają duszę i podgrzewają krew. Twórca tego cuda nadal mu nazwę Błyszczące Oko, w istocie jest to Oko, albowiem pozwala zobaczyć dalekie ziemie, a także przedmioty tak małe, że okiem nie da się ich dojrzeć. I przez ściany patrzeć też pozwala ten magiczny kamień i nawet dusze ludzkie można zobaczyć w takiej postaci, w jakiej stworzyli je bogowie. Ale najważniejsze jest to, że ma talizman jedną wyjąt…

Dalej tekst się urywał.

– Ciekawe? – chytrze zainteresował się Hubaksis, siadając Vanessie na ramieniu.

– Bardzo – odpowiedziała chłodno, poruszając ramieniem, aby strząsnąć natręta. – Ale myślałam, że w księgach zaklęć zapisuje się tylko zaklęcia.

– No co ty! – zaprzeczył dżinn wcale nieobrażony tym, że został zrzucony. – Popatrz, jaka jest duża i gruba! Wszystkie zaklęcia pana zajmą nie więcej niż jedną czwartą. Nie, magowie zapisują w swych księgach wszystko, co może okazać się przydatne. Różne śmiecie. Dalej napisze, gdzie tej broszki szukać i do czego służy. A jakże!

– Piękna rzecz… – powiedziała Vanessa w zamyśleniu, przyglądając się rysunkowi klejnotu.

– No pewnie! Pan szukał jej trzy lata, ale nie znalazł. Sądzę, że teraz na pewno nie znajdzie – tyle rzeczy mogło się wydarzyć przez te lata…

Vanessa bardzo ostrożnie wyciągnęła potworny tom spod Kreola. Znaczna część zapisanych stron zawierała bełkot zwany przez magów zaklęciami, ale były też całkiem zrozumiałe teksty. Na przykład o magicznych przedmiotach – czym są i jak można je wykorzystać. Były też opisy magicznych zwierząt i roślin, przepisy sporządzania wywarów, objaśnienia obrzędów i rytuałów, tablice astrologiczne – znacznie bardziej skomplikowane niż typowe bzdury o znakach zodiaku i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Kilka początkowych stron

zajmował niezbyt zrozumiały tekst omawiający prawdopodobnie istotę magii jako nauki. Niestety, dla nieprzygotowanego czytelnika był to tylko odrażający galimatias, mimo że każde słowo z osobna było zrozumiałe.

– A co się stanie, jeśli przeczytam coś na głos? – w zamyśleniu zapytała Van, otwarłszy księgę na jednym z zaklęć. Był to „Rezonans Dźwiękowy".

– Dokładnie nie wiem, ale myślę, że absolutnie nic. – Hubaksis wzruszył ramionami. – Przecież nie jesteś magiem.

– Ach, to tak? A jak długo trzeba się uczyć, żeby zostać magiem?

– Zależy kto. – Po raz drugi wzruszył ramionami dżinn. – Pan opowiadał, że został uczniem maga, gdy miał piętnaście lat, ale swój pierwszy czar rzucił, gdy miał siedemnaście. A pełnowartościowym magiem został koło trzydziestki. No a ja wstąpiłem do niego na służbę dwadzieścia lat później.

– Piętnaście lat nauki? – Vanessa zmarszczyła się. – Każdy najpierw dwa razy się zastanowi…

– To jest wcale niezły wynik – uświadomił ją Hubaksis. – Wielu i do czterdziestki pozostaje uczniami. A jeszcze inni starzeją się jako czeladnicy. Tu bez talentu nie da rady.

– A czy jest jakiś sposób, żeby sprawdzić, czy możesz… no, być magiem?

– Oczywiście, że jest! – fuknął Hubaksis. – U was, ludzi, prawdziwe magiczne zdolności trafiają się tak rzadko… Niewielkie skłonności – często, a prawdziwy dar ma… jeden na stu albo nawet rzadziej. Są jakieś sprawdziany. Inaczej trzeba by brać uczniów w ciemno, a jak wtedy można podjąć decyzję?

– I co to za sprawdzian? Mógłbyś mnie sprawdzić? – z zaciekawieniem zapytała Vanessa.

– Ja? Nieee, przecież nie jestem magiem. Zapytaj pana, gdy się zbudzi. Chociaż za mojej pamięci pan nigdy nie brał uczniów. Był co prawda jeden wyjątek, ale to się nie liczy… potem ci opowiem. Nie lubił odrywać się od pracy. Co by nie mówić, pan ma wielki dar – nawet bogowie nas szanowali! Raz, na przykład, Pani Inanna…

– No nie! – Van uśmiechnęła się nieznacznie. – Nie mogę uwierzyć, że on ma dziewięćdziesiąt lat! I to nie licząc tych tysiącleci.

– Dziewięćdziesiąt trzy i kilka miesięcy – sprecyzował Hubaksis. – Jak na człowieka, to imponujący wiek…

– Słuchaj Hubi, a ile ty masz lat? – nieoczekiwanie zainteresowała się Vanessa.

– Te pięć tysięcy też liczyć? – upewnił się dżinn z nadzieją.

– Nie, bez nich.

– Pięćdziesiąt sześć – westchnął Hubaksis.

Co?! – Brwi Van uniosły się mimowolnie. – Coś mało… Wychodzi

na to, że wstąpiłeś na służbę, gdy miałeś tylko trzynaście? – policzyła szybciutko. – Hubi, to znaczy, że jesteś tylko podrostkiem? No, przynajmniej jak na dżinna? To wiele wyjaśnia…

– Przecież nie rodzimy się starzy! – ponownie westchnął Hubaksis.

Kreol zaczął się budzić. Uniósł głowę, pomacał rękami blat stołu i podskoczył jak oparzony.

– Gdzie jest moja księga?! – zaryczał wściekle. – Złodzieje!!! Rozszarpię!!! Potnę na kawałki!!! Obudziło się we mnie zwierzę!

– Chyba chomik – sarkastycznie zauważyła Vanessa. – Uspokój się, masz tu swoją drogocenną księgę. Nikt jej nie ukradł.

Kreol wyrwał jej tom z rąk jak niemowlę smoczek i zaczął niezwykłe podejrzliwie wpatrywać się w Vanessę i Hubaksisa.

– Czyżbym zasnął? – spytał zażenowany. – O Isztar, nie zauważyłem, kiedy to się stało… Sługo, przynieś wody!

W jednej chwili zrodził się wiatr, który przemknął przez pokój i natychmiast wrócił z filiżanką wody. Była to filiżanka do kawy, ale Kreol nie wiedział nawet, co to jest kawa.

– Ufff! – sapnął, gdy skończył pić. – Najwidoczniej pomyliłem się… Z czego jest zrobione to naczynie?

– Z arcopalu – odpowiedziała Vanessa.

– Co to jest *arcopalu?* Chociaż, co za różnica? I tak nie rozumiem… Myślałem, że wyspałem się na kilka wieków na zapas…

– Jeszcze nikomu nie udało się wyspać na zapas – pobłażliwie powiedziała Van. – Trzeba znać neurologię.

– Kto to jest Neurologia i dlaczego mam się z nią znać? – Kreol łypnął na nią podejrzliwie. – Bogowie, jestem całkiem rozbity… Do tego zaczynam chyba nie najlepiej pachnieć. Sługo, nanoś wody i… mam nadzieję, że masz wannę, kobieto?

– Oczywiście, że mam – przytaknęła Van. – Ale możesz nie trudzić swojego głupka, poradzimy sobie bez niego.

– A, już nanosiliście… – Kreol wyciągnął fałszywy wniosek. – Gdzie ona jest?

Vanessa ciężko westchnęła i dosłownie za rączkę zaprowadziła Kreola do łazienki. Zasmucony Hubaksis leciał za nimi. Najprawdopodobniej mag już odwiedzał łazienkę. Tym niemniej wyraźnie nie miał pojęcia, jak tu wszystko działa. Przekonało o tym Vanessę jego pierwsze pytanie.

– A gdzie jest piec? – zapytał.

– Jaki znowu piec? – zdumiała się Vanessa.

– Jak to, jaki? Do podgrzewania wody, oczywiście – fuknął mag pogardliwie. – A przede wszystkim, gdzie jest woda?

Vanessa westchnęła ponownie. Sytuacja wyglądała gorzej, niż się jej wydawało.

W milczeniu odkręciła oba kurki i wsunęła pod strumień wody kościstą rękę Kreola. Ten ze zdziwieniem potrzymał ją w ciepłej wodzie i jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Wspaniale! – zawołał. – Przyszłość nie jest taka zła.

– Naciśniesz tę dźwignię, popłynie gorąca woda. Naciśniesz drugą – popłynie zimna – pokrótce objaśniła Vanessa. – Napełni się po brzegi – właź i myj się. Zrobić pianę?

– Ośmielę się przypomnieć, panie, że opowiadałem ci wczoraj o tym systemie – mruknął obrażony Hubaksis.

– Milcz, niewolniku – odpowiedział Kreol leniwie. – Kobieto, odwróć się, żebym mógł się rozebrać!

– I tak wszystko już widziałam! – fuknęła Van. – Pamiętasz, jak stałeś prawie goły w pokoju profesora? Już się napatrzyłam, starczy mi wrażeń do końca życia…

– Logiczne – musiał przyznać mag. – Mimo wszystko, odwróć się.

Vanessa, nie przestając ironicznie fukać, odwróciła się i poczekała, aż rozlegnie się plusk wody. Dopiero wtedy spojrzała na maga.

Kreol siedział zanurzony w wannie do pasa. Po zdjęciu ubrania znowu wyglądał jak nieboszczyk – twarz poprawił sobie jeszcze wczoraj, a brzuch – po niecelnym wystrzale Vanessy, ale pozostałymi kawałkami ciała nie miał czasu się zająć. Szczególnie kiepsko wyglądała pierś – skóra zetlała do tego stopnia, że przez dziury widać było żebra.

– Mój Boże! – westchnęła Van. – Zapomniałam jak okropnie wyglądasz! Musisz jak najszybciej coś z tym zrobić – co poniektóre trupy wyglądają lepiej!

– Właśnie taki miałem zamiar – uspokoił ją mag. – Sługo, przynieś magiczną księgę!

Włosy Vanessy rozsypały się, porwane podmuchem wiatru i po chwili magiczna księga zawisła tuż obok maga.

– Sługo, otwórz ją na zaklęciu Uzdrowienia i trzymaj przede mną! – nakazał Kreol.

Zaszeleściły stronice przewracane niewidzialną ręką i Kreol zaczął niezbyt głośno odczytywać niezrozumiałe słowa.

– Nie umiesz na pamięć? – Vanessa uniosła brwi.

– Nie umiem – odpowiedział mag uprzejmie, doczytawszy ostatnie słowo. – To co przeniosłem na papier, wywietrzało mi z głowy. Sam nie wiedziałem, że tak będzie.

Po umieszczeniu w pamięci pięciu zaklęć, Kreol aktywował je wszystkie naraz jednym ruchem ręki. Vanessa patrzyła zafascynowana, jak jego piersi, ręce i wszystko poniżej pokrywa się nową skórą, która natychmiast nabiera różowej barwy jak u noworodka. Co prawda, nie było na niej ani jednego włoska, jakby mag bardzo dokładnie ogolił

całe ciało.

– Nieźle! – Pokiwała głową z szacunkiem. – Jeśli nawet nie znajdziesz innej pracy, możesz zarabiać miliony jako lekarz. A tak przy okazji, wyskoczyła mi krosta na ramieniu, możesz ją zlikwidować?

– Nic prostszego. – Kreol wzruszył ramionami. – Będę potrzebował wody, kociej sierści, garści jęczmienia, kilku ziaren fasoli i trochę próchna. Drzewo może być byle jakie, ale koniecznie zgniłe. Najlepsze jest z pieńka.

– Z tym możemy chwilowo poczekać. Myj się szybko i w ogóle doprowadź do porządku. Wkrótce mamy umówione spotkanie z agentem nieruchomości.

– Z kim? – odezwał się Hubaksis.

– Sprzedawcą domów!

– Słusznie – pochwalił dżinn. – Pan i ja potrzebujemy dużego domu.

– Tylko ma w nim być taka sama wanna – zażądał Kreol, ukończywszy jeszcze jedno Uzdrowienie. – A jeszcze lepiej – większa.

– Tak, w starym pałacu pan miał bardzo dużą wannę – konfidencjonalnym tonem obwieścił dżinn. – Mieściła się w niej nawet Wielka Gula, gdy odwiedzała naszą siedzibę.

– Milcz, niewolniku! – nieoczekiwanie wybuchnął mag. Momentalnie zaczerwienił się i wyglądał na strasznie speszonego. – Ciebie to nie dotyczy!

– Dobrze, nie będziemy ci przeszkadzać. – Van grzecznie wyszła z drzwi, łapiąc po drodze dżinna za skrzydło. Po powrocie do dużego pokoju natychmiast zapytała, skręcając się z ciekawości: – Kto to jest ta Gula?

– Wielka Gula! – Hubaksis z szacunkiem uniósł palec. – Jest w połowie boginią, a w połowie dżinniją. A do tego władczynią wszystkich ghuli i kutrubów! Najlepsza lekarka ze wszystkich, jakie znam.

– Była tak wysoka? – zdziwiła się Vanessa. Po tych wszystkich magach, dżinnach i demonach, bogini zaskoczyła ją tylko trochę.

– Oczywiście! – Hubaksis pokręcił palcem w okolicy skroni. – Znasz przecież nasz język! Co, twoim zdaniem, oznacza jej imię?

– „Gula”…? – zastanowiła się Van. – „Duża”?

– Właśnie! A „ghul” – „duży”.

– Ale jaka jest duża?

– Jak by ci tu powiedzieć… W twojej chacie na pewno by się nie zmieściła.

Za drzwiami rozległ się plusk i przekleństwa. Kreol starał się wyjść z wanny, ale kiepsko mu to szło. Być może kończyny nie słuchały go jeszcze jak należy, a być może w starożytnym Sumerze

wanny były całkiem inne. W końcu jednak udało mu się wydostać.

– Sługo, weź ręcznik i wytrzyj mnie! – usłyszała Van. Mimowolnie parsknęła, słysząc ten okrzyk zdradzający prawdziwego sybarytę. Jednak po chwili władczy ton zmienił się w dziki wrzask i plugawe wyzwiska.

Drzwi otwarły się. Z łazienki powoli wyszedł Kreol, obwiązany byle jak wokół bioder ręcznikiem Louise. Vanessa pomyślała, że Louise na pewno zrobi awanturę, gdy odkryje, że ktoś wycierał się jej ręcznikiem. Jednak przestała się tym przejmować, gdy zobaczyła, w jakim stanie znajduje się mag.

Był całkowicie suchy, pod tym względem nie było się do czego przyczepić. Ani kropli wilgoci, nawet włosy wyglądały jakby wyszły spod suszarki. To znaczy – gdyby znajdowały się na miejscu. Za to skóra maga przedstawiała się tak, jakby ktoś przejechał po niej pilnikiem – czerwona i podrapana.

– Zupełnie zapomniałem, że on nie nadaje się do pomocy przy czynnościach osobistych – wyjęczał Kreol, patrząc z nienawiścią na wiszący na szyi amulet. – Czasami nadmierny pośpiech tylko szkodzi…

Vanessa przypomniała sobie, jak szybko wyciera się zwykły człowiek, pomnożyła to przez sto i przeraziła się. Nawet najdelikatniejszy ręcznik przeciągnięty po ciele z prędkością błyskawicy działa niczym papier ścierny.

– A niech to diabli, za godzinę mamy spotkanie z agentem! – Vanessa popatrzyła na zegarek. – Jak pojedziesz w takim stanie?

Kreol spojrzał na nią spod oka, coś cicho zamruczał i skóra natychmiast wróciła do pierwotnego stanu.

– A tak przy okazji – przypomniał sobie mag. – W nocy popracowałem trochę nad twoimi monetami. Jakby co, są na stole, możesz je zabrać.

Okazało się, że monety, o których mówił Kreol, pochodziły ze słoika z jednocentówkami. Vanessa zbierała je specjalnie do gry w lotto. Wszystko było z nimi w porządku poza tym, że ich wartość wzrosła kilkadziesiąt razy. Mówiąc krótko, Kreol zmienił garść drobniaków w garść złota.

Rozdział 7

Tak więc, panno Lee i panie… eeeee…

– Kreol – szybko podsunęła Van. – Laurence Kreol.

Nie miała pojęcia, skąd przyszło jej do głowy akurat imię Laurence. Ale magowi było najwyraźniej wszystko jedno. Nieporuszony dłubał w nosie, sceptycznie patrząc na agenta nieruchomości.

– Czy dobrze zrozumiałem, że chcecie państwo kupić willę na przedmieściach? – upewnił się agent na wszelki wypadek. – Panno Lee, mam na imię Mike.

– Dziękuję, przyjęłam do wiadomości – odpowiedziała Vanessa sucho. Ten typ zdecydowanie jej się nie podobał.

– Wybrałem kilka miejsc zgodnie z waszymi wymaganiami. – Mike zaprezentował kartkę z jakimiś zapiskami. – Jesteście pewni, że was na to stać?

– Jestem całkowicie pewna – odparła Van z kwaśnym uśmiechem.

Trzeba przyznać, że jeszcze przedwczoraj nie mogła pozwolić sobie na nic podobnego. Musiała wyczyścić konto ze wszystkich oszczędności, wziąć największy kredyt, jaki tylko bank zgodził się jej przyznać, zlikwidować fundusz emerytalny, a nawet zastawić samochód. Ale nie myślała o tym. Przez trzy lata gnieździła się w ciasnym mieszkanku wynajmowanym do spółki z przyjaciółką i teraz podjęła mocne postanowienie, że będzie mieszkać w luksusie. Mogła sobie na to pozwolić. Van pomacała kieszeń, w której leżało około trzydziestu dekagramów czystego złota najwyższej próby i ciepło spojrzała na Kreola. Tylko ta garść złota wystarczyła, żeby zapomnieć o kłopotach finansowych na jakieś pół roku, a przecież złotonośny mag mógł bez trudu zrobić więcej… i więcej, i więcej. Na chwilę Vanessą zawładnęła chciwość i dziewczyna przestraszyła się.

– I co sądzicie o tym? – zapytał Mike, oprowadzając ich po pierwszym z wybranych domów. – Mały, przytulny domek, świetnie się dla was nada…

– To prawda, że mały… – Vanessa zmarszczyła nos z dezaprobatą. – Tu jest tylko pięć pokoi!

– Proszę mi wybaczyć, panno Lee, ale ile osób będzie tu mieszkać? – Agent uniósł brwi.

– No ja, Kreol i… jeszcze jeden… człowiek.

– Tylko trzy? Wydaje mi się, że dla trzech osób pięć pokoi w zupełności wystarczy, nieprawdaż?

– Ja sam potrzebuję co najmniej pięciu – wtrącił się do rozmowy mag. – I jak najwięcej niewolników! Niewolnikami też handlujesz?

– Przepraszam… czym? – Mike wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– On żartuje! – Vanessa wyszczerzyła zęby w nienaturalnym uśmiechu, ukradkiem szturchając maga łokciem w bok. – Taki żart, rozumie pan?

– Rozumiem… – Agent popatrzył na nią z dziwną miną. – No cóż, chodźmy obejrzeć kolejny dom.

Drugi dom niby był w porządku. Vanessa obejrzała go dokładnie i nie mogła się do niczego przyczepić. Za to Kreol rozglądał się spode łba i cały czas węszył.

– I jak?

– Zastanawiam się… – zaczęła Van.

– Nie nadaje się – przerwał jej mag.

– A to dlaczego, panie Kreol? – uprzejmie zapytał Mike.

– Za nowy. Nikt w nim jeszcze nie mieszkał.

– Tak, to prawda, chociaż… skąd pan to wie? – Agent nieco się zmieszał. – I od kiedy jest to wadą? Wydawało mi się, że na odwrót, jest to zaleta? – Zacisnął wargi. W ciągu siedmiu lat pracy przyzwyczaił się do różnych dziwaków, ale trzeba przyznać, że takiego widział po raz pierwszy.

– Nie ma w nim życiowej siły – oznajmił mag z wyższością, nie zastanawiając się nawet przez chwilę, jak dziwne mogą się wydać te słowa współczesnemu człowiekowi. – Trzeba go będzie od początku nacierać.

– Czym nacierać? – cierpliwie dociekał agent.

– Pokostem i szybkoschnącym lakierem! – wycedziła przez zęby Van. – Proszę posłuchać, Mike, ten dom nam nie pasuje, okej? Pański spis nie ogranicza się chyba do tych dwóch?

– No cóż, jak to się mówi: klient ma zawsze rację – westchnął Mike. – Jeśli nie odpowiada wam nowe budownictwo, zawiozę was do najstarszego domu z mojej listy…

Trzeba przyznać, że trzeci dom skojarzył się Vanessie z rezydencją rodziny Addamsów. Nie był aż tak okropny, ale coś w nim było niepokojącego. Miał dach kryty gontem, a jedno spojrzenie na jego zniszczone ściany powodowało mimowolne dreszcze. Za to Kreolowi spodobał się od razu.

– To jest to, czego potrzebujemy! – zakrzyknął, gdy tylko przekroczył próg. – Jest nawet skrzat!

Mike jeszcze raz westchnął. Widział niejednego świra, ale ten cały pan Kreol z pewnością powinien rozejrzeć się za dobrym psychiatrą. Ale kupujący jest zawsze kupującym, a pieniądze wariatów są tak samo dobre jak pieniądze normalnych.

– To co, finalizujemy zakup? – Zrobił słodkie oczy. – Możemy jeszcze dziś wszystko załatwić i najdalej za tydzień przeprowadzicie się do nowego domu…

– Nie – przerwał mu mag, kręcąc głową. – Wprowadzimy się od

razu.

– Ale to niemożliwe… – zaczął wyjaśniać agent, lecz natychmiast zamilkł. Dawno już stracił nadzieję, że uda mu się sprzedać to ohydne domiszcze, a wariat taki jak ten może się w każdej chwili rozmyślić. – Chociaż… właściwie dlaczego nie? Gospodarze sprzedają go razem z meblami, sami nie pojawiali się tutaj co najmniej od pięciu lat, więc właściwie dlaczego by nie? Panno Lee, jeśli pani nie ma nic przeciwko, chciałbym omówić z panią szczegóły umowy.

– Chwileczkę – uśmiechnęła się Van przymilnie. – Zamienię tylko kilka słów z przyjacielem i jestem do pana dyspozycji.

Agent kiwnął głową i uprzejmie wyszedł na ulicę.

– Czyli tak – zdecydowanie powiedziała Vanessa. – Jadę załatwić formalności, potem pojadę do starego mieszkania po rzeczy…

– Może weźmiesz amulet Sługi? – zaproponował Kreol.

– Nie warto – odmówiła dziewczyna niechętnie. – Louise jest teraz w domu, może jej się to wydać podejrzane. Nie szkodzi, nie mam zbyt wielu rzeczy, dam sobie radę sama. A wy zostańcie, rozejrzyjcie się… Na pewno znajdziecie sobie jakieś zajęcie. Będę wieczorem. Cześć!

– Poczekaj – zatrzymał ją mag. – Nie potrzebujesz więcej złota?

– Złota? – ożywiła się Vanessa. – Jeszcze się pytasz?!

Kreol uśmiechnął się i wyciągnął z kieszeni klucz francuski. Vanessa od razu go poznała – leżał w schowku na drzwiach toyoty. Tylko przedtem był ze stali.

Zważyła go w ręce. Drogocenne narzędzie ważyło teraz około półtora kilograma, a to znaczyło, że jego wartość po prostu zwalała z nóg.

– Podoba się? – Mag zrobił zjadliwą minę.

– Jeszcze jak!

– To dobrze, bo złota więcej nie będzie.

– Jak to?! – krzyknęła Vanessa. – Dlaczego?

– Pan jest wyczerpany – zapiszczał Hubaksis. – Transmutacja Metali to trudny rytuał.

– Jednym słowem, przemiany chwilowo zostają zawieszone. – Wzruszył ramionami mag.

– Na długo? – Rozczarowana wydęła wargi.

– Zapytaj mnie znowu za jakieś siedem czy osiem dni – burknął Kreol. – No dobrze, możesz iść, nie zatrzymuję cię dłużej.

Vanessa odjechała kawałek od domu i obejrzała się. Kreol cały czas stał na ganku.

Vanessa załatwiła wszystkie sprawy w ciągu sześciu godzin. Wszystkie potrzebne dokumenty udało się podpisać fantastycznie szybko. Zdziwiło ją nawet, jak bardzo wszyscy w agencji chcą się rozstać z tym domem. I cena wydała się jej podejrzanie niska. Nie, nie

narzekała, ale mimo wszystko było to nieco osobliwe.

Louise nie stwarzała żadnych problemów. Wyglądała nawet na zadowoloną z tego, że Vanessa wyprowadza się i mieszkanie pozostaje tylko dla niej. Pomogła nawet koleżance spakować rzeczy. Okazało się zresztą, że nie ma ich zbyt wiele: dwie walizki z ubraniami, jedna z książkami i rzeczami osobistymi.

Najwięcej czasu Vanessa spędziła u jubilera. Musiała przez okrągłą godzinę przekonywać sprzedawców, że te dziwne kawałki złota zdobyła całkowicie legalnie. Sama nie wiedziała, jak wyjaśnić nietypową formę i niewiarygodnie wysoką próbę, ale w końcu uwierzono jej. Złota odznaka, sterta jednocentówek oraz klucz francuski zostały zważone, wycenione i kupione. Vanessa wyszła z ulgą i podniesionym czołem. A w jej kieszeni spoczywał czek na fantastyczną kwotę. Do tej pory nigdy nie miała w ręku nawet dziesiątej części takiego bogactwa. Było tam niecałe czterysta tysięcy, ale niewiele brakowało do tej sumy.

Na tle zachodzącego słońca jej nowe miejsce zamieszkania wyglądało naprawdę okropnie i jeszcze bardziej przypominało zamek Draculi. Van zaparkowała i zauważyła mężczyznę leżącego w hamaku na sąsiedniej posesji. Postanowiła wykorzystać okazję i zapoznać się z nowym sąsiadem.

– Dzień dobry, jestem waszą nową sąsiadką! – przywitała się przez płot.

– Bardzo mi m-miło – przyjacielskim tonem odpowiedział sąsiad, podnosząc się z hamaka. – B-będzie pani mieszkać u Andersonów?

– Raczej nie, będę mieszkać w tamtym domu.

– Co?! – krzyknął mężczyzna. – Pani n-nie żartuje, p-prawda? Cz-czyżby kupiła p-pani stary dom K-Katzenjammera?! Do diabła, w k-końcu dobrze w-wy-mówiłem…

– Coś nie tak? – zachmurzyła się Vanessa. – Wydaje mi się, że to przepiękny dom i kupiliśmy go nadspodziewanie tanio…

– O-oczywiście, jestem pewien, że t-tak – zgodził się rozmówca. – A-ale i tak pani przepłaciła, jeśli dała za niego chociaż jednego dolara. W tym domu s-straszy!

Van zaklęła pod nosem w bezsilnej złości. W końcu zrozumiała, co ją niepokoiło cały czas. Przecież wiedziała świetnie, że bezpłatny ser bywa tylko w pułapce na myszy.

– A skąd pan wie? – zapytała sceptycznie. – Niby co, widuje się tam przezroczyste postacie noszące głowy pod pachą?

– N-nie, t-tam n-nigdy n-nikogo nie w-widzia-no – wyjąkał sąsiad, kręcąc głową. – Za to słyszano! M-mówią, że n-na strychu mieszka j-jakiś okropny potwór. Nocami chichocze i j-jęczy!

– A pan go słyszał?

– Słyszałem – przytaknął z powagą. – Gdy byłem jeszcze

uczniakiem, założyliśmy się z kolegą, że przenocujemy tam. W domu Katzenjammera już wtedy nikt nie mieszkał. Okropność. A mój ojciec opowiadał, że kiedy sam b-był ch-chłopcem do domu dostał się w-włóczęga i w-wlazł na s-strych!

Mężczyzna zrobił wieloznaczną pauzę.

– I…? – Vanessa uniosła brew.

– Wyskoczył z d-domu jak oparzony – sąsiad zniżył głos. – T-ten ch-chłopak o-osiwiał w ciągu jednej n-nocy, a po t-trzech dniach umarł. N-nikomu n-nie opowiedział, co widział n-na strychu, a-ale to b-było c-coś strasznego! O-od t-tego czasu wejście n-na strych zamurowali, a-ale chichotanie i tak słychać.

Vanessa zagryzła wargi. Teraz było jasne, dlaczego agent podczas oprowadzania z takim uporem nalegał, żeby zostawić strych w spokoju. Twierdził, że zmurszała podłoga może być bardzo niebezpieczna.

Na ganek wyszła chuda kobieta o wąskiej twarzy przypominającej pyszczek myszy. Najwyraźniej paniusia słyszała całą rozmowę od pierwszego do ostatniego słowa, bo od razu rzuciła się na męża:

– Co ty tu straszysz tę biedną dziewczynę, ośle?! Znowu gadasz o tych swoich przywidzeniach?! Proszę pani – zwróciła się do Vanessy – proszę nie słuchać mojego głuptasa. Całkiem oszalał, cały czas tylko opowiada bzdury!

– N-nic p-podobnego! – wybuchnął mężczyzna. – To nie żadne bzdury! S-sam słyszałem. I chichot słyszałem, i jęki!

– O Boże! – klasnęła w ręce kobieta. – Co za głupoty! Słyszałeś, no i co z tego? Sto razy tłumaczyłam ci, głupku, że to po prostu sowy! Sama raz widziałam jak do środka przez okienko wlatywała sowa! Nie wiesz, że duchów nie ma?

– N-nieprawda, są! – upierał się mężczyzna.

– Bzdury! Pani nie wierzy chyba w duchy?

– Sama nie wiem… – zwątpiła Van. Przedtem nie wierzyła, ale ostatnimi czasy była gotowa uwierzyć we wszystko.

– Masz ci los, ona tak samo! To tylko stary, ponury dom, i tyle!

– T-tak, pewnie… To d-dlaczego wszyscy właściciele t-tak szszybko się wyprowadzali?

– Też mi zagadka! – fuknęła kobieta. – Właśnie dlatego! I nie tak znowu szybko. Ostatni właściciel zdążył doprowadzić elektryczność i założyć telefon. I nie waż się więcej straszyć sąsiadów takimi opowieściami!

Jeśli pani się boi, proszę przenocować u nas – zaproponowała uprzejmie.

– Nie. Dziękuję. – Vanessa uśmiechnęła się nieszczerze. – Mieszka ze mną mój… sama nie jestem na razie pewna, kim dla mnie jest, ale na pewno nie boi się duchów.

– Jak każdy normalny człowiek! – Kobieta pogardliwie popatrzyła na męża. – Oj, przecież jeszcze się nie przedstawiliśmy! Jestem Margaret, a mój strachliwy mąż to Cyryl.

– Vanessa. Vanessa Lee.

– Bardzo mi przyjemnie. – Margaret fałszywie uśmiechnęła się. – Pomóc pani wnieść rzeczy?

– Nie, dziękuję, sama dam radę. Mam tylko parę walizek.

– Jak pani sobie życzy. – Sąsiadka zagryzła wargi. Jasne było, że nie tyle chce pomóc nowej znajomej, co wetknąć nos w cudze sprawy. Van pomyślała, że należy zabronić Kreolowi czarowania na podwórku – ta paniusia z pewnością nie grzeszy nadmierną dyskrecją. A mąż jąkała też nie wygląda na lepszego.

W agencji dali jej klucze do domu, ale Van całkiem o nich zapomniała i odruchowo nacisnęła dzwonek. Podświadomie oczekiwała, że będzie nietypowy, podobny do wyjącego dzwonka rodziny Addamsów, ale rozległo się zupełnie banalne „ding-dong". Drzwi otworzyły się prawie natychmiast.

– Witamy w domu, ma'am! – uroczyście oznajmiła postać stojąca na progu. Vanessa ze strachu zapiszczała i cofnęła się mimowolnie.

To nie był Kreol. Ani nawet nie Hubaksis – do maleńkiego dżinna zdążyła się już przyzwyczaić. Drzwi otworzył dość dziwny osobnik, niepodobny do żadnego z jej nowych znajomych. Niewysoki, miał trochę powyżej metra, z wielką głową całkowicie pozbawioną owłosienia, za to ozdobioną ogromnymi uszami gremlina, różową skórą pooraną głębokimi bruzdami, olbrzymimi jak spodki oczami i pomarszczonymi, bezzębnymi ustami.

– Pani jest panną Vanessą, ma'am? – na wpół pytającym, wpół twierdzącym tonem powiedziało indywiduum. – Sir Kreol kazał, żebym panią przywitał.

– Tak, ja… on… to znaczy… A ty kim jesteś? – Vanessa przeszła do ataku.

– Hubert. – Typ z powagą skłonił głowę. – Do usług, ma'am. Należę do rzadkiego obecnie gatunku urisków. Sir Kreol zatrudnił mnie jako oficjalnego domowego skrzata.

– Ach, to tak! – odetchnęła Vanessa z ulgą. Cóż, po ożywionej mumii starożytnego maga, dżinnie i stadzie demonów, mały skrzat nie wydawał się groźny. – Jesteś nowym niewolnikiem Kreola?

– ma'am! – wzdrygnął się Hubert. – Bardzo proszę! Nie jestem niewolnikiem, jestem wolnym, najemnym służącym. Dostaję pensję!

– O? I za jaką kwotę ten krętacz się z tobą dogadał?

– Pełne wyżywienie i nowy garnitur raz na miesiąc, ma'am – oznajmił skrzat. – Mam nadzieję, że nie uważacie tego za wygórowaną opłatę? Mogę wykonywać obowiązki majordomusa, lokaja, kucharza, koniuszego, ogrodnika, a także szofera, chociaż to ostatnie znacznie

utrudnia mój wygląd…

– Ależ nie, wszystko w porządku – uspokoiła go Van, z trudem powstrzymując się od śmiechu. Malutki urisk niezwykle przypominał typowego angielskiego kamerdynera, takiego jak opisany przez Wodehouse'a Jeeves. W połączeniu z wyglądem różowego goblina dawało to niezwykle komiczny efekt. – Powiedz, czy skrzat, któremu podarowano ubranie, nie staje się wolny? Słyszałam o czymś takim.

– To nie całkiem tak, ma'am… – poprawił ją Hubert. – W stosunku do mojej rasy dotyczy to tylko obuwia. Jeśli ktoś z mieszkańców domu podaruje mi pantofel, kozak, kapeć albo coś w tym rodzaju, rzeczywiście będę zmuszony opuścić dom. Dlatego bardzo proszę powstrzymać się od podobnych działań, chyba że będzie pani ze mnie niezadowolona. Pozwolę sobie zapewnić panią, że zrobię wszystko, aby do tego nie dopuścić. Muszę dodać, że z ogromną radością zaproponowałem swe usługi panu. W naszych czasach zostało już tak niewielu prawdziwych magów…

– A po co masz komukolwiek służyć? – zdziwiła się Vanessa. – Czytałam, że wiele skrzatów na odwrót, wyrządza szkody. Na przykład poltergeisty…

– Proszę pani! – oburzył się urisk. – Sens życia mojej rasy polega na służeniu domowi i jego mieszkańcom! Oczywiście, niektóre jednostki nie szanują swojej pracy i zajmują się czymś wręcz przeciwnym, ale proszę mi wierzyć – nie jestem taki! Mieszkam tu od samego początku, przez całe życie strzegłem tego domu i jego właścicieli! Ku mojemu wielkiemu żalowi musiałem robić to w tajemnicy, nie mówiąc już nawet o jakiejkolwiek zapłacie… Niestety, większość ludzi ma do skrzatów jakieś uprzedzenia. Na szczęście magowi mogę służyć jawnie. – Hubert lekko wygiął koniuszki warg, co pewnie było uśmiechem.

– To o to chodzi. – Van również uśmiechnęła się ze zrozumieniem. – Czyli to ty jęczysz po nocach na strychu?

– Proszę mi uwierzyć, ma'am, nigdy nie pozwoliłbym sobie na coś takiego – dumnie zaprzeczył skrzat. – To nie ja.

– Czy w tym domu jeszcze ktoś mieszka? To znaczy, oprócz nas?

– O tak, ma'am – przyznał Hubert niechętnie. – Sir George. Jest duchem, ale zupełnie nieszkodliwym, proszę mi wierzyć.

– A jednak to jest dom, w którym straszy… – wymamrotała Vanessa. – Czyli to on chichocze i jęczy?

– Jęczy, owszem – potwierdził urisk. – Ale bardzo rzadko, ma'am, a ostatnio coraz rzadziej i rzadziej. Jestem przekonany, że całkiem przestanie, jeśli pani albo sir Kreol go o to poprosicie.

– A poprzedni mieszkańcy nie prosili? – spytała Van.

– Niestety, większość ludzi jest uprzedzona do duchów tak samo jak do skrzatów – westchnął Hubert. – Sir George nie pokazywał się

nikomu z mieszkańców już ponad czterdzieści lat…

– A kto to właściwie jest? I co robi w moim domu?

– O, ma'am, jego historia jest bardzo smutna. Za życia sir George był majorem kawalerii w armii Konfederacji, uczestniczył w wojnie secesyjnej po stronie Południa, a po jej zakończeniu został objęty całkowitą amnestią, przeszedł do rezerwy i zamieszkał tutaj wraz z żoną. W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim jego żona, bardzo niemiła kobieta, prawie o dwadzieścia lat młodsza od męża, zmówiła się ze swym kochankiem i zabiła sir George'a. Jego ciało pochowano w piwnicy, a jego nieukojona dusza od tej pory błądzi po domu… Chociaż najbardziej odpowiada mu piwnica.

– Tak, to smutna historia – zgodziła się Van. Chociaż, mówiąc szczerze, nie odczuwała specjalnego smutku. – Mówisz, że przez czterdzieści lat nie pokazywał się ludziom? Wydaje mi się, że wiem, kiedy zdarzyło się to po raz ostatni.

– Naprawdę, ma'am? Czy mogłaby pani mnie oświecić?

– No cóż, sąsiedzi opowiedzieli mi o tym, jak do domu przedostał się włóczęga. Podobno osiwiał w ciągu jednej nocy?

– Nie, nie, ma'am! – krzyknął wzburzony urisk. – Pamiętam tamtą historię, ale to nie ma nic wspólnego z sir George'em! Oczywiście, dla postronnego człowieka sir George wygląda trochę przerażająco, ale nie aż tak, żeby od tego osiwieć! Ten człowiek nawet go nie widział! Tak w ogóle – wcale nie osiwiał, to wszystko tylko plotki! Po prostu bardzo się przestraszył i…

– Kogo w takim razie zobaczył? – zapytała Vanessa, której cierpliwość zaczynała się powoli wyczerpywać.

– O, ma'am, włóczęga dostał się na strych… Widzi pani, w tym czasie w okolicy krążyło mnóstwo plotek o naszym strychu: że żyje tam potwór i że jest tam ukryty skarb. Widocznie ten człowiek uwierzył w tę drugą plotkę. Ale po tej historii ostała się tylko pierwsza.

– Czyli na strychu rzeczywiście mieszka potwór? – przestraszyła się Vanessa. – A niech to diabli porwą, co to jest, przytułek dla sił nieczystych?!

– Nie ma w tym nic dziwnego, ma'am, jeśli wziąć pod uwagę, że pierwszy właściciel tego domu, Hans Katzenjammer, też był magiem. – Skrzat ze smutkiem rozłożył ręce. – Tak, na strychu ktoś mieszka, ale ja go nigdy nie widziałem.

– Dlaczego?

– Obawiam się, że dawno już nie chodziłem na górę – niechętnie przyznał Hubert. – Od czasu, jak ten ktoś… czy coś… zabił sir Hansa… To, co zabiło maga, spokojnie może zrobić to samo ze skrzatem…

– Czyli to on chichocze? – upewniła się Vanessa.

– Tak, ma'am – westchnął Hubert. – Bardzo proszę, żeby pani zostawiła strych w spokoju. Drzwi i tak są zamurowane. Bez względu na to, co to jest, nie może… albo nie chce opuszczać swojego mieszkania, a do chichotania w nocy można łatwo się przyzwyczaić. Ja i sir George dawno już przywykliśmy.

– A co z tym twoim duchem? On przecież nie ma się czego bać!

– O tak, ma'am, ale obawiam się, że sir George ma bardzo ograniczone możliwości poruszania. Za życia nigdy nie wchodził na strych, dlatego nie może zrobić tego po śmierci.

– Cześć, Van!

Tuż przed nosem dziewczyny zawisł malutki dżinn. Wyleciał z ciemnego korytarza i uśmiechał się radośnie, pokazując, jak bardzo cieszy się, że ją widzi.

– Cześć, Hubi! – Vanessa zmusiła się do uśmiechu. Ciągle jeszcze była pod wrażeniem historii o strychu i czającym się tam potworze. – Gdzie jest Kreol?

– Tam, buduje schron. – Dżinn machnął ręką gdzieś w głąb domu. – Chodź, zaprowadzę cię!

– Jeśli nie jestem dłużej potrzebny, ma'am, pójdę szykować kolację – sucho poinformował skrzat.

– Kolację? – odparła dziewczyna w zamyśleniu. – O Boże, całkiem zapomniałam zrobić zakupy!

– Proszę się nie denerwować, ma'am, kupiłem wszystko co trzeba – uspokoił ją Hubert.

– Ty? – Vanessa uniosła brwi. – Jak?

Mimowolnie wyobraziła sobie minę kasjerki na widok potworka pchającego w supermarkecie wózek z zakupami.

– Oj, Van, tu jest taka wspaniała rzecz! – wyszeptał Hubaksis. – Magiczny podajnik jedzenia! Tam jest trąbka – mówisz do niej, co chcesz, potem przychodzą służący i wszystko przynoszą, wyobrażasz sobie?!

– Zamówiłem przez telefon – przetłumaczył Hubert, rzucając pogardliwe spojrzenie zacofanemu dżinnowi. – Czy jestem jeszcze potrzebny, ma'am?

Otrzymawszy odmowną odpowiedź, Huber z powagą ukłonił się i odszedł, szurając bosymi stopami.

– Mam nadzieję, że pan jest w dobrym humorze – wesoło zawołał Hubaksis, prowadząc Vanessę korytarzem. – Zazwyczaj jest nie w sosie, gdy coś buduje.

– A właściwie dlaczego mu służysz? – zainteresowała się dziewczyna.

– A miałem wybór? – odpowiedział dżinn pytaniem na pytanie. – Nie, oczywiście powód jest, nawet dość prosty. Albo Wielki Chan mnie zabije, albo… to co wybrałem. Według naszego prawa niewolnik nie

należy sam do siebie i nie można go karać. Jeśli pan mnie wyzwoli, natychmiast mnie zaszlachtują, niestety. Wielki Chan i po pięciu tysiącach lat z przyjemnością każe wykonać wyrok.

– A cóżeś takiego narozrabiał? Naplułeś mu do zupy?

– Prawie… – westchnął Hubaksis. – Puściłem wiatry w jego obecności.

– Puściłeś… bąka, tak? – Vanessa cudem powstrzymała się od śmiechu. – I za to należy się u was kara śmierci?!

– U was, ludzi, oczywiście prawo nie jest aż tak surowe. – Dżinn ze smutkiem przymknął oko. – U was za to co najwyżej obiją pałkami…

– Tak było w średniowieczu! – Vanessa zaczęła się denerwować. – Teraz nie karzą za taką głupotę!

– Poczekaj… – Hubaksis podniósł rękę. – Chcesz powiedzieć, że jeśli ktoś zrobi coś takiego w obecności waszego cesarza… to nie zostanie ukarany?

– Nie, myślę, że nasz cesarz – przy okazji, zapamiętaj na przyszłość, że u nas nie ma cesarza tylko prezydent – to jest coś trochę innego… Myślę, że on po prostu udawałby, że nic nie zauważył. Chociaż, oczywiście, po czymś takim będzie cię znacznie mniej szanował.

– W takim razie rzeczywiście żaden z niego cesarz! – fuknął dżinn pogardliwie. – Mój pan jest tylko magiem, ale nie radziłbym obrażać go w taki sposób, jeśli nie chcesz zmienić się w kupkę popiołu.

Kreol rzeczywiście był nie w sosie. Przebywał w jednym z oddalonych pokoi i klnąc cicho pod nosem, oddawał się dość dziwnemu zajęciu. Stukał w ścianę, wypowiadał kilka słów i przechodził dalej. W miejscu, gdzie jego dłoń dotknęła tapety, na ułamek sekundy pojawiało się czerwonoróżowe światło, ale nic więcej się nie działo.

W tym samym pomieszczeniu pracował Magiczny Sługa. To, nad czym się biedził, kiedyś było zwykłym polanem, ale teraz przypominało bardziej podstawkę pod książkę. Dokładnie rzecz ujmując, pod jedną, jedyną książkę. Masywna, wysoka, na czterech nóżkach, była przeznaczona pod magiczną księgę Kreola. Z każdą chwilą coraz wyraźniej wyłaniała się z drewna, jakby ktoś ostrożnie wyjmował podstawkę z opakowania.

– Miło cię widzieć. – Kreol z roztargnieniem przywitał Vanessę, nawet się nie odwracając.

– Ciebie też – odpowiedziała. – Co robisz?

– Buduję ochronę. Mój dom moją twierdzą – odpowiedział mag smętnie. – A nuż Troy znowu podeśle jakąś niespodziankę. No i kocebu z tego wyjdzie niezgorsze…

– To co, spodobał ci się domek? – zapytała Vanessa groźnie, nie

słuchając jego wynurzeń.

– I to jak! – Kreol nieco się ożywił. – Mojemu staremu pałacowi oczywiście nie sięga do pięt, ale widać, że mag go budował! Po prostu oddycha życiem! Nie to, co te kamienne pudełka…

– Tak, życiem oddycha. – Van pokiwała głową. – Aż za bardzo!

– A, spotkałaś już naszego nowego skrzata? – zaśmiał się mag, odwracając się wreszcie twarzą do dziewczyny. – Moim zdaniem to bardzo pożyteczny nabytek. Sługa amuletu jest niezły, ale jest porządnie zacofany i nie może samodzielnie pracować.

– Nie, Hubert mi się nawet podoba. Mówię o kimś innym!

– O duchu? – Kreol podniósł brwi. – A w czym on ci przeszkadza? Całkiem niegroźne stworzenie, chociaż bezużyteczne. Oczywiście, jeśli chcesz, mogę go wygnać. Będę potrzebował liścia buku…

– Nie! – Vanessie zaczęły puszczać nerwy. – Nie widziałam jeszcze tego ducha, ale czort z nim, niech zostanie, jeśli jest taki nieszkodliwy… Chodzi mi o strych!

– Strych? A co jest nie tak ze strychem?

– Byłeś tam?

– Jeszcze nie miałem czasu… Niewolniku, byłeś na strychu?

– Wybacz, panie, jakoś mi nie przyszło do głowy. – Hubaksis wzruszył ramionami. – A co tam jest takiego?

– Czyli Hubert wam nie powiedział – stwierdziła Vanessa, skrywając satysfakcję. – U nas na strychu mieszka potwór!

– To znaczy? – zasępił się Kreol.

Van pokrótce przekazała mu historię opowiedzianą przez sąsiada jąkałę i dokończoną przez uriska.

Nie zdążyła dopowiedzieć ostatniego słowa, gdy z góry rozległ się nieco przytłumiony chichot. Nie był ani bardzo okropny, ani zbyt głośny – można było pomyśleć, że na pierwszym piętrze ktoś ogląda śmieszną komedię. Jednakże efekt był całkiem inny, gdy wiedziało się, że dźwięki wydaje stwór mieszkający na strychu.

– Tak – krótko powiedział mag, powoli unosząc twarz ku sufitowi. Jedną ręką pochwycił laskę, w drugą wziął łańcuch i zdecydowanym krokiem ruszył wzdłuż korytarza. Vanessa zastanowiła się chwilę i ruszyła w ślad za nim.

W holu o mało co nie zderzyli się z Hubertem. Skrzat, tak jak wcześniej, wręcz emanował poczuciem własnej wartości.

– Kolacja gotowa, sir! – oznajmił uroczyście. – Czy mam podawać?

– Później – rzucił Kreol. – Najpierw muszę zrobić porządek z pasożytem w moim domu! Dlaczego nie powiedziałeś mi o stworzeniu na strychu?

Pan nie pytał, sir – nadął się urisk. – Jednak proszę powstrzymać się od pochopnych działań. Jak już wspominałem panience,

stworzenie nie opuszczało strychu od dwustu lat i najprawdopodobniej nadal nie będzie go opuszczać. Po co narażać się na zbędne niebezpieczeństwo?

– Ty. – Palec Kreola oparł się o pierś skrzata. – Powiedz: to jest mój dom czy nie?

– Pański, sir. Pański i panienki Vanessy, o ile wiem.

– Dobrze. A jeśli jest mój, to jest mój w całości – od piwnicy po strych! I nie potrzebuję nieproszonych gości, którzy nie płacą czynszu i nie przynoszą żadnego pożytku, ale za to zajmują całe piętro! Dlatego teraz pójdę i zobaczę, co za wesołek tam siedzi!

Hubert westchnął i rozłożył ręce, przyznając Kreolowi rację. Ale widać było, że nie zmienił zdania na ten temat.

Schody prowadzące na pierwsze piętro dawno już należało wyremontować. Okropnie skrzypiały i w każdej chwili mogły rozlecieć się pod nogami. Na szczęście, nikt z wchodzących na górę nie był specjalnie ciężki.

A jednak te schody wyglądały jak arcydzieło w porównaniu ze swym odpowiednikiem prowadzącym na strych. Na wszelki wypadek Kreol nakazał wchodzić pojedynczo.

Za to drzwi odcinające przejście zbudowano tak, by mogły przetrwać wieki. Mało tego, że były grube jak drzwi do bankowego sejfu, to jeszcze wzmocniono je dodatkowymi pasami stali, równomiernie wtopionymi w ściany. Ten, kto to zrobił, zdecydowanie nie chciał, żeby na strych ktokolwiek wchodził. Albo z niego wychodził, co było bardziej prawdopodobne.

Sztab było tyle, że drzwi ledwie było zza nich widać. Jednak dziurka od klucza, o dziwo, była widoczna. Vanessa nie była w stanie pokonać ciekawości i schyliła się, żeby popatrzeć.

W następnym momencie dziko krzyknęła i odskoczyła od drzwi na dobre trzy metry. Rzecz w tym, że jedyne, co zobaczyła w dziurce, było czyjeś oko. Z tamtej strony ktoś na nią patrzył…

Ponownie rozległ się chichot.

– Dość żartów! – zawołał Kreol. – Wszyscy na boki! Jestem cały napełniony magią i teraz trochę jej wypuszczę!

– Proszę cię, sir, opamiętaj się. – Hubert podjął ostatnią próbę, zanim odskoczył na bok.

– Chcesz mnie uczyć? – Mag wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nieważne, kto siedzi na tym strychu, za chwilę spotkamy się twarzą w twarz!

Kreol skierował laskę w stronę drzwi. Z magicznego oręża wytrysnął oślepiający płomień o grubości ołówka i zaczął rozcinać drzwi, podobnie jak laserowy skalpel przecina skórę. Kreol skończył usuwać przeszkodę, uśmiechnął się nieznacznie i pchnął ją ręką. Drzwi drgnęły i powoli upadły do środka, rozległ się głuchy huk, a w

powietrze podniósł się tuman kurzu.

Gdy kurz opadł, Vanessa odruchowo ruszyła naprzód. Teraz strasznie żałowała, że nie zdążyła jeszcze rozpakować walizki. Oczywiście, służbowy pistolet nie był raczej bronią na demony, ale mimo wszystko z nim czuła się pewniej. W walce ze Skaramachem okazał się całkiem przydatny! Ale po co żałować czegoś, czego nie da się zmienić?

Wewnątrz było przestronnie, ciemno i całkiem pusto. Na podłodze leżała leciwa warstwa kurzu, ściany gęsto pokrywały pajęczyny, ale nie widać było ani śladu tego, kto podglądał ją przez dziurkę od klucza. Jedyną, zdecydowanie niepasującą tu rzeczą, był widniejący w oddalonym końcu strychu pentagram. Magiczna pięcioramienna gwiazda blado świeciła w mroku.

– Sir, bardzo proszę tam nie wchodzić – nalegał skrzat.

– Nie ma sensu teraz go powstrzymywać! – rzuciła Vanessa ze złością. – Drzwi i tak są zniszczone!

– Nie sądzę, aby temu, kto przesiedział tu dwieście lat, przeszkadzały jakieś tam drzwi – powiedział mag z drapieżnym uśmieszkiem. – Strych jest otoczony zaklęciem Zatrzymania, skierowanym przeciwko demonom. Dobre zaklęcie, porządne… Mogę zburzyć nawet cały dom, a więzień i tak nie zdoła się uwolnić.

Kreol podniósł laskę i zdecydowanie ruszył naprzód. Nic się nie stało.

Powoli podszedł do pentagramu i zaczął studiować go z zainteresowaniem. Jedno z ramion było lekko uszkodzone – miało starty koniec. Sam czubeczek.

– Nieźle, nieźle… – wymamrotał Kreol, kucając obok i dotykając świecącej linii.

– Panie, uważaj! – rozległ się ostrzegawczy krzyk Hubaksisa zlewający się z jednoczesnym wrzaskiem Vanessy.

Mag wyprostował się energicznie, z jego laski wystrzeliła magiczna błyskawica i uderzyła w niewyraźną sylwetkę, skaczącą skądś z góry.

– Światło!!! – wrzasnął Kreol, kręcąc nad głową łańcuchem.

Strych zalało magiczne światło i Vanessa krzyknęła jeszcze głośniej, ujrzawszy dokładnie zagadkowego mieszkańca strychu.

Kreol wykrzyknął niezrozumiałe słowo i laska wypluła coś niewidzialnego, brzęczącego jak gigantyczny trzmiel. To coś uderzyło stwora, który akurat wtedy ponownie chciał skoczyć na maga, i odrzuciło go w kąt strychu. Stwór z trudem stanął na czworakach i niepewnie pokręcił głową, jakby był ogłuszony.

– Rezonans Dźwiękowy – z dumą poinformował Hubaksis, jakby to on sam stworzył owo zaklęcie. – Pamiętam, kiedyś pan zniszczył nim całą górę!

– Po co? – zdziwił się Hubert.

– Na rozkaz imperatora. Zasłaniała mu widok na rzekę.

Vanessa nie zwracała na nich uwagi, cały czas obserwowała siedzącego stosunkowo spokojnie potwora. Tak, inaczej jak potworem tego stworzenia nie dało się nazwać.

Wielkością i ogólnym wyglądem stwór przypominał człowieka. Lecz czym jak czym, ale człowiekiem nie był na pewno. Stał na czworakach, ale nie miał nóg – z tyłu sterczały takie same ręce jak z przodu, wyposażone w pięciopalczaste dłonie zakończone haczykowatymi pazurami. Teraz jasne było, skąd zeskoczył – najwyraźniej mógł chodzić po ścianach równie sprawnie jak małpa czy pająk. Całe jego ciało pokrywała delikatna bladoróżowa łuska, która na głowie zmieniała kolor na biały. Natomiast sama głowa nie przypominała niczego, co zdarzyło się Vanessie kiedykolwiek oglądać. Ogromna część potyliczna sugerowała wielki mózg. Jednak oczy, prawie ludzkie, nie wyrażały niczego, poza bezgraniczną tępotą i ogromną złością. Nosa potwór nie posiadał wcale, podobnie jak uszu, za to miał pysk. I to jaki! Niczym stalową pułapkę z co najmniej setką ostrych zębów. Język, który przez chwilę pojawił się na zewnątrz, wyglądał jakby należał do węża. Głowa osadzona była na gibkiej szyi i płynnie odwracała się to w jedną, to w drugą stronę, śledząc zarówno stojącego obok pentagramu maga, jak i trzy pozostałe osoby, które nie odważyły się przejść przez próg.

– Mmmm, tak, ciekawy pentagram – powiedział zamyślony mag, upewniwszy się, że w tej akurat chwili stwór na niego nie napadnie. – Ciekawe co się stanie, jeśli…

Kreol wyjął z kieszeni magiczny nóż i schylił się, zamierzając najwyraźniej wetknąć go w środek gwiazdy.

– Nie!!! – zawołał przerażony potwór, zwijając się w kłębek.

– Wiedziałem. – Kreol roześmiał się. – A jednak umiesz mówić! No cóż, myślę, że wiesz, co to jest?

Mag pokazał stworowi łańcuch. Ten nic nie odpowiedział, tylko skulił się jeszcze bardziej. Warczał niezadowolony, ale nie zdecydował się na ponowny atak.

– I tak, co my tu mamy? – mruknął Kreol, podchodząc bliżej do stwora. – Demon. Niezbyt silny. Na pewno nie z Lengu – te poznaję od razu. Czyli niekoniecznie trzeba zabijać. Rozum prymitywny, moralność wściekłej hieny, praktycznie pozbawiony zdolności magicznych, nadaje się tylko do prostych zadań. Na przykład, żeby komuś przegryźć gardło. Wygląda na to, że moi koledzy wykorzystują go czasem zamiast stróżującego psa albo czegoś w tym stylu… Nie rozumiem tylko, jak udało mu się rozprawić z tym, kto go wezwał.

– A może on sam umarł – zachichotał Hubaksis, wlatując do środka. – Na przykład, na zawał?

– Co powiesz, stworze nieczysty? – Kreol z pogardą trącił potwora nogą. – Mam rację?

– Prawie we wszystkim – odezwał się demon, podnosząc głowę.

– Prawie? – Mag uniósł głowę. – A gdzie się mylę?

– Mówiąc, że mam prymitywny rozum. Popatrz na rozmiar mojej głowy, a zrozumiesz, że się mylisz. Właśnie tak zabiłem Hansa Katzenjammera – oszukałem go.

Złość w oczach stworzenia powoli gasła. Zastępowała ją ciekawość i odrobina sprytu. Stanął na rękach i oparł się o ścianę, przyjmując mniej więcej wygodną postawę.

– Słucham uważnie. – Kreol potarł podbródek. – Mów, demonie, kim jesteś i skąd się tu wziąłeś. Potem postanowię, co z tobą zrobić.

Moja historia jest dość prosta – zaczął potwór z uśmiechem. – Nazywam się Butt-Krillach-Mecckoj-Nekchre-Tajllin-Mo. W naszym języku oznacza to: Ten-Który-Otwiera-Drzwi-Nogą.

– Twój tatuś niewątpliwie miał poczucie humoru – zachichotał Hubaksis.

– Tak, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że w ogóle nie mam nóg. Mój gatunek jest dość rzadki, żyjemy w jednym z Ciemnych Wymiarów przylegających bezpośrednio do Ziemi. Nie ma potrzeby wspominać, że właśnie dlatego wasi magowie niepokoili nas od czasu do czasu. Ale, jak już mówiłem, nasz gatunek jest dość rzadki i do tego niezbyt przydatny do czarów, dlatego prawie się nami nie interesowano. My też praktycznie nigdy tu nie leźliśmy. Żyjemy bardzo, bardzo długo, prawie nie potrzebujemy jedzenia – to, co macie jest nam do niczego niepotrzebne, osądźcie sami, co mielibyśmy robić w waszym świecie?

– Dość tych dygresji – burknął Kreol. – Przejdź do rzeczy.

– Jak sobie życzysz, magu. I tak, mimo wszystko zostałem wezwany do tego domu przez Hansa Katzenjammera. Nie był zbyt dobrym magiem, inaczej nie skończyłby w tak głupi sposób. Potrzebował niewolnika i wybrał mnie do tej roli. Nie spróbował nawet dogadać się ze mną po dobroci. O nie, od razu zaczął grozić, że jeśli odmówię złożenia mu przysięgi na wierność, zamknie pentagram i przypiecze mnie! Nie odmówiłem. Ale…! Słuchaj uważnie, magu, sformułowałem moją przysięgę tak: „Przysięgam dopóty nie wyrządzić ci żadnej szkody i wiernie służyć, dopóki słońce świeci na niebie”.

– Pozwól, niech zgadnę. – Kreol pstryknął palcami. – Działo się to o zachodzie?

– Właśnie – Butt-Krillach przytaknął z zadowoleniem. – Ale Katzenjammer nie był tak domyślny i nie zwrócił uwagi na dwuznaczność moich słów. Mówiąc ściśle, słońce świeci zawsze, ale tak samo można powiedzieć, że przestaje świecić każdej nocy. Ale on potraktował to po prostu jako ładne sformułowanie i wypuścił mnie z

pentagramu. A ja przegryzłem mu gardło.

Oczy Vanessy rozszerzyły się ze strachu, tak wyraźnie wyobraziła sobie tę scenę. Zauważywszy to, demon uśmiechnął się dobrodusznie:

– A jakbyś ty postąpiła na moim miejscu? Nikt mnie nie pytał, czy mam ochotę wybrać się do waszego świata, chcieli zamienić mnie w niewolnika i grozili śmiercią w męczarniach! Nie ma się co dziwić, że nie żywiłem do tego człowieka ciepłych uczuć. Wyobraźcie sobie jednak moje rozczarowanie, gdy odkryłem, że strych jest opieczętowany zaklęciami! Masz rację, magu, jestem praktycznie pozbawiony zdolności magicznych. Musiałem tutaj zostać… – Demon rozłożył ręce. – A teraz, gdy już znasz moją historię, decyduj, co chcesz ze mną zrobić. Jestem gotowy wysłuchać każdej rozsądnej propozycji, a także przepraszam, że napadłem na ciebie w pierwszej chwili. Myślę, że każdy byłby w nie najlepszym nastroju, jeśli musiałby przesiedzieć w jednym miejscu dwieście lat, do tego bez najmniejszej nadziei na oswobodzenie.

– Ciekawe… – Kreol pogładził podbródek. – W samej rzeczy, co z tobą zrobić…?

– Mógłbyś nałożyć na niego, panie, zaklęcie Całkowitego Poddaństwa – powiedział Hubaksis, złośliwie chichocząc.

– Nawet o tym nie myśl! – oburzyła się Van. Opowieść demona wywołała w niej współczucie dla potwora. Do tego przez całe życie nienawidziła niewolnictwa.

– Nie zamierzam – roztargnionym głosem odpowiedział Kreol. – Zapamiętaj, kobieto, żaden mag nie będzie trzymał w domu zniewolonych demonów, jeśli nie chce obudzić się rano z przegryzionym gardłem. Nigdy nie wiesz, kiedy czary przestaną działać.

– Ja też bym tego nie chciał – uprzejmie poinformował Butt-Krillach. – Mam nadzieję, że wymyślimy coś lepszego?

– Jeśli nie uznasz tego za zbyt krwawe, proponowałbym go zabić, sir – powiedział Hubert afektowanym tonem.

– Zanim zaczniecie poważnie rozważać tę głupotę, na wszelki wypadek informuję, że nasza rada włada rodzinną klątwą! – pospiesznie uprzedził demon. – Człowiek, który zabije jednego z nas, sam wkrótce dokona swych dni!

– Mmmm, tak – zamyślił się Kreol. – Dobrze, myślę, że po prostu odeślę cię z powrotem. Sądzę, że to nie powinno być trudne…

– Muszę zaprzeczyć – ze smutkiem westchnął Butt-Krillach. – Też bardzo bym tego chciał, ale niestety, jest jedna przeszkoda…

– Jaka? – zasępił się mag.

– Jak już wspominałem, Hans Katzenjammer nie był zbyt dobrym magiem. Przywołał mnie za pomocą Pierścienia Jerycha.

– Nic mi to nie mówi.

– Być może, magu, znasz to zaklęcie jako Krąg-W-Kręgu?

– Ach, to tak! – Kreol sposępniał. – W takim razie nie wiem, jak cię wygnać…

– O czym mówicie? Możecie wyjaśnić? – zabrała głos Van.

– Widzisz tę świecącą gwiazdę na podłodze? – Kreol wskazał pentagram. – Nasz bardzo rozmowny przyjaciel jest z nią na zawsze związany. Nie może opuścić tego wymiaru, dopóki ona jest tutaj. Uwolnić może go tylko ten, kto ją narysował, a on, hmmm… sama rozumiesz.

– No to zetrzyjcie ją! – Vanessa wzruszyła ramionami ze zdziwieniem.

– Jakie to proste! Ze też sam na to nie wpadłem! – Mag skrzywił się złośliwie. – Nie, zależność między nimi jest silniejsza. Jeśli pentagram zostanie zniszczony lub tylko uszkodzony, on też zginie. Popatrz na jego prawą, tylną rękę.

Demon westchnął i podniósł wspomnianą kończynę, demonstrując Vanessie brak małego palca. Zamiast niego miał tylko nędzny kikut, długości około pół centymetra.

– To z powodu startego czubka? – zapytała ze współczuciem. Butt-Krillach ze smutkiem skinął głową.

– To co, mam cię tak zostawić na strychu? – niechętnie zapytał Kreol.

– Po co? – Demon wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Oczywiście, szkoda, że nie mogę wrócić do rodzinnego wymiaru, ale spokojnie mogę żyć w tym. Oczywiście, jeśli będę mógł opuścić to wstrętne miejsce…

– Rozumiem… – Mag także się uśmiechnął domyślnie. – Chcesz, żebym zniszczył zaklęcie Zatrzymania i wypuścił cię ze strychu?

– Nawet o tym nie myśl! – oburzyła się Vanessa, gdy zorientowała się, o czym tych dwóch rozmawia. – Nie pozwolę, żeby po moim domu spacerowała ta małpa!

– Moja droga, a czym tak ci dokuczyłem? – ironicznie rzucił Butt-Krillach. – Do tego jestem strasznie głodny – jemy niewiele, ale nie aż tak mało! Prawie nic nie jadłem przez całe dwa stulecia… Te kilka sów, szczurów i owadów nie liczy się.

– Może w takim razie poczekamy, aż umrzesz z głodu? – mruknął Kreol.

– Będziecie długo czekać – zachichotał demon. – Jeszcze co najmniej sto lat… Mimo wszystko wolałbym odzyskać wolność.

W zasadzie jest to możliwe… – powiedział w zadumie mag, nie zwracając uwagi na pełne oburzenia krzyki Van. – Ale do czego możesz mi się przydać, powiedz, mój drogi? O ile dobrze zrozumiałem, zajmujesz się przede wszystkim rozrywaniem innych na kawałki, a to świetnie umiem robić sam. Do tego nie mam na razie

żadnego kandydata… Ze starych wrogów został tylko Troy, a nowych jeszcze się nie dorobiłem. Napuścić cię na Troya? Cha, cha, śmieszne – mruknął smętnie. – Co jeszcze możesz zaoferować?

– Mogę bronić domu – bez przekonania zaproponował demon. – Albo robić coś innego…

– Jeszcze jeden sługa? Ostatnio mam ich więcej niż potrzeba… Dobrze, załóżmy, że wymyślę dla ciebie zajęcie. Dodatkowa jednostka bojowa nie zaszkodzi. Ale co stoi na przeszkodzie, żebyś przegryzł mi gardło, gdy zasnę?

– Mogę złożyć przysięgę.

– Tak samo dwuznaczną, jak ta dana Katzenjammerowi? Nie, załatwimy to inaczej. Sługo, ukaż się!

Obok niego pojawił się kryształowy podrostek, patrzący smutnymi, martwymi oczami.

– Wiesz, kto to jest? – zapytał Kreol. Butt-Krillach w milczeniu skinął głową.

– Dobrze… I tak, Sługo, słuchaj mojego rozkazu! Jeśli umrę, nieważne z jakiego powodu, natychmiast zjawisz się tutaj i zniszczysz pentagram! Rozkaz ten ma najwyższy priorytet, nie podlega przedawnieniu i nie może być przez nikogo odwołany!

– Tak, to dobre zabezpieczenie – przyznał demon. – Ale dlaczego ograniczyłeś się tylko do własnej osoby? A co, jeśli zabiję tę dziewczynę? Oczywiście, czysto hipotetycznie…

– Hipotetycznie? – Mag zmarszczył się groźnie. – Czysto hipotetycznie, w takim przypadku wsadzę cię do klatki i będę bez chwili przerwy dręczył najwymyślniejszymi torturami. Ale będziesz żył, możesz w to nie wątpić… Przeżyłem tak długo nie dlatego, że wierzyłem wszystkim na słowo. Uważaj – zdejmuję zaklęcie.

Kreol stanął na środku strychu, podniósł ręce i wymówił śpiewnie kilka słów. Następnie machnął laską, wyrysowując nią w powietrzu jakąś figurę i z jej czubka wystrzelił snop różnokolorowych iskier. Niewtajemniczony człowiek nic więcej by nie zauważył, ale Butt-Krillach radośnie pisnął, i z szybkością wściekłego kota rzucił się w stronę otworu po drzwiach.

– I co narobiłeś? – wysyczała Vanessa, chwytając Kreola za klapy marynarki. – A jeśli on teraz pogna do miasta i zacznie zjadać ludzi?

– Myślę, że ma dość oleju w głowie, żeby tego nie robić. – Kreol obojętnie wzruszył ramionami. – Nie martw się, kobieto, w razie czego zawsze będę w stanie go zniszczyć. Nie myśl, że boję się jego przekleństwa – każdą klątwę można zdjąć. Sił mi starczy…

– A jeśli po prostu ucieknie? – Vanessa upierała się przy swoim. – Tylko nie mów, że rzucisz wtedy wszystkie sprawy i pobiegniesz szukać go po całym Frisco?

– Oczywiście, że nie… Po prostu urwę mu jeszcze kilka palców.

Kreol ruchem głowy wskazał wciąż jeszcze świecący na podłodze pentagram i uśmiechnął się złowróżbnie.

Rozdział 8

Minęło piętnaście dni i stary dom stopniowo zaczął ożywać. Przez czterdzieści lat nikt w nim właściwie nie mieszkał. W tym czasie zmieniło się jedenastu właścicieli, ale żaden z nich nie wytrzymał dłużej niż trzy miesiące. Kreol i Vanessa byli dwunastymi.

Mag całkowicie pogrążył się w pracy. Odrywał się od niej tylko po to, żeby coś zjeść, a od potrzeby snu uwolnił się zaklęciem Bezsenności. Nie mógł jednak robić tego bezkarnie – oczy miał zaczerwienione, a powieki opuchnięte. Vanessa na wszelkie sposoby starała się przekonać go, żeby przestał znęcać się nad organizmem i choć raz wyspał się jak należy, ale mag tylko oganiał się od niej niecierpliwie. Zajmował się dwiema rzeczami – nieustannie pisał magiczną księgę i otulał dom magiczną ochroną. I jedno, i drugie wymagało mnóstwa czasu, a Kreol w żaden sposób nie mógł się zdecydować, co jest dla niego ważniejsze, dlatego zajmował się obiema sprawami na przemian. Na początku martwił się, że tylko patrzeć, jak po jego skórę przyjdzie Troy, ale z czasem uspokoił się, doszedłszy do wniosku, że ten nie wie nawet o zmartwychwstaniu starego wroga.

Vanessie udało się przynajmniej uwolnić od prac domowych. Urisk Hubert, zachowując cały czas kamienny wyraz twarzy, sprzątał, gotował i obsługiwał wszystkich domowników. Obiady i kolacje wychodziły mu nadzwyczaj smaczne, chociaż Vanessie niezbyt podobało się, że tak bardzo nalega na serwowanie egzotycznych dań. Korzystał z książki kucharskiej, którą pozostawił w domu jeden z poprzednich właścicieli, prawdziwy smakosz. Ale wszystko jednak nadawało się do jedzenia.

Sama Vanessa podkasała rękawy i na serio zajęła się remontem. Początkowo planowała wynająć brygadę, która doprowadziłaby tę szopę do porządku, ale pojawiło się pytanie, gdzie w takiej sytuacji ukryć cały ten nadnaturalny zwierzyniec? Normalnego człowieka większa część mieszkańców wprawiłaby, w najlepszym przypadku, w silne zdumienie. Dlatego postanowiła zrobić to sama.

Wszystko, czego potrzebowała, zamawiała przez telefon. Tapety, farby, klej, drewno, szyby, gwoździe, narzędzia i inne drobiazgi, nawet klamki do drzwi. Zamówiła też stertę książek w rodzaju „Zrób to sam”. Na szczęście dziadek Vanessy ze strony matki był stolarzem, ubóstwiał majsterkowanie i czegoś tam wnuczkę nauczył, nie musiała więc zaczynać od zera.

Oczywiście, w pojedynkę wiele by nie zdziałała. Potrzebni byli pomocnicy. Najpierw skonfiskowała Kreolowi amulet Sługi. Kto jak kto, ale on musiał dobrze się napracować! Van poganiała go od rana

do wieczora, nie dając ani chwili wytchnienia. Nie protestował.

Szybko jednak zauważyła, że magiczny Sługa ma szereg wad. Przede wszystkim często rozumiał rozkazy inaczej niż ten, kto je wydawał. Vanessa kazała mu, na przykład, wyciąć z drewna stopnie, potrzebne do zrobienia nowych schodów. Niby wszystko było w porządku, pierwszy stopień wyszedł wprost idealnie, więc Vanessa spokojnie poszła napić się kawy. Wróciła po półgodzinie i odkryła, że popełniła straszny błąd – zapomniała określić potrzebną liczbę stopni. Sługa zdążył wykorzystać trzy czwarte wszystkich desek i zapełnił pokój stopniami aż pod sufit. Trzeba było zamówić nowe deski i intensywnie myśleć, jak zagospodarować taką ilość niepotrzebnych wyrobów drewnianych.

Czasami Sługa był całkowicie bezradny wobec, wydawałoby się, najprostszych zadań. Nie miał bladego pojęcia o elektryczności i gdy Vanessa kazała mu wymienić zepsuty przewód, nawet się nie ruszył. Czasami wszystko psuła jego nadmierna szybkość. Po prostu nie mógł pracować wolniej, i czasami to przeszkadzało. Nie umiał, na przykład, wbijać gwoździ – walił w nie z taką częstotliwością, że pogrążały się głęboko w ścianę, zostawiając po sobie nierówną dziurę.

W końcu Van postanowiła dołączyć jeszcze kogoś do pracy. Kreol odpadał w przedbiegach – wyobraziła sobie tylko przez moment, jaką miałby minę, gdyby poprosiła go, by popracował jako budowlaniec i natychmiast porzuciła tę myśl. Hubaksis zasadniczo nie odmawiał pomocy, ale sama widziała, ile jest w stanie zrobić. Co najwyżej coś przytrzymać. I to coś bardzo małego. Ten sam problem dotyczył sir George'a. Major rezerwy za życia był postawnym mężczyzną, który umiał pracować rękami, ale po śmierci utracił wszystkie umiejętności. Po prostu nie mógł niczego dotknąć ze względu na swą niematerialną postać. Hubert i tak był obciążony pracą do granic możliwości – starannie czyścił i szorował dom. Przez lata wymuszonego bezrobocia ani trochę się nie rozleniwił i teraz zdecydowanie nadrabiał zaległości.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Vanessy pomoc pojawiła się w osobie okropnego chichoczącego po nocach sąsiada. Ten-Który-Otwiera-Drzwi-Nogą nie miał nic przeciwko temu, by podlizać się nastawionej wyraźnie przeciwko niemu dziewczynie i sam zaproponował swoje usługi. Jego cztery ręce i nadzwyczajna zręczność okazały się jak najbardziej na miejscu. Szczególnie sprawnie malował ściany i sufity – nie potrzebował nawet drabiny.

Po dłuższym namyśle Vanessa zrezygnowała z tapet, jakoś nie pasowały do tego domu, i zadowoliła się malowaniem. Zaczęła od swojego pokoju. Bez względu na wysiłki Van, dom Katzenjammera pozostał ponury i złowieszczy, więc chciała, żeby przynajmniej jej sypialnia odbiegała od schematu. Ale wyszło nie najlepiej.

Mimo wszystko Vanessa była zadowolona. Pomijając wszystkie

wady tego okropnego domu, była to najprawdziwsza piętrowa willa z licznymi pokojami, balkonami, ogromną piwnicą, a teraz także ze strychem. Na tyłach domu odkryła najprawdziwszy sad, co prawda bardzo zaniedbany, ale mimo wszystko sad. Do tego przed domem wykopała basen. Dobrze, nie ona sama, tylko Sługa amuletu, ale co to za różnica? Oczywiście, zrobił to w nocy, żeby sąsiedzi nie zdziwili się, widząc dół, który sam się wykopuje. A Kreol obiecał, że gdy skończy ze swoimi sprawami, rzuci jakieś zaklęcie, które sprawi, że woda w basenie będzie zawsze ciepła. Chociaż sam pomysł mu się nie spodobał, znowu gadał o jakimś „kocebu" i o tym, że basen i tak trzeba będzie potem zlikwidować.

Mag zakończył swoje prace dopiero pod koniec szesnastego dnia. Prawie jednocześnie dobiegł końca przyspieszony remont. Oczywiście, dom jak poprzednio, przypominał rozsypujący się zamek średniowiecznego feudała, ale teraz przynajmniej nie trzeba było się obawiać, że komuś coś zleci na głowę. Na przykład całe pierwsze piętro…

Van znalazła Kreola w salonie. Znaczną część odrestaurowanego pomieszczenia zajmował elegancki kominek i para foteli, w których bardzo przyjemnie i wygodnie siedziało się z butelką wina, wyciągając przy tym nogi w stronę ognia. Teraz w jednym z nich siedział Kreol, w drugim Hubaksis. Oczywiście, dżinn zajmował co najwyżej jedną dwudziestą fotela, ale minę miał przy tym taką, jakby się w nim z trudem mieścił. Mag nie wiadomo po co owinął głowę ręcznikiem, przypominając hinduskiego radżę.

– Siedzicie…? – powiedziała Vanessa zamiast powitania, groźnie biorąc się pod boki.

– Właśnie tak – wesoło odpowiedział dżinn. – Jak leci?

– Powoli do przodu. – Vanessa zagryzła wargi. – Niepokoi mnie ten… jak mu tam… no, ten co mieszka na naszym strychu… W żaden sposób nie mogę zapamiętać jego imienia.

– Butt-Krillach – podpowiedział Hubaksis. – Skrócona forma. Van, a co konkretnie cię niepokoi? Podgląda, jak się kąpiesz, tak?

– Nie! – oburzyła się na taką sugestię dziewczyna.

– A to głupek – cmoknął dżinn z dezaprobatą. – Dużo stracił. Widzisz, panie, w suficie jest taka wspaniała dziurka, wszystko świetnie widać… mmmm…

– Lubieżny ponad wszelką miarę, jak większość dżinnów… – zauważył Kreol filozoficznie i wzruszył ramionami, widząc, że Vanessa pęka ze złości. – Więc co chciałaś powiedzieć o naszym łuskowatym przyjacielu?

Van zazgrzytała zębami, z trudem powstrzymując się, żeby nie złapać wstrętnego dżinna i nie spuścić go w toalecie. Kiedyś postąpiła tak ze szczurem, który złapał się w pułapkę. Zasadniczo Van nie miała

nic przeciwko gryzoniom, ale ten szczur zniszczył jej najdroższą sukienkę, kupioną za dwumiesięczną pensję, a czegoś takiego nie wybaczy żadna prawdziwa kobieta.

Najwyraźniej na jej twarzy wszystko odbijało się jak w lustrze, bo przestraszony Hubaksis zatrajkotał:

– Co ty, Vanesiu, wzięłaś to na serio? Żartowałem, tam nie ma żadnej dziurki! To znaczy jest, oczywiście, ale ja nie jestem taki, ja nigdy! No może raz… ale tylko jednym okiem…!

– Masz szczęście, że jesteś taki mały i nędzny. – Vanessa kategorycznie skończyła dyskusję na ten temat. – Wiecie, że Butt-Krillach co noc wychodzi z domu i wraca dopiero nad ranem?

– Wiem – odpowiedział Kreol obojętnie.

– Ja też wiem – uznał za stosowne dodać Hubaksis, zadowolony, że rozmowa zboczyła na inny temat.

– Tak? – nienaturalnie spokojnym tonem powiedziała Vanessa. Jej mina nie zwiastowała nic dobrego. – I od dawna o tym wiecie?

– Od pierwszego dnia – mruknął mag. – Powiedz, kobieto, czy według ciebie magiczną ochronę budowałem dla zabawy? Nikt nie może wejść do tego domu bez mojej wiedzy!

– To, oczywiście, dobrze. – Vanessa powoli kiwnęła głową, zapamiętując jednocześnie, że w takim razie nie ma sensu tracić pieniędzy na zamówiony już alarm anty włamaniowy. – Szkoda tylko, że **ja** dowiedziałam się o tym dopiero dzisiaj! A jeśli wy obaj jesteście tacy mądrzy, to może wiecie, co on robi po nocach?

– A dlaczego by jego o to nie zapytać? – uśmiechnął się Kreol.

– Już spytałam!

– I…?

– Powiedział, że spaceruje! – fuknęła z irytacją.

– To w pełni zrozumiałe życzenie. Gdybym to ja spędził dwieście lat zamknięty na strychu, też miałbym ochotę rozprostować nogi.

– Byłeś zamknięty znacznie dłużej – przypomniała Van. – I nie na strychu, tylko w trumnie.

– Tak, ale ja byłem martwy. Było mi wszystko jedno.

– Nieważne! – Vanessa rozłożyła ramiona w desperackim geście. – Chcę wiedzieć, gdzie on chodzi i co robi!

– A na mnie się złości za podglądanie… – cicho zawarczał Hubaksis.

Kreol potarł czoło, myśląc o postawionym ultimatum.

– I tak planowałem przygotować magiczne lustro… – przyznał niechętnie. – Kiedy zacznę woj… nieważne, i tak mi się przyda. Jeśli trochę poczekasz, będziesz mogła zobaczyć co zechcesz.

– Kiedy? – Vanessa zażądała natychmiast dokładnych danych.

– Myślę, że ze trzy dni… Wszystko zależy od tego, jak szybko zbiorę składniki.

– Nie mam zamiaru czekać trzech dni! – Vanessa nachyliła się tak, że jej twarz znalazła się tuż przed twarzą Kreola i bardzo wyraźnie wymawiała każde słowo. – Boję się oglądać wiadomości – a nuż poinformują tam, że na ulicy znaleźli stertę pogryzionych trupów?

– Nie poinformują – beztrosko odpowiedział mag. – On należy do mało jedzących demonów.

– Tak, on je jedną miseczkę fasoli dziennie – przytaknął Hubaksis. – Co prawda w mięsnym sosie…

– Muszę wiedzieć na pewno.

– Czego ty ode mnie chcesz, kobieto? – oburzył się Kreol. – Jestem strasznie zmęczony, absolutnie nie mam ochoty czarować! Na łono Tiamat, nie chce mi się nawet ruszyć!

– To niech on go śledzi! – zaproponowała Vanessa, dźgając palcem Hubaksisa. – Umie latać, przechodzić przez ściany i jest taki mały, że nikt go nie zauważy. Idealny szpieg!

– W zasadzie, tak… – powiedział w zamyśleniu Kreol, patrząc na dżinna.

– Nie chcę! – natychmiast sprzeciwił się Hubaksis. – Nie trzeba, panie! A w ogóle mam ważny powód!

– Jaki? – zmarszczyła się Vanessa.

– Ja też jestem zmęczony! – bezczelnie oznajmił dżinn.

Ta odpowiedź zadecydowała, rozwiewając resztki wątpliwości maga. Kreol rozparł się wygodnie w fotelu i rozkazał:

– Rób, jak ona mówi, niewolniku. I to szybko!

– Słucham, panie… – zaburczał dżinn niewyraźnie, wstając z tak wygodnego fotela. Teraz, gdy czekała go cała noc latania po mieście za jakimś głupim demonem, fotel wydawał się dwa razy bardziej wygodny.

– A ja i tak wiem, po co cała ta afera – chytrze oznajmił Kreol, odprowadzając wzrokiem dżinna znikającego w ścianie.

– Niby po co? – zdziwiła się Van.

– Żeby ustąpił ci miejsca w fotelu. Siadaj, a co tam. Chcesz kawy?

Van z przyjemnością zapadła się w miękki, głęboki fotel i z nie mniejszą przyjemnością przyjęła zaproponowane cappuccino. Między fotelami stał niewielki stolik, a na nim dzbanek z kawą, cukiernica i dwie filiżanki.

– Pijasz teraz kawę? – Dziewczyna z zainteresowaniem popatrzyła na maga.

– Hubert mnie nauczył. – Wzruszył ramionami. – Wspaniały napój. Aż szkoda, że nie było go za moich czasów…

Vanessa przez chwilę milczała, wpatrując się w ogień. Było tak przytulnie i dobrze siedzieć w ciepłym salonie, wiedząc, że na zewnątrz jest ciemno, wyje wiatr, a być może nawet leje deszcz. A myśl o tym, że Hubaksis jest gdzieś tam i zostanie aż do samego rano

sprawiała, że salon robił się jeszcze bardziej przytulny.

– Chciałam cię zapytać… – zaczęła w zamyśleniu.

– Pytaj – odpowiedział Kreol, siorbiąc zawartość filiżanki.

– Chodzi o twoje imię…

– A co z nim nie tak?

– Nie, nie o to chodzi… Masz na imię Kreol, prawda?

– No, trudno się nie zgodzić z tym stwierdzeniem. – Mag uśmiechnął się pod nosem.

– A gdzieś tam, w Azji, jest cały naród Kreolów* [*__Vanessa myli się, uważając, że Kreole są Azjatami. W rzeczywistości Kreolami nazywano Hiszpanów urodzonych w amerykańskich koloniach. Oczywiście, nie mają oni nic wspólnego z bohaterem książki, jest to tylko przypadkowa zbieżność słów. (przyp. autora)__]. Czy to ma jakiś związek?

– Nie sądzę – odpowiedział, pomyślawszy chwilę. – Za moich czasów nie było takiego narodu. Za to moje imię było bardzo popularne. Mój ojciec też się tak nazywał… Przyjemnie byłoby oczywiście myśleć, że na moją cześć nazwano całe plemię, ale… to raczej nieprawdopodobne. Nie zostawiłem przecież potomstwa.

– Rozumiem… – odpowiedziała Vanessa niejednoznacznie.

Kreol zaczął odwijać ręcznik. Van w tym czasie patrzyła w inną stronę i odwróciła się dopiero, gdy ją zawołał:

– I co o tym sądzisz? Dziewczyna otwarła usta ze zdumienia.

– Wstrząsające… – westchnęła. – Po prostu super!

– Prawda? – Mag z dumą rozpłynął się w uśmiechu, gładząc świeżo wyrosłą czuprynę. – Najtrudniej było znaleźć łodygę krwawnika…

– Super! – Vanessa uniosła kciuk do góry. – Nie sądziłam, że jesteś blondynem, masz smagłą cerę…

– Blondyn? – nie zrozumiał Kreol. – Co to znaczy „blondyn”?

– No, to ktoś, kto ma jasne włosy. Takie trochę żółtawe.

– Co takiego?! Przez całe życie miałem włosy w kolorze nocnego nieba! Gdzie jest lustro?! Sługo, przynieś lustro!

Po kilku sekundach trzymał w ręku niewielkie lusterko. Kreol obejrzał swoje rzeczywiście bardzo jasne włosy i westchnął głęboko.

– Teraz rozumiem, dlaczego w przepisie tak podkreślali, że kot powinien być koniecznie czarny… – Pokiwał głową. – Przedtem zawsze korzystałem z takich właśnie, a teraz… Przyznaję, dałem plamę… Niewybaczalny błąd…

– Chwileczkę… – ożywiła się Vanessa, przyglądając się dokładniej nowej fryzurze. – Wziąłeś włosy Fluffiego?

– Tylko kilka kłaczków – przyznał mag z poczuciem winy. – Bardzo delikatnie…

– Teraz wiem, skąd ten kremowy odcień… – Van z zadowoleniem

opadła na fotel. – Co teraz, będziesz przerabiał? Czy po prostu przefarbujesz?

– Pomyślę o tym… – wykręcił się Kreol, smętnie zagapiony w swoje odbicie.

Jasne włosy rzeczywiście wyglądały dziwnie na jego głowie. I to nie po prostu jasne, a dokładnie takiej barwy, jaką spotyka się wyłącznie u kotów syjamskich.

– A co do twojego magicznego lustra… – Vanessa postarała się zmienić temat.

– Tak?

– Co jest potrzebne, żeby je zrobić?

Magiczne lustro, w którym można zobaczyć wszystko, o czym się tylko zamarzy, bardzo zainteresowało Vanessę. Jeśli wierzyć Kreolowi, to takie lustro rzeczywiście jest bezcenne.

– Przede wszystkim potrzebny będzie mi talerz – zaczął mag niechętnie. – Duży i płaski. Potem trzeba będzie przygotować magiczny wywar… a właściwie aż trzy różne wywary. Pierwszym należy natrzeć powierzchnię spodka, tak jak naciera się tłuszczem blachę do ciasta. Drugi należy nalać do talerzyka, aż po brzegi. A trzeci jest potrzebny do tego, żeby pokryć spodek wypełniony drugim wywarem, jak… ty to nazywasz folia. W najgorszym przypadku można wziąć po prostu zwyczajne miedziane lustro i zaczarować je, ale w takim wiele się nie zobaczy.

– A co jest potrzebne do wywarów? – z ciekawością dopytywała się Van, szczegółowo zapamiętując cały przepis. Nie dlatego, że planowała zrobić to samodzielnie, a dlatego, że ją to interesowało.

– Do nacierania – zmieszane w równych proporcjach olejki akacjowy, cynamonowy i anyżowy, z dodatkiem kilku kropel olejku z gałki muszkatołowej. To najprostszy skład. Do napełnienia talerzyka – mieszanka jałowca, paczuli, cynamonowca, drzewa sandałowego i żywicy z drzewa mastyksowego. Wszystko zmieszać, zemleć na proszek, a potem dodać kilka kropel ambry zmieszanej z piżmem. Potem dodać olejku z gałki muszkatołowej i olejku goździkowego, ale to nie jest konieczne. Mieszanka musi się odstać co najmniej trzy dni. Ostatni wywar składa się z jednej części goździków, trzech części korzenia cykorii i trzech części pięciornika. Dodać krew białej kury. I, oczywiście, przygotowaniu wywarów muszą towarzyszyć zaklęcia.

Vanessa, która przez cały czas kołysała się rytmicznie, straciła wątek opowieści gdzieś w okolicach trzeciego zdania.

– A jeśliby użyć szklanej kuli? – zapytała, byleby coś powiedzieć.

– Do czego? – nie zrozumiał Kreol.

– No, żeby zobaczyć przyszłość albo coś tam jeszcze…

– Czyżby w niej można było coś zobaczyć? – Mag podniósł brwi. – Czasami korzystam ze szklanej kuli, ale tylko po to, żeby się

skoncentrować. W tym samym celu można wykorzystać brylantowy pierścień, a nawet zwykłą plamę z atramentu. A przyszłości nigdy nie widziałem, nie jestem prorokiem. Teraźniejszość i, w określonych warunkach, przeszłość – to wszystko co mogę obiecać.

– Rozumiem… Powiedz no, czym w ogóle planujesz się teraz zajmować?

– To znaczy? – zasępił się mag.

– Dlaczego nie zostałeś w tym swoim Sumerze? Po co ci to wszystko potrzebne?

– Miałem swoje powody… – burknął Kreol, dolewając sobie kawy do filiżanki. – Całe mnóstwo przyczyn… Odpocznę kilka dni i będę kontynuował pracę. Czekaj na mnie Lengu, czekaj… – wyszeptał z jawną pogróżką.

Vanessa zmarszczyła czoło i zamyśliła się nad jego słowami. Już miała otworzyć usta, żeby zapytać, kto to taki ten Leng, gdy przeszkodził jej zupełnie powszedni dźwięk – dzwonek do drzwi.

Vanessa i Kreol jednocześnie spojrzeli na siebie.

– Kto to może być? – powoli powiedziała Van.

– Butt-Krillach i Hubaksis nie będą dzwonić – logicznie odpowiedział mag. – Sir George i Hubert są w domu.

– Hubert…! Czy uprzedziłeś Huberta, żeby nie otwierał drzwi?

– Nie. A ty?

Jeszcze przez ułamek sekundy Kreol i Vanessa patrzyli na siebie. Po chwili wyskoczyli z foteli i na wyścigi pognali do drzwi wejściowych, energicznie rozpychając się przy tym łokciami.

– Stać!!! – wrzasnął Kreol, widząc, że urisk już naciska klamkę. Van, której od tego wrzasku zadzwoniło w uszach, z oburzeniem pisnęła coś niecenzuralnego.

– Tak, sir? – Hubert sztywno odwrócił się do maga. Cała jego postawa mówiła, że ma nadzieję, iż państwo wytłumaczą mu, co też im przyszło tym razem do głowy.

– Szybciutko zapamiętaj dwie zasady – rzucił Kreol. – Po pierwsze: nigdy nie otwieraj drzwi. Po drugie: jeśli w domu są obcy, nie pokazuj im się na oczy. Wykonać!

– Tak jest, sir – odparł nieporuszony skrzat, powoli rozpływając się w powietrzu.

– Co mu się stało? – zapytała zagubiona Vanessa, ciągłe jeszcze dłubiąc w uchu.

– Nic wielkiego, tylko stałem się niewidzialny, ma'am – z pustki dobiegł głos skrzata. – Mogę już iść?

Dzwonek zadźwięczał jeszcze raz, tym razem bardziej natarczywie. Biorąc pod uwagę, że minęło już wpół do jedenastej, a na zewnątrz było dość chłodno, nieznani goście i tak byli bardzo uprzejmi.

Van nacisnęła klamkę i energicznie otwarła drzwi, gotowa powiedzieć nieproszonym gościom, co o nich myśli. Ale gdy zobaczyła, kto stoi na progu, skamieniała z otwartymi ustami jak słup soli.

Na progu stały dwie osoby. Mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, o chińskich rysach twarzy, w okularach i korpulentna kobieta, mniej więcej w tym samym wieku, z farbowanymi włosami. Wokół nich piętrzyły się walizki.

– Mamo… tato… – wyszeptała Van, przełamując bezwład. – Przecież jesteście w Pekinie…?

– Samolot wylądował dwie godziny temu i od razu pojechaliśmy do ciebie ale oczywiście cię nie zastaliśmy twoja koleżanka dała nam twój nowy adres i przyjechaliśmy tutaj czarujący dom moja córeczko po prostu czarujący tylko nieco smutny nie sądzisz? – wyrzuciła z siebie matka.

– Witaj, córciu – uśmiechając się, objął ją serdecznie ojciec.

Ojciec Van urodził się w Pekinie. Tak jak i jego rodzice, był czystej krwi Chińczykiem. Jednak ponad czterdzieści lat przemieszkał w Stanach, dlatego po angielsku mówił bez śladu obcego akcentu. Jej matka, wręcz przeciwnie, była Amerykanką, ale mówiła tak, jakby urodziła się gdzieś za oceanem. Absolutnie nie robiła pauz między słowami. Prawdopodobnie słyszała gdzieś o istnieniu znaków przestankowych, ale dawno i zdecydowanie postanowiła, że jej nie dotyczą.

– Witajcie… – wymamrotała Van niezdecydowanie, oswobodziwszy się z rodzicielskich objęć. Kochała swoich staruszków, ale tym razem pojawili się wyjątkowo nie w porę. Vanessa liczyła, że jej protoplaści spędzą w Chinach jeszcze dwa tygodnie. – Ale dlaczego nie pojechaliście od razu do domu?

– Jak dobrze cię widzieć córuś bardzo dobrze wróciliśmy wcześniej wzięliśmy taksówkę sprzedaliśmy nasze mieszkanie jeszcze przed wyjazdem przecież mówiliśmy ci chcemy też kupić dom na łonie natury wyprzedziłaś nas oczywiście nie taki staromodny chcieliśmy zatrzymać się przez jakiś czas w hotelu ale jeśli masz taki duży dom to oczywiście nie odmówisz i przygarniesz nas na kilka dni kim jest twój kawaler no przedstawże nas!

– Mao Lee. – Ojciec Van wyciągnął do Kreola rękę, a ten uścisnął ją z wahaniem. – Moja żona, Agnes.

– Dali mu imię na cześć Mao Zedonga dziwne prawda wtedy on dopiero doszedł do władzy w rzeczywistości nazywa się Lee Mao u Chińczyków wszystko jest na odwrót najpierw nazwisko potem imię jak się pan nazywa pan przyszedł w gości do naszej drogiej córeczki?

– Ma na imię Laurence. – Vanessa gorączkowo zbierała myśli, rozumiejąc, że nie ma co liczyć na pomoc ze strony maga. – Laurence

Kreol. My… my mieszkamy razem. Jest… jest moim narzeczonym! Tak, właśnie, zamierzamy się pobrać!

– Cooooo? – Kreolowi opadła szczęka. Van zakryła mu usta dłonią, mając przy tym nadzieję, że nie ugryzie jej, i jednocześnie starała się pokryć zmieszanie głupim uśmiechem.

Ojciec zasępił się. Matka, ani trochę nie zbita z tropu takim zwrotem akcji, zaterkotała, pełna szczęścia:

– Taka nieoczekiwana niespodzianka kiedy to się stało dlaczego nic nam nie powiedziałaś kiedy odbędzie się ślub on mi się podoba chociaż powinien pan Larry przefarbować włosy w tym kolorze jest panu nie do twarzy.

– Gra-gratuluję – niezręcznie wymamrotał tatuś, poszturchiwany przez żonę łokciem.

Przynajmniej nie zrobił uwagi na temat koloru włosów Kreola. Teraz, gdy mag do końca zregenerował się po swej okresowej śmierci i wyhodował nowe włosy, można mu było dać nie więcej niż trzydzieści pięć lat. A jeśliby spojrzeć życzliwie – trzydzieści.

Van uśmiechnęła się nieszczerze i mamrocząc jakieś uprzejmości, prawie na siłę wciągnęła oboje rodziców do salonu, a potem rozkazała Słudze przenieść walizki do holu, oczywiście tak, żeby goście go nie zauważyli. W końcu zaciągnęła Kreola do jednego z pustych pokojów.

– Żenić się?! – ryknął mag, gdy tylko zostali sami. – Nawet o tym nie myśl, kobieto! Starano się mnie ożenić ze dwadzieścia razy, raz nawet z kuzynką imperatora, ale nie poddałem się, o nie, za nic! Zapomnij!

– Wcale nie zamierzam wychodzić za ciebie za mąż! – fuknęła Vanessa z pogardą. – Musiałam jakoś wyjaśnić, dlaczego mieszkamy razem! Co niby miałam powiedzieć – że jesteśmy partnerami w interesach?

– Mogłaś powiedzieć, że kupiliśmy dom na spółkę i do każdego z nas należy połowa – zaproponował mag rozsądnie.

– Dobry pomysł – stwierdziła Vanessa po chwili namysłu. – Ale już jest za późno. Dlaczego wcześniej milczałeś?!

Zirytowana, uderzyła maga pięścią w pierś, złoszcząc się jednocześnie na niego, na siebie i na swoich rodziców.

– Dobrze, zrobimy tak… – powiedziała, gdy się uspokoiła. – Pobędą u nas nie więcej niż dwa, trzy dni…

– A jeśli zostaną dłużej?

– Jeśli nie wyjadą pojutrze, osobiście zamówię dla nich najdroższy apartament w najdroższym hotelu! – wypaliła Vanessa. – Musisz tylko przez te kilka dni udawać, że mnie po prostu ubóstwiasz! Czy to takie trudne?

– Kiepski ze mnie aktor! – zajęczał Kreol ze smutkiem. – Nie dam rady! Nigdy nie byłem w nikim zakochany, nie wiem nawet, jak to

wygląda…

– Będziesz musiał spróbować – przerwała jego jęki Van. – Wszystko trzeba kiedyś zrobić po raz pierwszy. A teraz szybko goń ich zabawiać.

– Jak?!

– Jak chcesz! A ja w tym czasie zarządzę, żeby przygotowano dla nich Zielony Pokój.

– Dlaczego właśnie ten?

– Bo jest w najdalszym końcu korytarza! Już, ruszaj się i uważaj co mówisz!

– Nie rozumiem, dlaczego nie można im po prostu powiedzieć, kim jestem! – zazgrzytał zębami mag.

– A dlatego, że i tak nie uwierzą! – Postukała się w czoło Vanessa.

– Mogę udowodnić!

– Tylko spróbuj – zawiążę ci język dookoła szyi zamiast szalika! Nawet nie myśl o tym, żeby przy nich czarować, zrozumiałeś?!

– Dobrze, już dobrze… – mamrotał mag, niechętnie odwracając się w stronę drzwi.

– Ej, poczekaj! Sir George cały czas jest w piwnicy?

– Tak, ani razu stamtąd nie wyszedł.

– Mam nadzieję, że nie wyjdzie… Na wszelki wypadek uprzedź go.

Rodzice Van ze szczerym zainteresowaniem oglądali salon. Szczególne wrażenie zrobił na nich płonący kominek – taka egzotyka w zurbanizowanym świecie!

– Taki miły dom oryginalny prawdziwy zabytek! – oznajmiła Agnes, energicznie gestykulując. – Widać że nasz przyszły zięć ma pieniądze jeśli był w stanie kupić takie cudo ale gustu nie ma wcale czy można w naszych czasach mieszkać w takim domu równie dobrze można zamieszkać w zamku Frankensteina nasza dziewczynka nigdy by takiego nie kupiła!

– No, jeśli zamierza ożenić się z naszą Van, to znaczy, że ma dobry gust – uśmiechnął się Mao.

Kreol wszedł, uśmiechnął się tak, jakby przed chwilą zjadł kawałek cytryny i udawał, że bardzo mu smakowała.

– Witaj Larry już się stęskniliśmy nasza dziewczynka opowiedziała o nas prawda ile ma pan lat gdzie pan pracuje czy naprawdę kocha pan naszą dziewczynkę kiedy ślub jak pan sądzi czy mogę przyjść na ślub w ciemnoniebieskiej sukni?

Kreol otworzył usta. Zamknął. Znowu otworzył. Prawie nic nie zrozumiał z tyrady swej pseudoteściowej, ale strasznie bał się żeby czegoś nie chlapnąć. Mag spędził w dwudziestym pierwszym wieku trochę ponad dwa tygodnie i nie zdążył jeszcze w pełni się zaadaptować. Zrozumiał jednak, że magów zostało tak mało, iż

większość ludzi najzwyczajniej w świecie nie wierzy w ich istnienie.

Mao obserwował jego zdumioną minę i uśmiechał się łagodnie. Przyzwyczaił się już do tego, że większość ludzi słabo rozumie wypowiedzi jego żony. Prawdę mówiąc, nikt nie rozumie.

– Witajcie, witajcie! – Do pokoju wpadła Van. – Rozmawiacie sobie? Stęskniliście się za mną?

Rozdział 9

W tym samym czasie Hubaksis zajmował się głównie smętnym wzdychaniem i starał się nie zgubić majaczącej w oddali bladoróżowej plamy. Z każdą chwilą dżinn był coraz bardziej przekonany, że Butt-Krillach po prostu spaceruje – w każdym bądź razie przemieszczał się bez widocznego celu.

Demon przemierzał miasto z szybkością kota napojonego walerianą. Po ścianach wieżowców wspinał się równie zgrabnie jak Spiderman. W skokach Butt-Krillach też mu nie ustępował. I jak do tej pory nie zwrócił na siebie niczyjej uwagi. Oczywiście, oprócz Hubaksisa.

– Nie lubię szpiegować!… – powiedział cicho dżinn sam do siebie. – Nie lubię i nie umiem!

Wydawszy ten krzyk z głębin duszy, Hubaksis zaczął miotać się ze strachu. Obiekt, który przed chwilą siedział na krawędzi dachu, gdzieś zniknął. W tej samej chwili dżinn zrozumiał także, że za nic na świecie nie da rady sam wrócić – nie miał pojęcia, gdzie jest jego nowy dom.

– Pan mnie zabije…! – westchnął Hubaksis, siadając na parapecie.

– Przepiękna noc, nieprawdaż? – za nim rozległ się świszczący szept. – W taką noc spacer po dachach to czysta przyjemność.

Hubaksis odwrócił się gwałtownie. Za jego plecami stał demon, który podkradł się ukradkiem i uśmiechał się, bardzo zadowolony z siebie.

– Przestraszyłeś mnie! – odpowiedział dżinn z widoczną ulgą. – Nigdy więcej nie podchodź do mnie od tyłu!

– Dobrze, nie będę. Szpiegujemy?

– Dawno zauważyłeś? – zawarczał niezadowolony Hubaksis.

– Prawie od razu. Mogę udzielić ci kilku lekcji, całkiem ci to nie wychodzi.

– Sam wiem! – odburknął dżinn. – Pan mi kazał…

– Pan? – chytrze uśmiechnął się Butt-Krillach. – A może jednak pani?

– Co masz na myśli?

– Przecież to jasne! – Klasnął przednimi łapami demon. – Dziś rano panna Lee dowiedziała się, że nocami spaceruję. A teraz odkrywam, że mam ogon. No i?

– Masz rację – przyznał niechętnie Hubaksis.

– Nie uwierzyła, że po prostu chodzę sobie po ulicach? – Demon ze smutkiem pokiwał głową. Co prawda, gdy to mówił, w oczach błysnęły mu chytre iskierki.

– Nie uwierzyła.

– A ty?

– Też nie.

– A pan?

– On akurat uwierzył.

– Jedyny rozsądny człowiek. – Butt-Krillach zademonstrował wszystkie dwieście zębów. – Czyli on uwierzył… Uwierzył, a mimo to posłuchał, gdy panna Lee poprosiła, żeby cię wysłać. To zastanawiające…

– Co masz na myśli? – Dżinn zrobił głupią minę.

– Wszystko trzeba ci podać jak na tacy. Podoba ci się panna Lee?

– I to jak! – Hubaksis oblizał się mimo woli. – Ale to niemożliwe! Pan i kobiety wykluczają się nawzajem!

– Za nic na świecie nie uwierzę, że w starożytności żył jak eunuch. – Butt-Krillach wzruszył przednimi ramionami.

– Nie, oczywiście miał zwykle dwie lub trzy nałożnice w najdalszej komnacie – przyznał Hubaksis. – Ale rzadko do nich zaglądał.

– Rozumiem… Ożenił się ze swoją pracą, tak? Hubaksis zmarszczył czoło, starając się odgrzebać w pamięci nieznane połączenie słów. Chociaż Butt-Krillach nie oczekiwał odpowiedzi.

– Widzisz, mój jednooki przyjacielu… – westchnął. – Czasy się zmieniają, a my zmieniamy się wraz z nimi…

Zamilkł i ze smutkiem popatrzył w górę – na wygwieżdżone niebo. Stąd, z dachu wieżowca, było bardzo dobrze widoczne. Szczególnie dla demona obdarzonego kocim wzrokiem.

– Pięknie, prawda? – westchnął. – Lubię patrzeć w gwiazdy, a ty?

Hubaksis najeżył się. Dżinny są bardziej odporne na różnice temperatur niż ludzie, ale ich żywiołem jest ogień, nic więc dziwnego, że bardziej niż chłodne kalifornijskie noce odpowiadają im piaski Arabii.

– W dzień nie wychodzę z domu – melancholijnie oznajmił Butt-Krillach. – Wasz świat jest za gorący – w dzień bolą mnie oczy i swędzi skóra. Ale niebo macie przepiękne – błękitne… U nas jest szare jak… jak… jak niebo.

– Dlaczego „wasz”? – Hubaksis zerknął w górę. – W moim świecie niebo jest czerwone, jak ludzka krew.

– Ach tak, przecież jesteś dżinnem! – przypomniał sobie demon. – Jaki on jest, ten wasz świat?

– Gorący… – westchnął dżinn z nostalgią. – Mamy trzy słońca, dużo wulkanów, oceany pełne są płynnego ognia… Nie ma wcale lasów, za to całe mnóstwo gór i pustyń.

– Au nas słońce jest tylko jedno i to bardzo blade – podzielił się wspomnieniami demon. – Ale za to mamy aż cztery księżyce, dlatego i w dzień, i w nocy panuje taki sam miły półmrok… Nie ma oceanów, za to są gigantyczne bagna. I pełno lasów, ale rosną w nich głównie

skrzypy i paprocie… Jest chłodno – mniej więcej tak jak teraz. Co prawda, tutaj też nie jest źle… Szczególnie w nocy.

– Tęsknisz za domem? – zapytał dżinn.

– Nie wiem… Minęło dwieście lat – wszyscy już o mnie zapomnieli. A ty?

– Jestem w takiej samej sytuacji… Do tego w domu od razu wykonaliby na mnie wyrok śmierci.

– W takim razie, oczywiście…

Siedzieli dziesięć minut, wpatrując się w gwiazdy. Potem Hubaksis poruszył się i powiedział ze smutkiem:

– A od pana i tak mi się dostanie…

– Dlaczego?

– Nie wykonałem zadania… A tak a propos, odprowadzisz mnie do domu, co? Sam pewnie nie znajdę drogi. Nie martw się, powiem Van, że mówiłeś prawdę.

– A kto ci uwierzy? – Butt-Krillach znowu przyjął swoją zwyczajną, chytrą postawę. – Jeśli wrócimy razem, pomyślą, że się umówiliśmy. Nie ma co do tego wątpliwości. Mam lepszy pomysł.

– Słucham. – Dżinn wykazał niewielkie zainteresowanie.

– Śledź mnie dalej. Do domu wrócimy rano i opowiesz o wszystkim, co widziałeś. I nikomu się nie dostanie!

Hubaksis pomyślał chwilę. W jego maleńkiej główce z trudem mieściły się pojęcia bardziej skomplikowane niż „zjeść”, „pospać”, „mieć stosunek z osobą płci żeńskiej”. Ale w końcu zrozumiał propozycję.

– Niech będzie. – Kiwnął głową. – Biegnij dalej, a ja będę cię śledzić.

Butt-Krillach westchnął ciężko, patrząc na maleńkiego dżinna z niedowierzaniem.

– A po co masz się teraz chować? Chodźmy razem – we dwóch będzie weselej.

– Niech będzie. – Po raz drugi kiwnął głową Hubaksis.

Budka była otwarta przez całą noc. W centrum miasta nawet w nocy znajdzie dość klientów, a wielu z nich ma ochotę się napić. Oczywiście, większość takich klientów przechwytują bary, ale i dla małej budki zostaje więcej niż trzeba.

Sprzedawca ze zdziwieniem przetarł oczy. Był gotów przysiąc, że dopiero co tuż obok stała butelka piwa. Odwrócił się tylko na chwilę – żeby poprawić leżącą krzywo paczkę papierosów. Oczywiście nie widział, jak przez okienko błyskawicznie wsunęła się cienka ręka pokryta skórą w nienaturalnie różowym odcieniu, złapała butelkę i natychmiast cofnęła się z powrotem.

– Poczęstuj się – gościnnie zaproponował Butt-Krillach dżinnowi. – Wiesz, co ostatecznie przekonało mnie do tego wymiaru?

– Co? – zabulgotał z butelki Hubaksis.

– Piwo. Wyobrażasz sobie – przez dwieście lat nawet nie miałem pojęcia, że tutaj jest taki cud! Dwieście lat przetrzymałem na samych pająkach! Widzisz, co tu jest napisane? „A-me-ri-can beer”… Amerykańskie piwo, prawda?

– Chwilunia… – Hubaksis wylazł z butelki. – Dopiero teraz do mnie dotarło… Skąd znasz miejscowy język? Gdzie się nauczyłeś?

– To… standardowa procedura – Butt-Krillach wzruszył ramionami. – Gdy demon zjawia się na wezwanie maga, automatycznie opanowuje język wzywającego. Przynajmniej na czas działania zaklęcia. Jak byśmy się inaczej mogli zrozumieć? A z tobą było inaczej?

– Masz rację… – przypomniał sobie Hubaksis. Od chwili, gdy Kreol wezwał go po raz pierwszy, minął szmat czasu, ale dżinn pamiętał wszystko. Mag oglądał przez magiczne lustro świat dżinnów i odpowiedział na bezgłośne wołanie Hubaksisa, gotowego wtedy zgodzić się na wszystko, byle tylko uniknąć kary śmierci. Szczegóły umowy ustalili później.

Dżinny od niepamiętnych czasów nawiedzały świat ludzi. Nawet teraz odwiedzają go od czasu do czasu, ale w tamtych odległych czasach podróżowały znacznie częściej. Wiele z nich mieszkało tu bardzo długo, a niektóre nawet przeniosły się na stałe. Znana jest, na przykład, historia o dżinnie-cesarzu, który około czterdziestu lat rządził Imperium Chińskim (i wcale nieźle sobie radził).

Obiegowe opinie o dżinnach powstały przede wszystkim w oparciu o tych kilku osobników, którzy pozostawili po sobie ślad w historii Ziemi. Nie trzeba chyba wspominać, że były to, przede wszystkim, silne osobowości – wielcy magowie, cesarze i dowódcy. W rzeczywistości rasa dżinnów nie różni się aż tak bardzo od ludzi. Są wśród nich i dobrzy, i źli, ale najwięcej (tak jak i u nas) przeciętniaków. Oczywiście, dżinny żyją znacznie dłużej niż ludzie. Starzeją się, ale bardzo wolno, więc trzy czy cztery tysiące lat nie robi na nich wrażenia. Do tego magiczne zdolności przeciętnego dżinna są znacznie większe niż człowieka. Nawet taki lichy przedstawiciel tego plemienia jak Hubaksis, mógł pochwalić się paroma magicznymi sztuczkami, a co dopiero mówić o innych… Ale to tylko średnia – Najwyżsi Magowie dżinnów niczym nie przewyższają Najwyższych Magów ludzi. Najdobitniej potwierdza to fakt, że wielu magów dżinnów (i to wcale nie najsłabszych) służyło magom ludziom, a odwrotne sytuacje jakoś się nie zdarzały.

Demon dopił resztkę piwa i z westchnieniem wyrzucił butelkę.

– To poniżające, kraść piwo u ulicznych handlarzy – zauważył. – A dlaczego by nie wejść i nie wypić w normalnych warunkach?

– Byłoby dobrze… Ale jak?

– Widziałem tu niedaleko takie miejsce, coś w stylu karczmy. Wchodzą do niego ludzie i piją różne trunki. Piwo też.

Hubaksis uśmiechnął się krzywo, pokazując, że zrozumiał dowcip.

– Mówię poważnie. – Butt-Krillach nie chciał porzucić pomysłu.

– Aha, oczywiście! – Dżinn mrugnął swym jedynym okiem. – Tak więc my, dżinn i demon z mrocznego świata, tak po prostu wchodzimy do karczmy i każemy sobie nalać piwa? To nie przeszłoby nawet w starożytnym Babilonie… A teraz ludzie zrobili się jacyś nerwowi, tchórzliwi – od razu zaczną uciekać.

– To, oczywiście, prawda. – Butt-Krillach nie miał zamiaru się sprzeczać. – Ale przecież nie wejdziemy tak, po prostu! Zamaskujesz nas!

– Ahaaa… – zaczął domyślać się Hubaksis.

– No właśnie. Ze mnie zrobisz człowieka, a z siebie… no… jakiegoś ptaka. Przedwczoraj widziałem jednego człowieka z zielonym ptakiem na ramieniu – i nikt się nie dziwił. Dasz radę?

– Na krótko… – niechętnie wymamrotał dżinn.

– A dokładniej?

– Na godzinę, nie dłużej… Może plus jakieś pięć minut… Ale pod warunkiem, że nikt nas nie dotknie.

Kreol i Hubaksis bardzo szybko nauczyli się mierzyć czas we współczesny sposób. Inna sprawa, że sposób ten został niemal w całości zapożyczony od starożytnych Sumeryjczyków. To oni właśnie podzielili dobę na dwadzieścia cztery godziny, godzinę na sześćdziesiąt minut, a minutę na sześćdziesiąt sekund. A tak przy okazji, to oni właśnie jako pierwsi wprowadzili pozycyjny system zapisu liczb – z setkami, dziesiątkami i jednostkami. Co prawda, podstawą ich systemu nie była, tak jak u nas dziesiątka, ale „sześćdziesiątka".

– Myślę, że to wystarczy. – Butt-Krillach podjął decyzję po chwili namysłu. – Zaczynaj.

– Tylko będziesz musiał chodzić na tylnych łapach! – złośliwie krzyknął Hubaksis.

Demon uśmiechnął się przez chwilę i stanął na tylnych rękach. Stał na nich niezbyt pewnie, ale mimo wszystko dość stabilnie, upadek mu nie groził. Przynajmniej w najbliższym czasie.

Bar „Złota Ostryga" nie był szczególnie prestiżowym miejscem. Przychodzili tu głównie robotnicy wracający z pracy, bezrobotni, zalewający robaka oraz różne ludzkie śmieci: bezdomni, pijacy, narkomani i przedstawiciele świata przestępczego. Przybytek ten miał jednak bezsprzeczną zaletę, która zwróciła uwagę Butt-Krillacha. Znajdował się najbliżej.

Bar pracował przez całą dobę, ale nawet w dzień bywało w nim niewielu klientów. Teraz w pomieszczeniu było tylko sześć osób –

podejrzanie wyglądająca dziewczyna i takiż mężczyzna siedzieli przy długim stole, a wzdłuż bufetu siedziało sześciu alkonautów o różnej głębokości zanurzenia. Jeden z nich spał z głową wtuloną w pusty talerz.

Tym niemniej, gdy drzwi otwarły się i na progu stanął Butt-Krillach w nowej postaci, wszystkie usta otwarły się ze zdziwienia, a brwi uniosły się. Tylko śpiący nadal spał.

Hubaksis nie był mistrzem iluzji. Nie potrafił zrobić nic wyższego niż dwa metry (a także szerszego ani dłuższego). Nie potrafił stworzyć więcej niż dwie, góra trzy iluzje naraz. Nie mógł też utrzymać ich dłużej niż godzinę. W najlepszym wypadku półtorej godziny. Miał jednak pewną niezaprzeczalną zaletę – był skrajnie precyzyjny. Nawet najbystrzejsze oko nie było w stanie odróżnić jego iluzji od prawdziwego przedmiotu – tak dokładne i wiarygodne były jego twory. To właśnie cenił w nim Kreol – w magicznych pieczęciach bardzo wiele zależało od dokładności.

Pojawia się pytanie – co do tego stopnia zadziwiło tę zbieraninę moczymordów, skoro iluzja była tak dobra? Wygląd. Oczywiście nie twarz – nowa twarz Butt-Krillacha praktycznie nie różniła się niczym od fizjonomii przeciętnego Amerykanina. No, może co najwyżej był nieco bardziej smagły. Ale ubranie…

Hubaksis spędził w XXI wieku niewiele czasu, z czego znaczną część przebywał w zamkniętych pomieszczeniach, nie poznał zbyt wielu osób. Jasne jest więc, że nie miał zbyt bogatej wiedzy na temat współczesnej mody. Dlatego na potrzeby iluzji wykorzystał te przedmioty, które udało mu się zapamiętać. A nie miał zbyt wiele do wspominania.

Butt-Krillach miał na sobie czarny frak, dokładnie taki sam, w jaki musiał wystroić się Kreol na początku nowego życia, pod frakiem widać było śnieżnobiałą koszulę. Niby nic, ale frak kiepsko komponował się z wyblakłymi dżinsami naciągniętymi na nogi Butt-Krillacha. Z obuwiem było jeszcze gorzej – Hubaksis niezbyt często przyglądał się ludzkim butom, a sam nie miał nóg. Jedyne, co był w stanie sobie przypomnieć, to futrzane kapcie w kształcie piesków, do włożenia których Van zmusiła Kreola, żeby nie zadeptał czystej podłogi. Co prawda podłogę wyszorowała nie ona, a magiczny Sługa, ale nie miało to dla niej większego znaczenia. Dzieło wieńczyło nakrycie głowy. Hubaksis z pewnością widział we współczesnym świecie ludzi w kapeluszach, beretach i innych czapkach, ale jakoś nie zapadły mu w pamięć. Z tego powodu na głowie Butt-Krillacha pyszniło się jedno z nakryć głowy, jakie noszono w starożytnym Sumerze – coś w stylu opaski ze zwisającymi z niej wstążkami ozdobionymi miedzianymi wisiorkami. Taki kostium przywodził na myśl tylko jedno słowo – awangarda. Siedząca na ramieniu papuga

idealnie dopełniała całości.

Zresztą usta niezbyt długo pozostały otwarte. Napatrzywszy się przez trzy sekundy do woli na dziwnego przybysza, wszyscy wrócili do swoich spraw. Czyli do picia. Żeby na dłużej zadziwić typowego mieszkańca San Francisco, trzeba czegoś więcej niż młodzieniec w głupim ubraniu.

– Ej, człowieku, dwa piwa! – powiedział Butt-Krillach, zbliżając się do lady. Nie miał pojęcia, co należy mówić w ludzkich przybytkach tego typu, dlatego powtórzył zdanie, które usłyszał wczoraj w tym miejscu. Wtedy demon chował się za oknem – zresztą bardzo brudnym.

Barman, mały, kędzierzawy człowieczek o zadziwiająco nieprzyjemnej twarzy, popatrzył na niego bacznie, zwracając szczególną uwagę na wypchaną kieszeń fraka. Widok tej kieszeni, a zwłaszcza wystający z niej rożek banknotu, uspokoił asekuranta, który w milczeniu napełnił dwa kufle. Między nami mówiąc, nie było tam żadnych pieniędzy, a jedynie iluzja, o którą poprosił zapobiegliwy Butt-Krillach. Niegłupi demon dawno zauważył, że jeśli sprzedawca widzi pieniądze klienta, obsługuje go znacznie chętniej.

Barman, omiótłszy jeszcze raz wzrokiem Butt-Krillacha od stóp do głów, postawił przed nim dwa wysokie kufle ozdobione czapkami pianki. W każdym kuflu było pięćdziesiąt siedem setnych decymetra sześciennego smacznego piwa. Czyli inaczej pinta.

Butt-Krillach podejrzliwie pociągnął nosem. Kufle pachniały piwem, ale podświadomie nie dowierzał człowiekowi, który je nalał. W myślach wzruszył ramionami, zrobił wydech i jednym haustem wypił od razu połowę. Obok pluskał się Hubaksis, który o mało co nie utopił się w swoim kuflu.

Obok Butt-Krillacha siedział najwierniejszy gość „Złotej Ostrygi” – Billy Kid. Nazywano go tak, gdyż miał ponad dwa metry wzrostu – przemówiła tu typowa logika miłośników marnych dowcipów.

– Hy, hy, papuga-pijaczka!

Hubaksis przerwał swoje zajęcie i uważnie popatrzył na tępą twarz Kida, potem oznajmił, że jego rozmówca jest zwykłym kawałkiem psich fekaliów i poradził mu udać się tam, skąd owe fekalia pochodzą. Potem dodał, że odbywał intymne stosunki z matką Kida, a także z nim samym, przy czym w niezwykle oryginalnej pozycji, z wykorzystaniem pewnych narzędzi stolarskich.

Kid wysłuchał tej tyrady i głośno zasapał. Przez piętnaście lat był zawodowym bokserem i to, trzeba przyznać, niezłym. Potem zaczął pić, musiał porzucić sport, ale diabelski charakterek i ciężkie pięści mu zostały. Gdyby słowa te wypowiedział ktokolwiek inny, to ten „ktokolwiek” leżałby już ze złamaną szczęką. Ale bójka z papugą to gruba przesada, nawet dla takiego rozrabiaki jak Billy Kid. Powoli

rozejrzał się po barze. Nikt się z niego nie śmiał – większość bywalców aż za dobrze wiedziała, że śmiać się z Kida może tylko samobójca, ale nikomu nie udało się powstrzymać zduszonego chichotu. Oczy byłego boksera powoli nabiegały krwią. Złość musiała się uzewnętrznić.

Pomyślawszy chwilę, Kid doszedł do prostego wniosku – za zwierzęta domowe odpowiada właściciel, czyli ten typ w czapce klauna. Czyli trzeba mu przyłożyć. Tak zrobił.

Gdyby Butt-Krillach był trzeźwy, bez trudu uchyliłby się przed takim dość niezgrabnym ciosem. Niestety, dzisiaj zdążył wypić prawie litr, skądinąd wyśmienitego pod każdym względem, piwa. Dla człowieka nie jest to zbyt dużo, ale jak wiadomo, to, co dla jednego jest lekarstwem, dla innego może okazać się śmiertelną trucizną. Na elweny – rasę demonów, do której należał Butt-Krillach, alkohol działał znacznie silniej niż na ludzi, dlatego Butt-Krillach był już praktycznie zalany w trupa. Za to Hubaksis czuł się wyśmienicie – na dżinny, przeciwnie, alkohol działa słabiej niż na ludzi. Niewiele, ale jednak.

W efekcie pięść Kida trafiła prosto w twarz mrugającego wolno Butt-Krillacha. Demon zwalił się pod stół, rozpłaszczył na podłodze i w barze natychmiast rozległo się kilka wystraszonych głosów. Krzyczano, oczywiście, nie dlatego, że ktoś kogoś uderzył – nie było w tym nic nadzwyczajnego, ale dlatego, że Hubaksis nie na darmo ostrzegał, że iluzja zniknie, jeśli ktoś dotknie demona. Rozpłynęła się jak obłoczek dymu i oto oczom wszystkich ukazał się Butt-Krillach w swej prawdziwej postaci – różowy, czteroręki demon z okropną paszczą. Co prawda w danej chwili wyglądał dość żałośnie.

Pijany, a do tego częściowo ogłuszony demon z trudem uniósł się na jednej ręce i cicho zasyczał. Krzyki przerażenia nasiliły się. Barman już dawno schował się pod ladą i teraz jak oszalały walczył z tarczą telefonu zainstalowanego tam jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych. Co prawda w żaden sposób nie mógł się zdecydować, gdzie zadzwonić – na policję, do służb ratowniczych czy do dziennikarzy? Najchętniej wezwałby łowców duchów, ale miał poważne wątpliwości, czy taki numer jest w książce telefonicznej.

Hubaksis starał się ocenić sytuację. Butt-Krillach niemrawo tarzał się po podłodze, ludzie cały czas krzyczeli, ale wrzaski stopniowo milkły – strach mijał. Niebawem do obecnych bez wątpienia dotrze, że w obecnym stanie potwór jest absolutnie bezradny – Hubaksis wolał nawet nie myśleć, co wtedy będzie.

Wyleciał z kufla, strząsnął z siebie iluzję, co zresztą przeszło niezauważone w ogólnym rozgardiaszu i z wielkim wysiłkiem przewrócił kufel, w którym zostało jeszcze pół pinty przepysznego pszenicznego napoju.

Piwny prysznic nieco otrzeźwił Butt-Krillacha. Podniósł się z

trudem i w dwóch susach wyskoczył z baru. Nie mógł znaleźć drzwi, skorzystał więc z okna – jedynego w tym przybytku, ale za to dużego. Odłamki rozsypały się na wszystkie strony. W ślad za nim wyfrunął Hubaksis, który i tym razem pozostał niezauważony.

Wszystkie opisane powyżej wydarzenia trwały nie dłużej niż pół minuty – nikt nie zdążył nawet zorientować się, co tak naprawdę widział. Nikt, oprócz barmana – ten zdążył zadzwonić do dziennikarzy, postanowiwszy zarobić nieco na sensacji, a teraz pstrykał aparatem fotograficznym w ślad za uciekającym demonem, wierząc święcie, że uda mu się coś uchwycić.

Rozdział 10

Jak mam to rozumieć?! – krzyknęła Vanessa, wtykając Butt-Krillachowi w pysk zmiętą gazetę. Demon tylko tępo milczał.

Artykuł, który tak wzburzył dziewczynę, nosił tytuł „Przybysze z kosmosu też lubią piwo". Prasa bulwarowa jak zwykle działała najbardziej operatywnie. W gazecie zamieszczono wywiad z właścicielem „Złotej Ostrygi" i dość nieostrą fotografię, na której jednak, przy odrobinie dobrej woli, można było rozpoznać Butt-Krillacha – od tyłu. Hubaksis nie zmieścił się w kadrze.

Kreol również był świadkiem tej sceny, ale nie zamierzał się denerwować. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego Van tak histerycznie reaguje na to, że służący zaszli do jakiejś karczmy napić się piwa. On sam, gdy był magiem imperatora, od czasu do czasu przebierał się za ubogiego włóczęgę i włóczył się po Babilonie, zachodząc do najgorszych knajp. Nie zawracał siebie przy tym głowy ostrożnością, zaczepiając wszystkich jak popadło. Szczerze bawił go wyraz twarzy ludzi, którzy nieoczekiwanie orientowali się, że stoi przed nimi sam Kreol, już wtedy cieszący się sławą miłośnika pojedynków. Na koniec jego gębę pamiętali już wszyscy, starzy i młodzi, a spacery straciły cały urok, ale wtedy Kreol był już za stary na takie zabawy. A teraz w żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego w ogóle trzeba cokolwiek ukrywać przed ludźmi – mag nigdy w życiu nie robił tajemnicy ze swojego zawodu.

– Dostaliście się do prasy, nieroby?! – zaryczała Vanessa. – Cieszcie się, że żaden poważny człowiek nie przejmuje się tą makulaturą! Uważajcie, w końcu złapią was, wsadzą do klatki i będą przeprowadzać na was doświadczenia!

– Kto? – zainteresował się Kreol. Jemu samemu zdarzało się robić takie rzeczy z różnymi dziwnymi stworzeniami. – Magowie?

– Nie, nie magowie! – przedrzeźniała go Vanessa. – CIA! FBI! W ogóle różne tajne służby i inni faceci w czerni! Dobrze, że to są poważni ludzie i nie czytają brukowców. Chociaż o tym już mówiłam…

– Córeczko, wszystko w porządku? – nieoczekiwanie rozległ się okrzyk ojca, a w następnej sekundzie zaczęły się otwierać drzwi.

– Tata! – wyszeptała Vanessa. – Chowajcie się! Hubaksis z szybkością błyskawicy zanurkował za obraz, Butt-Krillach skrył się za kanapą. Kreol też miotał się przez chwilę, chcąc się gdzieś ukryć, ale szybko zorientował się, że jego alarm nie dotyczy.

Mao, gdy tylko zobaczył uśmiech Vanessy, natychmiast podejrzliwie zmarszczył brwi. Córka uśmiechała się tak szeroko i przyjaźnie, że od razu było widać – coś ukrywa. Kreol nie

zakwalifikowałby się nawet do scen grupowych w teatrze amatorskim – tak fałszywy był jego wyraz twarzy.

– Coś się stało? – zapytał z wahaniem. – Słyszałem jakieś krzyki…

– Nie, tatusiu, coś ty! – zaprzeczyła Van natychmiast, panicznie kombinując, co by tu zełgać. – Wszystko w porządku!

– Dobrze, jak chcesz… – Ugodowo nastawiony ojciec postanowił nie podejmować dyskusji. – Ach tak, mama prosiła, żeby zapytać, czy już doczytałaś jej gazetę?

– Oczywiście, bierz!

Mao podniósł gazetę, cały czas otwartą na tym samym, nieszczęsnym artykule.

– Kto czyta takie głupoty?… – Z naganą pokiwał głową, przeczytawszy tytuł. – Co najwyżej twoja matka… Kosmici!… Kogo chcą oszukać?

Van bez przekonania wzruszyła ramionami. Kreol cały czas stał w kącie jak posąg, pamiętając dobrze nakaz Vanessy – z jej rodzicami rozmawiać tylko wtedy, gdy to oni o coś zapytają. Z matką można było jeszcze zaryzykować, ale ojciec był niegłupim człowiekiem i bez trudu mógł rozgryźć Kreola. A przynajmniej zacząć podejrzewać, że coś jest nie tak. Vanessa miała wielką ochotę dopuścić go do tajemnicy, ale obawiała się, że Mao opowie o wszystkim małżonce. Natomiast Agnes Lee od dawna była znana z tego, że na pytanie: „Co słychać?" zaczynała długo i szczegółowo opowiadać o wszystkich słuchach i plotkach. Jeśli o Kreolu dowiedziałaby się kochana mamusia Vanessy, tajemnica na pewno przestałaby być tajemnicą.

– Kosmici! – ciągle jeszcze bulwersował się Mao. – Każdy głupi wie, że na fotografii widać tylko ogoloną małpę! Właśnie tak fabrykują sensacje!

Zza obrazu dobiegł przygłuszony chichot Hubaksisa.

– Właśnie ktoś wszedł do domu. – Kreol wygłosił tę głęboką myśl, wyraźnie czemuś się przysłuchując.

– Nie słyszałem dzwonka. – Mao uniósł brew.

– To kobieta… dwie, nie… trzy kobiety… – oznajmił Kreol.

– To na pewno nowe przyjaciółki Agnes – domyślił się Mao. – Ale… skąd wiesz?

– Nowe przyjaciółki? – Van nie pozwoliła ojcu wejść na śliski temat. – Co za nowe przyjaciółki?

– Poznała się z nimi, gdy wypakowywaliśmy zakupy – powiedział ojciec. – Zdaje się, że mieszkają tutaj, w pobliżu. Agnes natychmiast zaprosiła je na filiżankę kawy, a przy okazji pokaże im dom… znasz przecież mamę. A propos, wasz dom jest dobrze znany w okolicy…

– Chwileczkę – przerwała Vanessa. – Tato, one chcą oglądać dom. **Cały** dom?

– A dlaczego by nie? – Wzruszył ramionami Mao. – Nie wiem

dlaczego, ale szczególnie zainteresował je strych, chociaż oczywiście mogę się mylić… Przecież nie chowacie tam trupów? – mrugnął filuternie.

– Gdzie nie można ich wpuścić? – Van nie słuchała już ojca, tylko zdecydowanie odwróciła się w stronę maga.

– Do piwnicy – tam jest duch, na strych – tam jest pentagram, do gabinetu, bo tam jest moja księga, do laboratorium, tam są ingrediencje do wywarów i eliksirów. Do ogrodu nie, tam coś posadziłem… Nigdzie nie można!

– Niech to diabli! – zgrzytnęła zębami Van. – Co robić… co robić…

– Córuchno… – Ojciec starał się ostrożnie zwrócić na siebie uwagę. – Coś jest z tobą nie tak? Larry, o czym mówicie?

Vanessa popatrzyła na niego oczami osaczonej łani. Po burzliwych, ale niezbyt owocnych przemyśleniach postanowiła wtajemniczyć ojca we wszystko i modlić się do nieprzeliczonych bogów Kreola, żeby podszedł do tego jak należy.

– Tato – powiedziała z trudem – obiecaj, że nie powtórzysz mamie, dobrze?

– Oczywiście, moja droga, oczywiście – wymamrotał Mao, nic nie rozumiejąc. – Macie jakieś kłopoty…?

– I to jakie… Obiecaj, że nigdy, nikomu o tym nie powiesz – zdecydowanie domagała się Vanessa. – Nawet mamie!

– Nawet mamie? No… dobrze, jak chcesz…

– Dobrze… chodzi o to, że… – wykrztusiła Vanessa. – Kreol jest czarnoksiężnikiem.

– Magiem! – natychmiast warknął Kreol, zmęczony już ciągłym poprawianiem.

– Tak, tak, magiem. Co o tym sądzisz, tato? Mao przez kilka sekund mrugał, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Nie mógł zrozumieć, dlaczego córka tak pilnie ukrywała coś, co w jego mniemaniu było drobiazgiem.

– Według mnie to niezły zawód… – zaczął ostrożnie. – Wiele osób chce trafić do show-biznesu, a czarodzieje nieźle zarabiają… Na przykład taki Copperfield…

– Zaczekaj! – przerwała mu z rozdrażnieniem Vanessa, widząc, że ojciec źle ją zrozumiał. – Nie mam na myśli magika, tylko maga! Rozumiesz?!

– Nie bardzo – przyznał się ojciec też już nieco zdenerwowany. – Może wyjaśnisz dokładniej?

– Urodził się w starożytnym Babilonie, pięć tysięcy lat temu – wytrajkotała Vanessa, nie pozwalając ojcu dojść do słowa. – Potem umarł, pochowali go, ale w naszych czasach znowu ożył razem ze swoim dżinnem! Znalazłam go i zostałam… no, kimś w stylu

partnera… nie wiem, jak to wyjaśnić… No, pomagam mu. Oczywiście, nie jest żadnym moim narzeczonym, a ja nie jestem narzeczoną, nie jesteśmy zaręczeni, oszukałam was. Przepraszam.

– To wszystko? – spokojnie powiedział Mao.

– Tak. I co ty na to?

– Tylko się nie denerwuj – powiedział rzeczowo. – Znam bardzo dobrego psychoterapeutę, doprowadzi cię do porządku.

– Tato! – wrzasnęła Vanessa.

– Twoja córka mówi prawdę – wtrącił się Kreol. – Nie rozumiem, dlaczego w waszych czasach ludzie tak uparcie nie wierzą w najprostsze rzeczy!

– Nie wierzysz mi? – Van zażądała odpowiedzi.

– Wybacz mi… – Mao ze skruchą rozłożył ręce.

– Wiem, że to wydaje się nieprawdopodobne, ale… Słuchaj, Kreolu, przypomnij mi, dlaczego od razu ci uwierzyłam?

– Bo przedstawiłem przekonywające dowody! – fuknął mag.

– Właśnie. Udowodnij, że jesteś magiem!

– Larry, chce pan powiedzieć, że to prawda? – Mao westchnął ze smutkiem, rozumiejąc, że sprawy wyglądają znacznie gorzej, niż myślał.

– Nie jestem byle jakim fakirem. – Kreol z pogardą odrzucił propozycję Vanessy. – Nie mam w zwyczaju udowadniać swoich kwalifikacji!

– A co z przedstawieniem, które zorganizowałeś dla imperatora, panie? – Zza obrazu dobiegi głos Hubaksisa, który nie mógł już dłużej wytrzymać. – Pamiętasz, jak chciałeś go przekonać, żeby mianował cię nadwornym magiem?

– Kto to powiedział? – Mao rozejrzał się. Vanessa podbiegła do obrazu i wyciągnęła zza niego Hubaksisa. Ściskając w garści malutkiego dżinna, podsunęła go ojcu pod nos.

– Patrz! – wrzasnęła. – To jest Hubaksis, ten dżinn, o którym mówiłam! To cię przekonało?

– Van, nie ściskaj mnie tak mocno! – pisnął na wpół uduszony dżinn. – Ja też cię kocham, ale przesadzasz!

Mao zamrugał. Maleńki jednooki diablik ze skrzydełkami i rogiem na czole nie chciał zniknąć.

– Dżinn? – powiedział nieśmiało. – A dlaczego taki mały?

Potem sam przed sobą musiał się przyznać, że nie była to najmądrzejsza odpowiedź w jego życiu, ale nic lepszego nie przyszło mu wtedy do głowy.

– A to nasz domowy demon! – krzyknęła Vanessa, wyciągając Butt-Krillacha za skórę spod kanapy. Dawno już przestała się go bać. – Ciągle zapominam, jak się nazywa… I co, przekonałam cię?!

– Dzień dobry, panie Lee – przywitał się uprzejmie Butt-Krillach.

Ojciec Vanessy uważnie popatrzył na wiszącego mu przed twarzą Hubaksisa. Potem przeniósł wzrok na okropnego stwora, przypominającego połączenie bulteriera, makaka i kosmity. Stwór uśmiechał się przyjaźnie, prezentując około dwustu ostrych kłów. Vanessa okropnie się bała, że ojciec zacznie krzyczeć albo zrobi coś nieprzewidywalnego, ale on tylko stał i patrzył.

Przez całe życie Mao był niezwykle trzeźwo myślącym człowiekiem. Nie wierzył w UFO, w yeti ani w duchy. Nigdy nie czytał brukowców i nie lubił fantastyki. Ale właśnie ze względu na trzeźwość myślenia nie wątpił w to, co widział na własne oczy. A teraz widział dwa stworzenia niepodobne do niczego, co widywał do tej pory. Dlatego uwierzył Vanessie.

– Wydaje mi się, że gdzieś już widziałem to stworzenie… – wymamrotał w zamyśleniu, patrząc na Butt-Krillacha. Pomyślał jeszcze przez chwilę, a potem powiedział zdecydowanym głosem:

– A więc tak, córeczko! Biegnij do mamy i nie puszczaj jej… no, tam gdzie mówiliście. A ja tymczasem porozmawiam z tym młodym człowiekiem.

– On nie jest…

– Tak, już zrozumiałem, że nie jest żadnym twoim narzeczonym – przerwał jej ojciec.

– Nie to! Chodzi mi o to, że on wcale nie jest młody. Jest starszy od ciebie, tato!

– Jak to? – zdziwił się Mao. – Dobrze, sami dojdziemy co i jak. No już, biegnij szybko.

– Co mam jej powiedzieć? – Vanessa odwróciła się już w drzwiach.

– Coś wymyślisz. Nieźle ci to wychodzi.

Van pomknęła po schodach, przeklinając w duchu samą siebie. Zupełnie nie miała ochoty zostawiać ojca sam na sam z Kreolem – zdążyła się już przekonać, że sumeryjski mag za grosz nie potrafi kłamać. Do tego poważnie obawiała się, że po rozmowie ojciec zażąda, aby natychmiast opuściła ten dom. A wcale tego nie chciała. Zdążyła już przyzwyczaić się do wstrętnego, a jednocześnie na swój sposób sympatycznego Hubaksisa, do pełnego pychy burczenia Huberta, do naiwnie chytrego Butt-Krillacha. A na samą myśl o tym, że mogłaby już nigdy więcej nie zobaczyć szarych oczu Kreola miała ochotę wyć ze smutku. Chociaż do tego ostatniego nie chciała przyznać się nawet przed sobą.

Agnes Lee wraz z trzema innymi kobietami siedziała w salonie przy dużym stole, popijając kawę. Vanessa rozpoznała jedną – była to Margaret, żona jąkającego się mężczyzny, który opowiedział jej legendę o nawiedzonym strychu. Spotkanie z nią nie wróżyło niczego dobrego. Druga paniusia przypominała poduszkę – była niska i gruba,

z tłustą, dobroduszną twarzą. Trzecia wydała się Vanessie głupawa – patrzyła nieobecnym wzrokiem i co chwila wzdychała.

– Witaj dziecino poznaj panią Foresmith panią Anderson i pannę Wilson to nasze sąsiadki zaprosiłam je na zwiedzanie waszego ślicznego domu opowiedziały mi taką historię o nim czy wiedziałaś jakie plotki krążą o waszym strychu?

– Strychu? – Van udała zdziwienie. – A co z nim jest nie tak?

– Czyżby pani nie słyszała jakie krążą pogłoski? – odezwała się ta podobna do poduszki. – O potworze na strychu?

– Mój mąż opowiadał o tym, czyżby pani zapomniała? – Margaret badawczo wpatrywała się w Van.

– Ach, ta głupia historia! – zaśmiała się Vanessa nieszczerze. – Bzdura! Wyważyliśmy drzwi od razu pierwszego dnia – nie było tam nic, oprócz sterty starych ubrań!

– Zupełnie nic? – „Poduszeczka" była wyraźnie zawiedziona. – Dobrze się rozejrzeliście?

– Mogłybyśmy popatrzeć? – domagała się Margaret.

– Lepiej nie – szybko odpowiedziała Vanessa. – Widzicie panie, tam… tam są bardzo kiepskie podłogi. Wystarczy jeden nieostrożny krok, żeby się zapaść. I w ogóle na razie lepiej nie chodzić, gdzie nie potrzeba – nie sprawdziliśmy jeszcze wszystkiego.

– Szkoda… – Margaret zacisnęła wargi.

– Czy słyszeliście państwo jakieś dźwięki? – Tłuścioszka nie chciała się poddać. – Jęki, chichotanie…?

– Córeczko nic nam nie mówiłaś w tym domu rzeczywiście słychać różne dźwięki nic nie słyszeliśmy – wmieszała się do rozmowy matka Van.

– Żadnych dźwięków – ucięła Vanessa. – Nic. Żadnych duchów, żadnych potworów, wszystko w jak najlepszym porządku.

– Tak myślałam. – Margaret pokiwała głową z zadowoleniem. – Zobaczymy, co powie Cyryl, gdy mu powiem…

– Aaaaach! – odezwał się trzeci gość po raz pierwszy. – Aaaaaach! Mylicie się! Duchy istnieją! Są wśród nas! Ten dom jest pełen gości z innego świata, trzeba tylko umieć patrzeć!

– Panna Wilson jest medium – wyjaśniła szeptem tłuściutka dama. – Widzi duchy, możecie to sobie wyobrazić?

Vanessa mogła. Jeszcze jak mogła. Do pełni szczęścia brakowało jej jeszcze tylko szalonej paniusi, widzącej duchy!

– Widzicie?! Widzicie go?! – nieoczekiwanie krzyknęła paniusia. – Jeden z nich jest tuż obok nas!

– O Boże! – pisnęła przestraszona grubaska.

– Ma'am, może ona mnie widzi? – rozległ się szept w uchu Vanessy. Niewidoczny urisk cały czas stał obok niej, czekając, jako dobrze wyszkolony sługa, na dalsze polecenia.

– Panno Wilson… – zaczęła ostrożnie Vanessa. – A ten duch… jak wygląda?

– Co za bzdury! – fuknęła Margaret.

– Aaaaach! – oburzyło się medium. – Nie! On stoi tuż koło ciebie, Edno!

Grubaska zapiszczała, starając się odsunąć krzesło. Siedziała naprzeciwko Van, a Hubert bez wątpienia stał koło Vanessy, więc dziewczyna odetchnęła z ulgą. Bez względu na to, co widziała panna Wilson, był to ktoś inny.

– To mężczyzna… – wyjęczało medium, przymknąwszy oczy do połowy. – Ma dwadzieścia pięć lat, jest średniego wzrostu, przystojny szatyn… Ma takie smutne oczy… Czegoś od nas chce! Stara się porozmawiać z nami, ale nikt go nie słyszy!

– To na pewno nie ja – wyszeptał Hubert stanowczo. – Nie przypomina też sir George'a, chociaż jego i tak tu nie ma. Ma'am, nie wydaje się pani, że ta kobieta ma halucynacje?

Vanessa w milczeniu skinęła głową.

– Mary, może zorganizujemy seans spirytystyczny? – zaproponowała Edna z nadzieją. – Oj, będzie tak ciekawie!

– Całkowicie się zgadzam to powinno być bardzo pouczające nie masz nic przeciwko córeczko?

Vanessa zamyśliła się. Była już niemalże pewna, że Mary Wilson nie jest żadnym medium, pozostało jednak trochę wątpliwości. W tej właśnie chwili do pokoju weszli Kreol i jej ojciec. Mao nie miał na nosie okularów i wprost promieniował szczęściem.

– Witam wszystkich! – zagrzmiał.

– Witaj Mao poznaj naszych gości a gdzie są twoje okulary czyżby się potłukły trzeba znaleźć zapasowe!

– Nie, nie – zaprzeczył wesoło. – Wyobraź sobie, że więcej ich nie potrzebuję! W końcu zacząłem normalnie widzieć! Miałem bardzo ciekawą rozmowę z **narzeczonym –** Mao specjalnie podkreślił to słowo – naszej drogiej Van, i doszedłem do wniosku, że nie mogliśmy sobie wymarzyć lepszego zięcia! Taki mądry, młody człowiek, taki wykształcony, taki wspaniały zawód! Jak to mówią, błogosławię was, moje dzieci!

Van gwałtownie odwróciła się w stronę stojącego obok zakłopotanego Kreola i wyszeptała mu do ucha:

– A ty co, poprawiłeś mu wzrok?

– No, tak – wyszeptał w odpowiedzi mag. – Proste zaklęcie, nic skomplikowanego…

Teraz Vanessa rozumiała, dlaczego ojciec był taki szczęśliwy. Przez całe życie nienawidził tych głupich okularów, które musiał taszczyć na nosie, bo nie mógł używać szkieł kontaktowych – bez przerwy łzawiły mu od nich podrażnione oczy. Wypróbował dziesiątki

metod leczenia wzroku, godzinami siedział w okularach „Laser Vision", dopóki nie zakazano ich sprzedaży jako jawnego oszustwa, zdecydował się nawet na operację korekcyjną laserem, ale w ostatniej chwili przeczytał w gazecie o tym, jak pewien staruszek oślepł po takiej operacji, i rozmyślił się. Oczywiście, Kreol zaskarbił sobie jego wdzięczność aż do śmierci. Vanessa niechętnie przyznała, że mag okazał się mądrzejszy od niej, skoro wymyślił taki prosty i elegancki sposób zaskarbienia sobie sympatii przyszłego teścia… Stop! Vanessa zasępiła się. To, jak ojciec wymówił słowo „narzeczony" wcale się jej nie spodobało.

– Naprawdę wyleczyłeś mu wzrok? – upewniła się, wciąż jeszcze nie wierząc. – Przecież nosił okulary minus dziewięć!

– Minus dziewięć? – zmarszczył się Kreol. – A co to znowu znaczy? Nawymyślają różnych głupot…

W tym czasie panna Wilson dopiła kawę i bardzo uważnie przyglądała się fusom na dnie filiżanki. Pozostałe panie, w tym także matka Vanessy, wpatrywały się w filiżankę z nie mniejszą uwagą, jakby miały nadzieję coś tam wypatrzyć.

– Aaaach! – krzyknęło medium. – Wstrząsające! Jaki ciekawy los oczekuje pana, Larry!

Kreol, który z trudem skojarzył, że Larry to on, uniósł się ze swego krzesła i także zajrzał do filiżanki. Oczywiście, nie zobaczył tam nic oprócz fusów kawowych.

– Nic nie widzę – burknął, patrząc podejrzliwie na niespodziewaną konkurentkę.

– Oczywiście, że nic pan nie widzi, mój drogi, oczywiście! – zaśmiała się panna Wilson. – Do tego aby **widzieć** (słowo „widzieć" wymówiła z naciskiem) potrzebny jest Inny Wzrok (te słowa też podkreśliła)! Proszę powiedzieć, pod jakim znakiem zodiaku pan się urodził?

– Jakim znowu znakiem? – zasępił się Kreol. – O co ci chodzi, kobieto?

Agnes Lee i Margaret Foresmith jednocześnie skrzywiły się, słysząc takie grubiaństwo. Maniery zmartwychwstałego maga nadal pozostawiały wiele do życzenia. Edna Anderson nadal siedziała nieporuszona, z otwartymi ustami chłonąc mądrości tej zwariowanej baby.

– Astrologicznym, głuptasie! – zaśmiało się medium. – Zresztą nie, lepiej sama zgadnę. Koziorożec, nieprawdaż? A może Strzelec? Nie, nie, nie! Pan jest Lwem? Oczywiście, urodził się pan pod znakiem Lwa!

– Astrologia?! – fuknął Kreol. – Bzdury! Gwiazdy to płonące kule unoszące się w nieskończonej przestrzeni, wiedziano o tym już w starożytnym Prakwanteszu. Przynajmniej magowie wiedzieli – dodał

na wszelki wypadek. – Na ich podstawie nie da się przepowiedzieć losu człowieka, a kto twierdzi inaczej, jest oszustem albo ignorantem!

– Nie może pan wypowiadać się o czymś, na czym się pan nie zna! – obrażona panna Wilson wyprostowała się jak świeca. – Astrologia to najważniejsza z nauk, niech się pan nie waży…

Kreol pochylił się ku przodowi, zmrużył oczy i bacznie wpatrywał się w twarz kobiety.

– Nie ma w tobie ani krztyny magii, kobieto! – warknął oburzony, gdy tylko zakończył oględziny. – Jesteś oszustką albo wariatką, i masz szczęście, jeśli prawdą jest to drugie, bo zaraz…

Vanessa i ojciec popatrzyli na siebie nawzajem, jednocześnie schwycili Kreola pod pachy i pociągnęli do wyjścia. Van zdążyła jeszcze pospiesznie przeprosić zszokowane damy, tłumacząc, że Kreol wypił nieco za dużo. Nie miała pojęcia, co go tak rozzłościło, ale nie chciała, by zamienił nieszczęsną pańcię w żywą pochodnię. A najwyraźniej lubił to robić!

– Astrologia! – kontynuował wzburzony Kreol, nie zwracając uwagi na to, że gdzieś go ciągną. – Przyszłość! Wróżbici! Za moich czasów topiło się takich w wielkim Eufracie!

– I co… oj…! co go naszło? – dziwiła się na głos Vanessa. Pisnęła z bólu – Kreol, który z każdą chwilą coraz bardziej przypominał pijanego, nadepnął jej na nogę.

– Sądzę, że to duma zawodowa – powiedział nieporuszony ojciec. – To przykre, gdy zarzucają ci, że nie znasz się na swojej robocie. A podwójnie przykro, jeśli zarzuty są niezasłużone. Potrójnie – jeśli stawia je ktoś, kto sam na tym się nie zna.

– To akurat rozumiem, ale żeby aż tak… Co mu się stało?! – Vanessa potrząsnęła Kreolem, który już nie szedł, a zwisał, podtrzymywany przez nią i jej ojca. Wydawał przy tym dziwne dźwięki, przypominające mieszaninę chrapania i bulgotania.

– Nie wiem, co się dzieje… – zachmurzył się Mao. – Gdzie macie apteczkę?

– Po co nam apteczka! – zgrzytnęła zębami Van. – Mamy przecież tego… ludowego uzdrowiciela, a żeby go…

– Szewc bez butów chodzi… W takim razie połóżmy go gdzieś, bo zdaje mi się, że już całkiem z nim kiepsko.

Kreol oddychał ciężko i charczał. Oczy wyszły mu na wierzch, nabiegły krwią, żyły na twarzy i rękach zgrubiały i pociemniały.

– Niewolniku!… – wychrypiał. – Gdzie jesteś, niewolniku?

– Hubaksis! – wrzasnęła Vanessa, gdy zorientowała się, kogo woła Kreol. – Gdzie jesteś, krasnoludku?!

Dżinn jak na zamówienie, wyskoczył prosto ze ściany. W pierwszej chwili na jego twarzy malowała się zwykła beztroska oraz niezadowolenie – no co, czego znowu ode mnie chcecie, wiecznie

jestem wam do czegoś potrzebny… Jednak potem, gdy zobaczył Kreola, beztroska w mgnieniu oka zmieniła się w przerażenie.

– Panie?! – krzyknął, podlatując bliżej. – Panie, co z tobą?! Co mam zrobić?! Tylko nie umieraj, panie, proszę, nie umieraj! – darł się na całe gardło. – Co zrobię bez ciebie?

– Milcz, niewolniku! – ledwie dosłyszalnie wyszeptał mag, wypluwając zaraz za słowami potoki wymiocin.

– Co z tobą, panie?!

– Czczcz… arna żółcianka! – wyrzucił w końcu Kreol. – Idź… idź…

– Dokąd mam iść, panie?!

– Idiota! – powiedział resztkami sił mag, zanim ostatecznie stracił przytomność.

– Oj, nie, tylko nie to! – przeraził się Hubaksis. – Tylko nie czarna żółcianka!

Rozdział 11

Co znowu za czarna żółcianka? – naciskała na Hubaksisa Vanessa, podczas gdy jej ojciec badał puls na wpół martwego Kreola. Trzeba przyznać, że mag wyglądał bardzo źle – mniej więcej tak, jak po wyjściu z trumny.

– Choroba… – Załamał ręce dżinn. – Bardzo niebezpieczna choroba, bardzo niebezpieczna… Pan już kiedyś na to chorował, więc zapomnieliśmy o niej. A powinniśmy wziąć pod uwagę, że po powtórnych narodzinach pojawi się znowu! Wybacz mi, panie, wybacz!

– Szczegóły! – wysyczała Vanessa. – Co to za choroba? Jak się ją leczy?

– Niebezpieczna! – wyszczerzył się Hubaksis makabrycznie. – Przechodzi się ją tylko raz w życiu, ale niewyleczona na czas jest śmiertelna. Człowiek najpierw żółknie, potem czernieje, a potem umiera. Nie znasz tak powszechnej choroby?

– Nigdy o niej nie słyszałam. – Van machnęła ręką. – U nas nikt na to nie choruje.

– Macie szczęście… – Dżinn pokiwał z zazdrością głową. – Kiedyś wielu ludzi na nią chorowało… Pan ją leczył, przychodziło do niego dużo chorych…

– Mówisz, że już na to chorował?

– No, tak. – Z powagą pokiwał głową dżinn. – Ona, to znaczy choroba, może długo siedzieć w człowieku, zupełnie niezauważalnie – nie widać, że jest chory. A potem wystarczy mocno się zdenerwować, żółć podchodzi do serca, no i… Zazwyczaj tak bywa. Specjalnie na taką okazję pan zawsze miał pod ręką eliksir, gdyby nagle sam…

– I gdzie on jest?! – Vanessa solidnie potrząsnęła maleńkim dżinnem. – Gdzie ten wasz przeklęty eliksir?!

– Nie wzięliśmy go ze sobą! – wrzasnął Hubaksis. – I więcej nie robiliśmy! Po co, jeśli pan już chorował?! Kto mógł wiedzieć, że tak będzie…? No i całkiem zapomnieliśmy, to było tak dawno… U nas wtedy też epidemia się skończyła, przestali chorować… Jak tylko wytępili kłosów… chociaż to nieważne.

– Co robić? – zapytała Van z wymuszonym spokojem.

– Tylko bez paniki! – Mao wstał z kanapy i podszedł do Vanessy i Hubaksisa. – Jeśli lekarstwo przygotowano raz, to można przygotować i po raz drugi. Najważniejsze – znaleźć recepturę.

– Właśnie! – Oczy Vanessy zabłysły. – To niemożliwe, żeby w tej jego głupiej książce nie było receptury!

– W jakiej znowu książce? – nie zrozumiał ojciec.

– No tej magicznej, którą Kreol pisał przez dwa tygodnie… Potem

ci opowiem. Hubi, jest tam receptura, czy nie ma?

– Powinna być… – odpowiedział Hubaksis po namyśle. – Trzeba poszukać.

– Mnie interesuje, ile mamy czasu – rzekł Mao. – Wygląda bardzo źle…

– Pan jeszcze nie zaczął żółknąć? – Hubaksis przeleciał przez jego głowę. – Jeszcze nie… Myślę, że trzy, cztery godziny…

– Ile?! – zdenerwowała się Vanessa. – Czemu milczałeś, ośle, chodźmy szybko przejrzeć książkę. Ej, Hubert, jesteś tutaj?

– Tak, ma'am – z namaszczeniem odpowiedział skrzat, wychodząc prosto z powietrza.

– A to kto znowu? – Zmrużył oczy Mao, którego nic już nie dziwiło.

– Nasz domowy skrzat, Hubert.

– Bardzo się cieszę z naszego spotkania, sir. – Ukłonił się urisk. – W czym mogę pomóc?

– Tato, Hubercie, weźcie chorego i zanieście go do gabinetu. Niech będzie pod ręką.

– Ja też pomogę – zamruczał Butt-Krillach, pojawiając się, jak zwykle, nieoczekiwanie.

– Tylko ciebie nam brakowało… – Van spojrzała na niego niechętnie.

Gdy dotarli do osobistych pokoi maga, Mao tylko lekko uniósł brwi. Kreol nie zdążył jeszcze zmienić swojego barłogu w prawdziwy gabinet czarodzieja, nie było tam więc nic szczególnie niezwykłego.

Długo wertowali księgę. Najpierw od początku, potem od końca. Kreol na razie zapisał dwie trzecie grubego woluminu, ale tak drobnym pismem, że można było się tylko dziwić, jak udało mu się zrobić to w ciągu dwóch tygodni. Początkowo Hubaksis dawał różne rady, ale nie było z nich żadnej korzyści.

– W jakim to języku? – zapytał ojciec, zaglądając córce przez ramię.

– Sumeryjskim – krótko odpowiedziała Vanessa, nerwowo przewracając strony.

– Nie wiedziałem, że umiesz czytać po sumeryjsku… – Pokiwał ze zdziwieniem głową. – Kiedy zdążyłaś się nauczyć?

– To wszystko on, magik przeklęty… – wycedziła przez zęby Van. – Umie takie rzeczy.

– Może zajrzysz do spisu treści? – ciągnął Mao, widząc bezskuteczne poszukiwania cofki.

– Nie ma tu żadnego spisu treści! – odgryzła się coraz bardziej zła Vanessa. Kreol zaczął już żółknąć. – Ani numeracji stron! I w ogóle żadnego porządku! Chyba pisał wszystko jak leci – co mu się przypomniało, to pisze!

Minęło jeszcze dziesięć minut. Vanessa sapała coraz głośniej i głośniej.

– To bez sensu! – jęknęła, zatrzaskując książkę i z rozpaczą popatrzyła na Kreola. – Ledwie mogę się zorientować, co on tam naskrobał! Ej, Hubi, nie ma żadnego innego sposobu?

Hubaksis westchnął ze smutkiem. Z jego jedynego oka wypłynęła samotna łezka.

– Oczywiście, że są… – odpowiedział smętnie. – Mnóstwo. Można poprosić o pomoc maga-uzdrowiciela. Macie takiego? Można wezwać demona leczącego chorobę. Umiecie? Można złożyć ofiarę bóstwu uzdrawiania. Macie tu taką świątynię? Można podać mu Wielkie Panaceum. Macie tu takie lekarstwo?

– Nie poddawaj się, córeczko! – Poruszony do głębi ojciec potrząsnął Vanessą. – Poszukaj jeszcze w książce!

– Chwileczkę… – Twarz Vanessy rozchmurzyła się. – Jakże mogłam zapomnieć, idiotka!

Wyciągnęła spod koszulki wiszący wciąż na piersi amulet i głośno rozkazała:

– Sługo, otwórz magiczną księgę na stronie z recepturą lekarstwa na czarną żółciankę!

Książka sama otwarła się, strony zatrzepotały jak skrzydła motyla. Po kilku sekundach znieruchomiały i księga zaprezentowała wszystkim upragnioną recepturę.

– Jak to…? – Mao osłupiał. Przyzwyczaił się jakoś to otaczających go cudów, ale gdy jego własna córka…

– Potem ci wytłumaczę… – Machnęła ręką Vanessa, uważnie czytając recepturę.

Szybko poruszała wargami, z trudem radząc sobie z okropnym charakterem pisma maga – twarz Kreola wciąż jeszcze była żółta, ale z minuty na minutę stawała się coraz ciemniejsza.

– I tak… – mamrotała. – Najpierw jakieś kulinaria. Trzy łyżki suszonych goździków, szczypta gałki muszkatołowej, trzy krople soku z cytryny, jedna czwarta filiżanki surowej wody… Dalej jakieś świństwa. Żółć szczura, środek oka żaby, kropla mózgu niedojrzałego mężczyzny, który zmarł na zakaźną chorobę… Brrr! Co za świństwo! Gdzie ja to wszystko znajdę w ciągu godziny?! – Głos Vanessy zmienił się w desperacki pisk.

– Połowę tego mam w kuchni, ma'am – oznajmił nieporuszony Hubert. – Jeśli nie ma pani nic przeciwko, przyniosę wszystko, co jest potrzebne.

– Dawaj, dawaj. – Mao pokiwał głową. – Tylko nie pokazuj się na oczy tym nienormalnym damom, bo inaczej w miejskim zoo pojawi się nowy mieszkaniec.

– Jak pan rozkaże, sir – sucho odpowiedział skrzat, stając się

znów niewidzialny.

– A skąd wziąć resztę? – westchnęła Van ze zmęczeniem.

– Córeczko… a twój kawaler nie ma jakiegoś tam… no, nie wiem… laboratorium, albo czegoś w tym stylu…? Może poszukamy?

– Co ja bym bez ciebie zrobiła, tatusiu! – Van uśmiechnęła się z wdzięcznością, wyskakując za drzwi.

– Beze mnie w ogóle byś się nie urodziła… – burknął stary Chińczyk dobrodusznie, ruszając w ślad za nią. Za nim malowniczo podążał czteroręki demon i malutki dżinn.

Mimo że Kreol i Vanessa mieszkali w domu Katzenjammera dopiero dwa tygodnie, mag zdążył już zgromadzić pokaźną kolekcję składników do wywarów i eliksirów. Znakomita większość tej kolekcji wywoływała mdłości.

– Szczurza żółć… szczurza żółć… szczurza żółć… – Van wodziła palcem po byle jak naklejonych kartkach z niewyraźnymi napisami. Kreol przykleił je tylko po to, żeby nie pomylić krwi żmii z krwią zaskrońca. Albo coś w tym rodzaju. – Mam żółć szczura! Fuj, co za świństwo… a pachnie jeszcze gorzej.

– A tu są oczy żaby – poinformował Hubaksis. – Stoją tam, na półce.

– To ja mu nałapałem – wyszczerzył się zadowolony Butt-Krillach. – I szczury, i żaby, i wiele innych stworzeń. Co wieczór dawał mi listę czego potrzebuje.

– Dlaczego od razu nie powiedziałeś, że chodzisz załatwiać sprawy? – zaburczała Van, która nie wybaczyła jeszcze demonowi, że dostał się do gazet wcześniej niż ona.

– Lepiej by ciebie, jednooki, wysłał po szczury – uśmiechnął się Mao. – Byłaby uczciwa walka – jeden na jeden, akurat masz odpowiednie rozmiary.

– Mnie pan odprawił na cmentarz – nadął się Hubaksis i zaraz spytał: – Cały czas jest nieprzytomny?

Van kiwnęła głową, nie odwracając się.

– W takim razie powiem, że jest bydlak i tyle! – zwycięsko krzyknął Hubaksis. – Nasz demon sam się wyrywał pokopać w mogiłach, a on mnie posłał! Najważniejsze – zdobyć dla niego mózg kogoś, kto umarł na jakąś zarazę!

– I zdobyłeś?! – Vanessa energicznie odwróciła się do niego.

– O, to! – fuknął dżinn, przeżywający cały czas nieprzyjemne wydarzenie. – Tam jest, na trzeciej półce od dołu.

– A dlaczego tak mało? – nachmurzyła się Van, zaglądając do pudełeczka z różową kaszą. Dobrze chociaż, że Van swego czasu musiała prawie pół roku pracować w kostnicy – w przeciwnym przypadku czułaby jeszcze większe obrzydzenie.

– Więcej nie dałem rady podnieść – zazgrzytał zębami dżinn. –

Nawet za te trochę powinniście być mi wdzięczni.

Hubert dostarczył przyprawy, więc Van zaczęła, zaglądając co chwila do magicznej księgi, mieszać razem wszystkie paskudztwa. Szło jej kiepsko – Kreol używał starosumeryjskich jednostek miary, a Van w żaden sposób nie potrafiła przeliczyć ich na współczesne gramy i łyżki stołowe. Dobrze chociaż, że szczypta była taka sama, jak w starożytnym Babilonie.

– Słuchaj dżinnie… jak ci tam? Hubaksis…? – Mao w zadumie tarł dolną wargę. – A ten kawale… to znaczy twój pan, posyłał cię na cmentarz tylko po ten mózg, czy po coś jeszcze?

– Tylko po mózg – odrzekł dżinn, jak zaczarowany patrząc na Vanessę, miotającą się przy przesypywaniu gałki muszkatołowej. – Był mu do czegoś pilnie potrzebny!

– Posłuchaj… mmmm… Hubercie, a Kreol nie prosił cię ostatnio o takie same przyprawy? – w zadumie ciągnął Mao.

– Tak, sir, prosił – odpowiedział urisk, zaciskając wargi. – Trzy dni temu, jeśli to pana interesuje.

– Córeczko! – Mao uderzył się w czoło.

– Tato, nie przeszkadzaj, jestem zajęta! – zjeżyła się miła córunia.

– Córeczko, wysłuchaj mnie, proszę! – powiedział ojciec smutnym głosem. – Bądź tak dobra i spójrz własnymi oczami na przedmiot, który trzymam w prawej ręce, a potem możesz zajmować się swoimi niezwykle ważnymi sprawami!

Vanessa odwróciła się z rozdrażnieniem, szykując się, aby powiedzieć ukochanemu tatusiowi wszystko, co myśli o ludziach, którzy w tak ważnej chwili zawracają jej głowę głupotami, ale słowa uwięzły jej w gardle, gdy zobaczyła napis widniejący na flakoniku w ręku ojca. Było na nim napisane (po angielsku!): „Lekarstwo na czarną żółciankę. Podać mi, gdy zachoruję. Zabiję wszystkich, jeśli umrę!”.

– Przygotował się zawczasu… – wyszeptała uszczęśliwiona Vanessa, obracając w ręku flakonik. – Wiedział, i zawczasu przygotował lekarstwo!

– I specjalnie postawił w najbardziej widocznym miejscu – podkreślił Mao. – A tak przy okazji, buteleczka stała tutaj, na środku stołu.

– Lepiej by było, gdyby pan kogoś uprzedził – powiedział Hubaksis. – Nie trzeba by było szukać…

– Pewno nie zdążył – wtrącił swoje trzy grosze Butt-Krillach. – Albo zapomniał.

Vanessa ostrożnie przysunęła flakonik do warg Kreola, marszcząc się zawczasu – taki „aromat” bił z lekarstwa. Najprostszy ludzki odruch nakazywał dać mu coś słodkiego do popicia, ale w magicznej księdze wyraźnie było napisane: „Dokładnie przestrzegać receptury! Nie rozcieńczać! Wypić jednym haustem, nie popijać!”. Vanessa z

całych sił starała się nie pamiętać, że w skład lekarstwa wchodzi ludzki mózg. Tylko kropla, ale zawsze…

Przynajmniej działało skutecznie. Z twarzy maga prawie natychmiast znikła czarna barwa, zastąpiła ją żółć, a potem skóra odzyskała naturalny, śniady kolor. Oczy otwarły się, błysnęły szarą stalą i Kreol, wciąż jeszcze słabym głosem wymamrotał:

– Dziękuję…

– Panie, panie! – zapiszczał szczęśliwy Hubaksis, przepychając się bliżej.

– Nie dotykaj mnie, niewolniku, śmierdzisz! – Kreol zmarszczył się, z obrzydzeniem pociągając nosem.

– Poznaję starego, dobrego Kreola… – słabo uśmiechnęła się Van.

Po dziesięciu minutach mag był już w idealnym porządku. Pospiesznie wymówił słowo Uzdrowienia, ostatecznie pozbył się choroby i przeciągnął się, aż trzasnęło mu w stawach.

– Chcę jeść! – oznajmił gromkim głosem.

– I co jeszcze?! – fuknęła Vanessa. – Ty, magiku zapowietrzony, dlaczego nie uprzedziłeś mnie, że możesz zachorować? A w ogóle, czy to nie jest zaraźliwe?

– Teraz już nie jest zaraźliwe, nie bój się…

– Szykujesz mi jeszcze jakieś siurpryzy?

– Co niby szykuję? – zacukał się mag. – Dlaczego nie znam tego słowa?

Ktoś zapukał do drzwi. To stukanie – zdecydowane, pewne siebie, mówiące, że drzwi za chwilę otworzą się bez względu na to, czy ktoś powie „Proszę!" – Vanessa rozpoznałaby pośród tysiąca innych. Tak stukała tylko jej matka.

– Uciekać, ale już! – syknęła w stronę stworów różnej maści.

Hubert w mgnieniu oka stał się niewidzialny, Hubaksis przeleciał przez ścianę. Butt-Krillach znowu wlazł pod kanapę.

Agnes Lee wpadła do środka jak wicher, ze zdziwieniem mrugając na widok pazurzastej łapy znikającej pod kanapą. Demon spóźnił się o ułamek sekundy. Nie dała po sobie nic poznać, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że coś się jej przywidziało.

– Mój drogi wybacz to moja wina dopiero co przyjechaliśmy ale to jest bardzo pilne i ja po prostu nie mogę zawieść moich przyjaciół samolot mam za dwie godziny nie obrazisz się bilety już są zamówione taki nieoczekiwany telefon myślałam że tydzień później jeszcze raz przepraszam! – wyrzuciła z siebie na jednym oddechu.

Kreol zamrugał, starając się wyłowić sens z tego terkotania, ale bez powodzenia. Za to Van i jej ojciec słuchali całkiem spokojnie, bo przez lata, które spędzili z mamuśką, zdążyli przyzwyczaić się do jej sposobu prowadzenia rozmowy.

– I co tym razem? – zainteresował się Mao, niezbyt poruszony. –

Zieloni? Walka o pokój? Obrona feminizmu?

Rzecz w tym, że Agnes była bardzo energiczną osobą. Za dawnych czasów w Związku Radzieckim takich ludzi nazywano aktywistami. Jednak tego rodzaju porywy były jakoś uporządkowane (chociaż w nie najlepszy sposób), natomiast w USA było całkiem inaczej. Dlatego Agnes kierowała swoją burzliwą działalność we wszystkie strony naraz. Dzisiaj leciała do Hagi na konferencję dotyczącą ratowania wielorybów przed wymarciem, a dnia następnego już broniła prawa kanibali do samowyrażania poprzez spożywanie współbraci. Była członkiem tuzina różnego sortu stowarzyszeń, przy czym we wszystkich zajmowała dość wysokie stanowiska. Wałczyła o wszystko równo. Albo przeciwko wszystkiemu – jak popadło. Rozsadzająca ją energia nasiliła się znacznie w ciągu kilku ostatnich lat. Mao dawno pogodził się z tym i tylko wzruszał ramionami, gdy Agnes nieoczekiwanie zawiadamiała, że dosłownie za chwilę leci do Wietnamu pomagać weteranom wojennym, więc nie trzeba czekać na nią z kolacją.

– Wiedziałam że zrozumiesz to jest zjazd artystów-abstrakcjonistów-homoseksualistów walczących o swoje prawo do swobodnego tworzenia w Amsterdamie nie wszędzie ludzie zrozumieli że sztuka nie zna granic i może być jakakolwiek to potrwa trzy – cztery dni być może nawet cały tydzień a już na pewno wrócę za dziesięć dni ale może polecisz ze mną zdążę jeszcze kupić drugi bilet.

– Nie, nie – odmówił przestraszony mąż. – Nie chcę ci przeszkadzać…

Agnes z zadowoleniem pokiwała głową. Rzeczywiście, podczas tego typu imprez mąż był dla niej tylko ciężarem.

– A co z domem? – zainteresował się bez większej nadziei.

– Ach zajmiemy się tym po moim powrocie wybacz wiem że z przyjemnością załatwiłbyś wszystko sam ale zupełnie nie masz gustu i możesz kupić coś podobnego do tego koszmaru wybacz córeczko ale jestem pewna że ty i Larry nie macie nic przeciwko temu aby Mao pomieszkał z wami przez kilka dni przecież wasz dom jest taki duży.

– Jestem za. – Vanessa objęła ojca. – A ty?

– A? – Kreol wzdrygnął się, gdyż dotąd jak zaczarowany patrzył na usta Agnes. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę się zamknęły.

– Nie masz nic przeciwko temu, żeby tata pomieszkał przez tydzień w którymś z pustych pokoi?

– A dlaczego by nie? – Wzruszył ramionami Kreol. Agnes irytowała go, ale jej mąż był o wiele sympatyczniejszy. – Nie mam nic przeciwko, kobieto, jedź na ten swój… no tam, gdzie się wybierasz – zakończył niezgrabnie.

– Posłuchaj Larry jesteś bardzo miłym młodzieńcem ale z pewnością nie zaszkodziłoby ci zapisać się na kurs dobrych manier –

wypaliła oburzona Agnes. – Jedna z moich znajomych prowadzi takie kursy jeśli chcesz polecę cię bo to po prostu koszmar!

– Nie przejmuj się, mamo, po prostu tam, skąd on pochodzi, tak jest przyjęte – czule wyszeptała Vanessa, obejmując matkę. – Ale pracujemy nad tym, prawda?

Kreol tępo utkwił w niej wzrok, nie rozumiejąc, czego od niego chce.

– Prawda? – zapytała jeszcze czulej, nadeptując mu przy tym na stopę.

– Tak!!! – wypalił mag, ledwie powstrzymując się, by nie wrzasnąć z bólu. Van ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt pięć kilo, ale miał wrażenie, że po jego nodze przespacerował się hipopotam, i to nie zwyczajny, ale cierpiący na otyłość.

Agnes jeszcze raz spojrzała spod oka na Kreola. Jako zaangażowana feministka nie tolerowała słowa „kobieta", uważając, że poniża ono jej ludzką godność.

– Nie musicie mnie odprowadzać wezwę taksówkę – powiedziała, nadal zła.

Vanessa natychmiast zapewniła matkę, że żadna taksówka nie jest potrzebna, że będzie po prostu szczęśliwa, odwożąc ją na lotnisko, że bardzo ją kocha, i tak dalej. Świetnie wyczuła, że jeśli tego nie powie, matka obrazi się na dobre i długo będzie potem się dąsać. Nie byłby to pierwszy raz.

Mao zamknął za Vanessą drzwi i odwrócił się, żeby zobaczyć, czym zajmuje się Kreol. Skrajnie zdziwiony mag przysłuchiwał się dźwiękom dochodzącym ze słuchawki telefonu. Potem odłożył słuchawkę na widełki i wyraźnie powiedział:

– Ja, Kreol, Pierwszy Mag Imperium Sumeru, chcę rozmawiać z Vanessą. Wykonaj!

Telefon milczał głucho. Kreol odczekał chwilę i powtórzył rozkaz. Nic się nie zmieniło.

– To tak nie działa – spróbował wyjaśnić Mao. Kreol zasępił się, ale nic nie odpowiedział, z uporem starając się przekonać telefon do wykonywania jego poleceń.

Rozdział 12

Miejsce akcji – stary cmentarz w pobliżu Tournai, niewielkiego, belgijskiego miasteczka położonego niedaleko granicy z Francją.

Na cmentarzu tym od wielu lat nikogo nie grzebano. Niewielu ludzi go odwiedzało – ot, czasem zbłądzi w tę okolicę przypadkowy przechodzień albo zajrzy jakiś krewny kogoś dawno pochowanego. A teraz, o północy, nie było tu nawet bezpańskich psów.

Noc była mało sympatyczna. Nad cmentarzem, a także nad całym okręgiem, rozszalała się straszna burza, jakiej nie pamiętali nawet najstarsi mieszkańcy Tournai. Błyskawice przecinały niebo jak ogniste kopie, gromy grzmiały tak, że mogłyby zagłuszyć setkę perkusistów.

Jedna z błyskawic przyćmiła pozostałe. Uderzyła dokładnie w środek cmentarza, niedaleko od najstarszej mogiły, z której nagrobka napis starł się tak dawno, że nikt już nie pamiętał, kto był tam pochowany. I na tym powinno się skończyć – pioruny uderzają wszędzie. Ale tym razem zdarzyło się coś więcej.

W miejscu, gdzie uderzyła błyskawica, rozwarło się coś na kształt gigantycznej szczeliny z postrzępionymi brzegami. Wynurzył się z niej bezkształtny kłąb i szczelina zamknęła się, wydając z siebie na pożegnanie cichy trzask, jaki zwykle towarzyszy słabemu wyładowaniu elektrycznemu.

Ów nieokreślony kształt przez kilka chwil leżał nieruchomo, następnie powoli wyprostował się i stanął na dwóch nogach, przybierając postać przystojnego, delikatnego młodzieńca w wieku około osiemnastu lat. Emanowało z niego dziwnie nieziemskie, nieludzkie piękno. Podobną urodę można zobaczyć na portretach aniołów lub twarzach chorych na suchoty. Młodzian nie był jednak ani wysłannikiem niebios, ani suchotnikiem.

Zrodzony przez błyskawicę młodzieniec zachował pozory podobieństwa do człowieka, lecz na pewno nim nie był. Po pierwsze, jego włosy, wąsy i ledwie widoczna bródka były idealnie białe jak świeży śnieg. Taką samą barwę miały jego paznokcie – zdawało się, że młodzieńcowi właśnie zrobiono manikiur w ekscentrycznym kolorze. Ale najważniejsze były oczy, białe jak para kurzych jaj. Nie posiadały ani źrenic, ani tęczówek – tylko niesamowite bielmo – jak u niewidomego.

Pojawiając się na naszej grzesznej ziemi, przybysz nie zawracał sobie głowy ubraniem. Był nagi jak Adam przed popełnieniem grzechu pierworodnego, ale bynajmniej nie tak nieszkodliwy.

Rozejrzał się dookoła, zastanowił się, a następnie zrobił coś na pierwszy rzut oka zupełnie nielogicznego.

Podskoczył, energicznie zgiął nogi w kolanach i zostawił je w takim położeniu. Zwykły człowiek, robiąc coś takiego, naraziłby się jedynie na bolesny upadek. Ale syn błyskawicy zawisł w powietrzu, wciąż rozglądając się z obrzydzeniem. Pomedytował jeszcze chwilę, a potem wolno ruszył do przodu, kiwając się równomiernie na boki. Zaczął przyspieszać, aż osiągnął prędkość samochodu wyścigowego.

Po kilku minutach lotu białowłosy dotarł do szosy i zaczął lecieć wzdłuż niej. W ciągu dnia na drodze tej pełno było samochodów wszelkiego rodzaju, lecz teraz – w środku nocy – asfalt był pusty jak okiem sięgnąć. Jednak szosa to szosa – nie minęły nawet dwie minuty, gdy w oddali pojawiło się światło reflektorów.

Zobaczywszy je, przybysz zademonstrował pewną znajomość Ziemi i jej mieszkańców. Wyprostował nogi i opadł na ziemię, przestając udawać bezskrzydłego anioła.

Wkrótce samochód dotarł do punktu spotkania. Jego właściciel siedział już osiem godzin za kierownicą, był okropnie zmęczony, z tego też powodu drogę obserwował bardzo nieuważnie. Dlatego dopiero w ostatniej chwili zauważył tuż przed maską młodego mężczyznę i nerwowo nacisnął hamulec.

Stary, zaniedbany ford z okropnym piskiem opon zatrzymał się zaledwie pół metra od brzucha białowłosego.

– Ej, chłopie, życie ci niemiłe?! – wrzasnął rozzłoszczony kierowca, wychylając głowę przez okno. – Co to za nowa moda rzucać się pod koła?

Młodzieniec popatrzył smutnym wzrokiem na tego, kto o mało nie stał się przyczyną jego śmierci, a potem otworzył usta i wypowiedział tylko jedno słowo:

– Ubranie.

– Co? Co? – Kierowca osłupiał. – Słuchaj, chłopcze, skąd się w ogóle wziąłeś? Szwendasz się goły w środku nocy… Nudysta, czy co? A może cię obrabowali? Podwieźć?

Na wszystkie te pytania białowłosy odpowiedział jednym zdaniem:

– Potrzebuję ubrania.

Kierowca zmarszczył brwi. Usłyszane zdanie wywołało u niego dziwne uczucie. Był gotów przysiąc, że nie zna języka, którym mówi ten dziwny nieznajomy, a jednak rozumiał świetnie każde słowo. Lecz w następnej sekundzie dotarła do niego istota jednoznacznej prośby i o mało nie udusił się od złości.

– Ty co, chłopie, całkiem zgłupiałeś?! – wrzasnął. – Terminator dla ubogich! No już, znikaj zanim cię…

Szofer nagle umilkł. Dopiero teraz zauważył okropne oczy nieznajomego. Włosy na karku zaczęły mu powoli stawać dęba.

Białowłosy nie wypowiedział więcej ani słowa. Energicznie

machnął ręką i z czubków jego palców wystrzelił oślepiający snop elektryczności na kształt krótkiej, grubej błyskawicy.

Piorun uderzył w samochód – jego właściciel, wijąc się w konwulsjach jakby posadzono go na krześle elektrycznym, zawył straszliwie, a potem zamilkł na zawsze.

Białowłosy potraktował całe zdarzenie w sposób beznamiętny. Wyciągnął trupa na pobocze i metodycznie zdjął z niego garderobę, nie zapominając nawet o ciemnych okularach i parze spinek do mankietów. Tak samo spokojnie i metodycznie włożył to wszystko na siebie. Prezentował się nieco śmiesznie (kierowca był niższy o prawie dziesięć centymetrów i ze dwa razy szerszy w pasie), ale wyglądał i tak lepiej, niż kiedy świecił golizną. Przeniósł byłego właściciela samochodu do przydrożnego rowu, przysypał go suchymi liśćmi i zastanawiał się, co dalej.

Nadeszła pora, aby wyjaśnić pewne rzeczy. Przybysz z innego wymiaru miał na imię Guy. W każdym razie był to najbliższy ziemski odpowiednik jego imienia, jaki da się zapisać na papierze. Należał do rasy yirów i z całego serca nienawidził Ziemi oraz jej mieszkańców.

Nienawidził naszej planety z tego samego powodu, z jakiego ryba nienawidzi pustyni – za to, że nie da się tam żyć. Rasa yirów nie potrzebuje ani powietrza, ani pożywienia, ani wody. Do podtrzymania funkcji życiowych potrzebują tylko jednego – elektryczności. W ich rodzimym wymiarze nie ma z tym problemu – elektryczności mają więcej niż my… no, czegokolwiek. Ich świat w dziewięciu dziesiątych składa się z elektryczności. Oni sami w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach to czysta energia. Człowiek umarłby tam szybciej niż na dnie Oceanu Spokojnego bez akwalungu.

Yirowie, dzięki większej witalności, mogli przebywać w naszym wymiarze, ale było to dla nich dość niemiłe przeżycie. Dlatego (w przeciwieństwie do, powiedzmy, dżinnów) praktycznie nigdy nie odwiedzali naszego wymiaru. Na Ziemi mogli czerpać energię tylko z chmur burzowych, a od niedawna także z przewodów elektrycznych, ale jest to dla nich równie niewystarczające, jak lodówka dla śniegowego bałwana. Na dodatek w świecie ludzi musieli przywdziewać sztuczne ciało, inaczej nie przetrwaliby nawet kilku godzin. Proste różnice w prawach fizyki sprawiały, że niemożliwe było przeżycie w ich postaci naturalnej.

Guy za nic nie pojawiłby się na Ziemi z własnej woli, ale niestety, musiał wypełnić kontrakt, zawarty niegdyś między jednym z mieszkańców Ziemi, a jego prapraprapraprapradziadkiem. Tych „pra” mogłoby być znacznie więcej, ale yirowie żyją prawie trzydziestokrotnie dłużej niż ludzie.

Była to niezwykła transakcja. Morderstwo na zlecenie. Prapraprapraprapradziadek zobowiązał się do zabicia człowieka o

imieniu Kreol. Zapłatę otrzymał z góry i niewątpliwie wykonałby zamówienie, lecz przeszkodziły w tym czynniki obiektywne.

Konkretnie – śmierć Kreola.

Kontrakt uległby anulowaniu, gdyby praprapraprapradziadek Guya oddał zapłatę zamawiającemu, ale nie mógł tego zrobić ze względu na specyfikę honorarium. Zwrócić je byłoby niesłychanie trudno, a nawet jeśliby jakoś się udało, nie sprawiłby żadnej radości zleceniodawcy. Tak więc kontrakt nadal obowiązywał. Utraciłby ważność w chwili śmierci klienta – ale do tego na razie nie doszło.

Oczywiście, Guy nie przypuszczał, że przeklęta ofiara wpadnie na pomysł, żeby zmartwychwstać i zmusi go tym samym do wypełnienia umowy sprzed pięciu tysięcy lat. Nie mógł jednak po prostu zignorować praw klanu. Nie mógł po prostu wynająć podwykonawcy – nie pozwalały na to te same surowe prawa klanu. Dlatego właśnie tak nienawidził Ziemi i wszystkich, którzy ją zamieszkiwali.

Do tego Guy czuł się nie najlepiej. Obyczaje i warunki panujące na Ziemi znał tylko z teorii, dlatego całkiem zapomniał, jak szybko wyczerpują się tutaj zapasy energii. Lewitacja, uderzenie piorunem, a także samo istnienie w cudzym ciele pochłonęły praktycznie całe zapasy, jakie zabrał ze sobą z domu. Musiał szybko się podładować, inaczej czekały go poważne nieprzyjemności. Mniej więcej takie, jakie są udziałem człowieka, któremu w pół drogi między Marsem a Jowiszem skończy się powietrze w skafandrze.

Na szczęście Guy wyczuł bliskie źródło energii. Całkiem małe, ale lepsze to niż nic. Energicznie podniósł maskę samochodu, nie zauważając nawet, że była zablokowana i wyrwał z trzewi samochodu akumulator. Palce mu zaiskrzyły, pokryły się setkami miniaturowych błyskawic, a oczy zaświeciły jeszcze jaśniej, otrzymawszy nową porcję energii.

Wyssawszy akumulator, Guy odrzucił go niedbale na bok, jak skorupkę orzecha. Poczuł się lepiej, a to oznaczało, że może przystąpić do wykonania zadania. Jednakże tym razem nie zdecydował się po prostu lecieć wprost do celu. Przynajmniej dopóki nie napełni się elektrycznością. Potrzebował obfitego źródła pożywienia. Wiedział, że na Ziemi istnieją takie rzeczy jak elektrownie, w których znajduje się wystarczająca ilość jedzenia dla jednego yira. Trzeba było znaleźć jedno z takich miejsc.

Guy w zadumie oglądał samochód. Człowiek jechał w tym czymś, a to znaczy, że można było wykorzystać je do poruszania się. Niestety, zupełnie nie umiał kierować takimi rzeczami. Do tego yir nie był pewien, czy po uderzeniu prądem samochód nadal nadaje się do użytku. Podejrzewał też, że przed chwilą sam wyssał siłę wprawiającą ten aparat w ruch. Ostatecznie więc Guy poszedł na piechotę.

Mniej więcej po dwudziestu minutach dogoniła go niewielka

ciężarówka. Kierujący nią przysadzisty, krótko ostrzyżony młodzieniec, zahamował tuż obok i przyjaźnie krzyknął do Guya:

– Cześć chłopie! Podwieźć?

Guy zatrzymał się i powoli odwrócił głowę. Czuł, że we wnętrzu tego aparatu znajduje się jeszcze jedno źródło pokarmu i jeszcze kilka innych, mniejszych, gdzieś w kabinie. Jednakże, aby zdobyć tę elektryczność, musiałby najpierw pozbyć się kierowcy, a to mogło wyczerpać cały jego mizerny zapas energii. Było to nierozsądne, dlatego Guy wolał skorzystać z możliwości poruszania się za pomocą maszyny i jak najszybciej znaleźć się w mieście. Miał nadzieję znaleźć tam dużo źródeł energii i najeść się do wypęku.

– Zgoda – władczo kiwnął głową, włażąc do kabiny.

Szofer zamrugał ze zdziwieniem. On także zwrócił uwagę na dziwną mowę przybysza – słowa dźwięczały niezrozumiale, ale sens był zupełnie jasny. Dobrze chociaż, że teraz oczy Guya były zasłonięte ciemnymi okularami, dzięki czemu kierowca niczego nie podejrzewał.

– Do Brukseli? – zapytał krótko.

Guy zamyślił się po raz kolejny. Nazwa brzmiała dla niego jak bezsensowny zbiór dźwięków, ale najwyraźniej oznaczało coś ważnego.

– Tak – odpowiedział. – Właśnie tam.

– A propos, kolego, to czasem nie twój samochód stoi tam dalej na drodze? – zapytał ciekawie kierowca, kręcąc gałką radioodbiornika. – Co się z nim stało? Piorun w niego walnął?

Guy spojrzał na niego spod oka, zastanawiając się, co odpowiedzieć. O ludziach wiedział mniej niż weterynarz o psach – znał ogólne zasady fizjologii, ale nic więcej. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ten mężczyzna twierdzi, że jakiś samochód należy do niego i o jakim piorunie mówi?

Guy nie był nierozgarnięty. Po prostu był yirem. Sposób myślenia yirów znacznie różni się od ludzkiego. Na przykład, nie są w stanie kłamać – nie znają nawet takiego pojęcia. Co za tym idzie, brakuje im fantazji – nie potrafią niczego zmyślić, nie rozumieją metafor, tylko nieliczni umieją formułować hipotezy. W ciągu całego swego istnienia ich cywilizacja nie stworzyła ani jednego dzieła sztuki – wyłącznie formy dokumentalne. W świecie ludzi taki brak bardzo utrudnia życie, ale u yirów jest to norma. Oczywiście, Guy wiedział, że ludzie mogą „mówić o tym, czego nie są całkowicie pewni", ale jego stosunek do tej informacji był mniej więcej taki, jak nasz stosunek do opowieści o yeti. Nie, nie wątpił w to – yirowie nie tylko nie mogą kłamać, ale nie mogą także nie wierzyć w to, co usłyszeli. Automatycznie zakładają, że inni też zawsze mówią prawdę. Jednakże aż do dzisiaj Guy nie mógł się przekonać o przedziwnych w swoim mniemaniu właściwościach ludzi i z tego powodu uważał je za mało

prawdopodobne. Yirowie nie mogą kłamać, ale mogą ich zmylić błędne informacje.

– No to co się stało z twoim samochodem? – jeszcze raz zapytał kierowca tonem swobodnej pogawędki.

– Nic – odpowiedział Guy zimno.

Nie skłamał. Nie miał żadnego samochodu, czyli nic się z nim nie mogło zdarzyć.

– Jak to nic…? – Zdezorientowany kierowca spojrzał na niego spod oka. – Sam widziałem.

– To nie mój samochód – oznajmił Guy po namyśle.

Kierowca chciał jeszcze o coś zapytać, ale popatrzył na obojętną twarz towarzysza podróży i rozmyślił się. Zamiast tego znalazł w końcu w radiu jakąś stację muzyczną. Z głośników rozległy się dźwięki wesołej polki.

Guy mimowolnie skrzywił się. Słuch yirów różni się od ludzkiego i większość naszej muzyki brzmi dla nich tak, jak dla nas zgrzyt noża po szkle. Zresztą ich pozostałe zmysły także są mało podobne do naszych. Widzą dalej i lepiej niż ludzie, ale zupełnie nie odróżniają kolorów, odbierając świat w czarno-białej kolorystyce. Takich zmysłów jak węch, dotyk i smak w ogóle nie posiadają. Yir nie jest w stanie odróżnić za pomocą dotyku kawałka lodu od rozżarzonego węgla. Mają za to inny, niedostępny dla nas zmysł – wyczucie elektryczności. Yirowie czują poruszające się potoki elektronów, dlatego każdy z nich bez trudu odnajdzie baterię zakopaną na głębokości dziesięciu metrów.

Po około czterdziestu minutach ciężarówka zatrzymała się na przedmieściach belgijskiej stolicy. Kierowca radośnie klasnął w dłonie i oznajmił:

– Przyjechaliśmy! Sypnij drobniakami i rozejść się!

– Gdzie sypać? Kto ma się rozejść? – dopytywał się Guy.

– Czego znowu nie rozumiesz? – Kierowca spochmurniał. – Jechałeś moim samochodem? Jechałeś. Korzystałeś z mojej benzyny? Korzystałeś. Słuchałeś mojej muzyki? Słuchałeś. Trzeba płacić. Piątak wystarczy – zakończył.

Kiedy taka, niby to przyjacielska przysługa nieoczekiwanie zamienia się w płatną, wygląda to zawsze nieładnie. Jednakże tego człowieka podobne drobiazgi niezbyt interesowały. Pieniądz cenił bardziej niż wszystkie problemy moralne razem wzięte.

Guy siedział z dość głupią miną, starając się rozgryźć tyradę kierowcy. Spędził w tym świecie jakieś pół godziny, ale już świetnie zrozumiał, że nie wie właściwie nic o tych zagadkowych stworzeniach – ludziach. Szczególnie zdziwił go ciąg pytań i odpowiedzi. Yirowie nie mają w zwyczaju odpowiadać na pytania, które sami zadali.

– Czego chcesz? – postanowił w końcu uściślić. Gdyby miał do

dyspozycji porządny zapas energii, nie starałby się w ogóle budować żadnego porozumienia z tym człowiekiem, a po prostu by go podsmażył, ale całej elektryczności, którą dysponował Guy starczyłoby co najwyżej na niedużego kota. W najlepszym wypadku na kilkuletnie dziecko.

Kierowca z rozczarowaniem pokiwał głową i zmierzył pasażera spojrzeniem. W swej obecnej postaci Guy wyglądał na słabeusza, dlatego kierowca nie tracąc czasu na dalsze rozmowy zaczął bezceremonialnie przeszukiwać jego kieszenie. Guy nie sprzeciwiał się, bezskutecznie starając się zrozumieć, co robi ten człowiek. Nie słyszał o niczym podobnym, gdy studiował obyczaje gatunku ludzkiego.

– Aha! – rzekł kierowca z tryumfem, wyciągając portfel należący wcześniej do właściciela forda. – I po co było strugać wariata…?

Zawartość portfela zadowoliła go w pełni. Nie przetrząsał go zresztą zbyt dokładnie. Nie był bandytą, dlatego ograniczył się do jednego banknotu o nominale dziesięciu euro, a resztę wepchnął z powrotem do kieszeni Guya.

– No i po wszystkim! – uśmiechnął się wesoło, otwierając drzwi. – Na razie, przyjacielu!

Stojąc na chodniku, Guy z niedowierzaniem patrzył na odjeżdżającą ciężarówkę. Potem wyjął portfel i otworzył go, nie rozumiejąc, co to jest i dlaczego tak zainteresowało tego dziwnego typa.

W portfelu było prawo jazdy, kilka niezapłaconych rachunków, paragon za zakup ekspresu do kawy, notatnik z dziesiątką nazwisk i telefonów i, oczywiście, pieniądze. Około dwudziestu banknotów o łącznej wartości mniej więcej stu euro. W większej części o niskich nominałach. Guy wyjął jeden papierek i dokładnie obejrzał go ze wszystkich stron. Zanim przeniósł się do naszego świata, postarał się, by go rozumiano. Odpowiednio on także rozumiał, co się do niego mówi. Nie dotyczyło to jednak pisma, chociażby z tego powodu, że yirowie nie znają pojęcia pisma, dlatego dla Guya banknot był tylko kawałkiem kolorowego papieru. Nie, nawet nie kolorowego, a czarno-białego, tak jak wszystko inne co widział. Nie było w nim elektryczności, a więc dla yira nie przedstawiał żadnej wartości.

Jednak w końcu Guy przypomniał sobie, że ludzie wykorzystują takie rzeczy do opłacania towarów i usług. Nazywało się to chyba „pieniądze”. Co prawda, wydawało mu się, że „pieniądze” robi się z metalu, ale nie był tego całkiem pewien. Pamięć mogła go zawodzić.

Dla yirów, którzy nigdy nie stworzyli żadnej teorii ekonomii, nawet w najbardziej prymitywnej postaci, wszystko to było niezwykle osobliwe, ale na Ziemi te papierki mogły się przydać, więc Guy włożył portfel z powrotem do kieszeni. Zaczął żałować, że bez oporu oddal

banknot przypadkowemu towarzyszowi podróży.

Po przybyciu do miasta, Guy obojętnie oglądał piękny widok nocnej Brukseli. Dla yira niewiele różnił się on od widzianego wcześniej cmentarza i drogi. Teraz interesowało go tylko jedno – jakiekolwiek źródło energii. A energii akurat było wokół pełno…

Pierwszą ofiarą Guya padł neon jakiegoś baru. Bar był podły i neon też miał podły – połowa liter nie działała, a te, które świeciły, cały czas mrugały. Po napadzie yira i one zgasły.

Guy zaiskrzył. Jego śnieżnobiałe włosy stanęły dęba i zaświeciły słabo w nocnym mroku. Yira opanował dobry nastrój, zaczął rozglądać się za dalszym ciągiem bankietu.

Na kolejne danie nie trzeba było długo czekać, pojawiło się pod postacią niewielkiej tablicy rozdzielczej, do której podłączony był nieszczęsny neon. Dla Guya wyglądało to jak niewielka chmurka elektryczności, ciągle zasilana z oddalonego źródła. Nic lepszego nie mogło mu się trafić.

Chwycił przewód, energicznie przegryzł go i warcząc drapieżnie, wsunął oba końce pod policzki. Ssał energię, mlaskając obrzydliwie i rozsypując wokół siebie coraz więcej iskier. Wkrótce na ulicy zaczęły gasnąć latarnie. Potem światła w oknach. Minęło całkiem niewiele czasu i cała dzielnica pogrążyła się w ciemnościach.

Yir beknął z przejedzenia i wyjął przewody z ust. W oknach znowu pojawiło się światło.

Guy ruszył, gdzie oczy poniosą. Czuł się bardzo dziwnie. Z jednej strony czuł niewiarygodną siłę i pewność, że nikt tutaj nie jest w stanie go kontrolować. Z drugiej strony, nie spodziewał się, że w tym świecie można znaleźć tak bogate źródło pokarmu i zwyczajnie się przejadł. Rozsądek podpowiadał, że powinien pozbyć się nadmiaru energii, ale było to ponad jego siły. Yir bał się strasznie, że drugi raz nie trafi na tak obfitą biesiadę.

Spacerując po ulicach, Guy coraz lepiej zdawał sobie sprawę, jak trudne zadanie przypadło mu w udziale. Jego praprapraprapradziadek, który tak pochopnie przyjął zamówienie, często pracował w świecie ludzi, poznał go mniej więcej, mógłby więc prawdopodobnie odszukać tego całego Kreola. Ale Guy po raz pierwszy usłyszał o tym wymiarze około dwóch tygodni temu, gdy dotarł do niego sygnał, że ofiara niespodziewanie zmartwychwstała. Od tamtej pory pilnie studiował wszystko, co było wiadomo na temat świata ludzi, szczegółowo nauczył się wszystkiego, co tylko udało mu się znaleźć, ale… Nie miał bladego pojęcia od czego zacząć.

Guy doszedł do wniosku, że sposoby stosowane w jego świecie, tutaj do niczego się nie nadają. Nie wyczuwał ani śladu energopola, w którym mógłby prowadzić poszukiwania, a tubylcy nie mieli tak wyrazistej energetycznej aury, na podstawie której yirowie rozpoznają

się nawzajem nawet na ogromne odległości. To znaczy, energopole było, ale wyjątkowo słabiutkie… W skali stosowanej przez yirów, oczywiście.

Mimo to, Guy na wszelki wypadek wysłał sygnał w przestrzeń. Jak można było przewidzieć, nie doczekał się odpowiedzi. Kreol nie należał do energoidów – królestwa stworzeń rządzących w świecie yirów. Podobnie jak inni ludzie, należał do królestwa zwierząt, których Guy nie wyczuwał.

A mimo to yir odniósł z tej próby pewną korzyść. Odkrył, że chociaż energopole Ziemi jest bardzo słabe, to jednak można prowadzić w nim poszukiwania, tym bardziej, że nie ma tutaj energożycia. Co więcej, przypomniał sobie przydatną informację – Kreol był magiem. A więc można odszukać go, śledząc przejawy magii. Oczywiście będzie to znacznie trudniejsze, niż gdyby był yirem; trzeba będzie czekać, aż przyjdzie mu ochota poczarować, a i wtedy na pewno nie uda się za pierwszym razem, poszukiwania trzeba będzie powtarzać nawet ze dwadzieścia razy, zanim uda się ustalić coś konkretnego, ale mimo wszystko była to jedyna metoda.

Nie zwracając uwagi na nic, Guy uniósł twarz do góry i poszybował ku niebu. Usadowił się wygodnie na jednym z najwyższych budynków w mieście, otoczył błyszczącym energetycznym kokonem i wysłał sygnał poszukiwania. Planeta okazała się dość uboga w magię. Zarejestrował nie więcej niż tysiąc źródeł emitujących jakiekolwiek magiczne fale, a tym samym mogących okazać się jego „zwierzyną” i zaczął cierpliwie je odsiewać – jedno za drugim.

Na tym zajęciu zastał go świt. Guy przerwał proces i ze zdziwieniem skoncentrował się na źródle światła. W jego ojczystym wymiarze nie istniało nic podobnego i zdziwił się szczerze, zobaczywszy to, co my widzimy codziennie. Po krótkim namyśle Guy doszedł do wniosku, że źródło energii, będące w stanie oświetlić całą planetę, musi być niezwykle bogate i spróbował dotrzeć do odległego światła, żeby pożywić się nim. Oczywiście, nic z tego nie wyszło. Co więcej – zdumiał się jeszcze bardziej, gdy zrozumiał, że emitowana przez Słońce energia nie ma nic wspólnego z elektrycznością i nie nadaje się zbytnio do jedzenia. Mniej więcej tak samo zdziwiłby się leopard, odkrywszy, że upolowana antylopa ma smak kapuścianego głąba.

Guy zostawił więc w spokoju nowe zjawisko i wrócił do pracy. Sprawy posuwały się naprzód.

Rozdział 13

W kominku buzował ogień zapalony godzinę wcześniej magiczną laską. Mao, Vanessa, Butt-Krillach i Hubaksis grali w „Monopol". Maleńki dżinn miał trudności z przesuwaniem kart i banknotów, więc pomagał mu czteroręki demon. Sam Hubaksis tylko rzucał kostkami i przesuwał pionki.

Kreola również zaproszono do gry, ale w odpowiedzi fuknął pogardliwie, nie chcąc tracić czasu na takie nieprzynoszące żadnych korzyści zajęcie. Zamiast tego znalazł Biblię i czytał ją teraz uważnie, wodząc palcem wzdłuż linijek. Od czasu do czasu notował jakieś uwagi na marginesach, albo zamazywał coś wydrukowanego. Od kiedy Kreol dowiedział się, że w obecnych czasach papier jest bardzo tani, zaczął traktować go bez żadnego szacunku. Najbardziej energicznie rozprawił się z jakimś rozdziałem Starego Testamentu – wyrwał prawie cały i podarł na drobne kawałki. Mruczał przy tym ze złością:

– Nabuchodonozor? Mene, mene, tekel, fares? Nierządnica Babilońska? Ach, kto zburzył naszą wieżę?!

Oto przez kogo zginął Sumer?! Nasi bogowie wam się nie podobają, robaki judejskie?! Swojego boga chcecie posadzić w Sumerze?! Mało wam ognistego pieca? W takim razie naślę na was płomienie Gibila!

Van z dezaprobatą patrzyła na takie świętokradztwo, ale nic nie mówiła – nie była przesadnie wierząca. Jej matka miała obojętny stosunek do religii, a ojciec był zwolennikiem nauk Konfucjusza, przy czym też niezbyt zaangażowanym.

Prawie cały Stary Testament wywołał u Kreola szczere oburzenie. Za to Nowy Testament, a szczególnie Apokalipsę świętego Jana, przeczytał kilka razy, a nawet przepisał niektóre fragmenty do magicznej księgi. Kiwał przy tym z aprobatą głową, próbował niezgrabnie przeżegnać się, mrucząc przy tym jakieś zaklęcia i głaszcząc z roztargnieniem leżącego na oparciu fotela czarnego kota. Cztery inne baraszkowały na podłodze, bezskutecznie starając się wygrać z syjamskim kocurem.

Był to ten sam Fluffi, którego Kreol traktował z takim szacunkiem podczas pierwszej wizyty w starym mieszkaniu Van. Mieszkając w pojedynkę, Louise nie mogła sobie dać z nim rady, więc poprosiła przyjaciółkę, by zabrała zwierzaka do siebie. Van bardzo to ucieszyło, lecz radość jej nieco przygasła, gdy Kreol zrozumiawszy, że w XXI wieku można mieć tyle kotów, ile dusza zapragnie, nie bez pomocy Mao zdobył pięć kotów różnej maści. Nie zwracał przy tym uwagi ani na płeć, ani na rasę. Nadał im takie imiona, że Vanessa aż złapała się

za głowę. Kreol nie miał dużego doświadczenia w nadawaniu imion kotom i dlatego nazwał je po prostu: Pierwszy Kot, Drugi Kot, Trzeci Kot, Czwarty Kot i Piąty Kot. Vanessa musiała pilnie zmienić im imiona.

Trzeba przyznać, że nie było to łatwe. Spróbujcie sami tak na chybcika wymyślić aż pięć kocich imion. Jednego z czarnych nazwała Czarnul, drugiego – a dokładniej drugą – Nadine, na cześć babci ze strony matki. Rudego ochrzciła Płomyczkiem, szarego – Dymkiem. Ostatnia kociczka, bardzo dziwnego koloru, przypominającego tapetę w domu awangardowego artysty, została Alicją – tak po prostu.

Kreol podszedł do tego obojętnie – dla niego nadal były Pierwszym, Drugim, Trzecim, Czwartym i Piątym.

Hubert ze stoickim spokojem przyjął do wiadomości fakt, że musi teraz dodatkowo karmić i czesać sześciu przedstawicieli plemienia kotów. Jako skrzat zawsze dobrze traktował puszyste stworzenia, chociaż sześć sztuk nawet jemu wydawało się lekką przesadą.

Fluffi, który niedawno skończył cztery lata, traktował piszczące kociaki bardzo podejrzliwie i terroryzował je wszelkimi dostępnymi sposobami. Jeszcze częściej kociaki biły się między sobą. Ale największe, niezdrowe podniecenie wywoływał wśród nich Hubaksis. Najwidoczniej miniaturowy dżinn kojarzył im się z czymś w rodzaju fruwającej myszy, więc co i raz starały się go upolować. Hubaksis był już zmęczony oganianiem się od tych pazurzastych drapieżników i naprzykrzał się swemu panu, namawiając go, by się ich pozbył albo przynajmniej wsadził do klatek, ale Kreol tylko machał ręką lekceważąco. Silne, choć niewielkie muskuły, słaby, ale jednak ognisty oddech, umiejętność łatania i przenikania przez ściany ratowały Hubaksisa przed zjedzeniem. Inaczej dawno byłoby po nim.

– Kto napisał te pamiętniki? – zainteresował się nachmurzony mag, przewracając ostatnią kartkę. – Mam takie wrażenie, że pracowały nad tym dziesiątki różnych ludzi.

– Rzeczywiście, tak było – potwierdził Mao, przesuwając pionek. – Biblię w różnych okresach pisali Mojżesz, Salomon, Dawid, święci Łukasz, Marek, Jan i Mateusz…

– Nigdy nie słyszałem o żadnym z nich – burknął Kreol.

– I nic dziwnego! – Van parsknęła śmiechem. – Pewnie żyłeś jeszcze przed Adamem!

– Kto to jest Adam? – zapytał mag.

– Przecież dopiero co o tym czytałeś! Adam to pierwszy człowiek na Ziemi, napisano o nim od razu na pierwszych stronach!

– Aaaa… – przypomniał sobie Kreol, wracając do początku Pisma Świętego i jeszcze raz czytając Księgę Rodzaju. – Adam… Adam… Może Adem? Jeden z pierwszych ludzi na Ziemi miał na imię Adem, to prawda…

– Jeden? – zdziwił się Mao. – A ilu ich było?

– Dwunastu – wtrącił Hubaksis od niechcenia. – Prawda, panie?

– Prawda, niewolniku – przytaknął Kreol. – Sześciu mężczyzn i sześć kobiet. Adem, Jacet, Emer, Enki, Angr i Purgwan. Wszystko mam zapisane w magicznej księdze. Jeśli chcesz, możesz przeczytać.

– A jak się nazywały kobiety? – Vanessa podejrzliwie zmrużyła oczy.

– A co za różnica, jak się nazywały kobiety? – Kreol wzruszył ramionami.

– Gdyby to usłyszała moja mamuśka, nieźle by ci przyłożyła! – oburzyła się. – Szowinista prehistoryczny!

– Kobiety nazywały się Iw, Feamos, Odamna, Jenge, Tiat i Kio – odezwał się stojący w drzwiach Hubert.

– A ty skąd wiesz? – zdziwiła się Van.

– Mój naród od zawsze przechowuje w pamięci prawdziwą historię tego świata – chłodno poinformował urisk. – Wy, ludzie, dawno zapomnieliście, kim jesteście i skąd się wzięliście, ale my pamiętamy…

– Magowie też pamiętają! – Kreol rozciągnął usta w uśmiechu. – Szczególnie dobrze pamiętamy Enki, który został ojcem Marduka i Inanny. A Marduka Potężnego Topora powinniśmy pamiętać do tej pory. To on pokonał Stary Naród i wygnał go z powrotem w Mrok, to on walczył z arcydemonem Hetszu i jego bratem R'eenu, to on pozbawił ciała władcę Lengu Azatotha i zapieczętował przejście do jego królestwa. To on stworzył wielki Sumer… – westchnął Kreol. – Niedługo przed śmiercią.

– A kiedy to wszystko było? – spytała Van sceptycznie.

– Pierwsi ludzie pojawili się na tym świecie trzydzieści dwa tysiące lat przed potopem… – powiedział w zamyśleniu Kreol.

– Znowu potop? Już drugi raz wspominasz o jakimś potopie! O co chodzi?

– Wielki Potop zalał ziemię… – Kreol poruszył ustami, obliczając czas. – No tak, minęło już prawie dwanaście tysięcy lat. Za moich czasów jeszcze o nim pamiętano, ale wygląda na to, że teraz zostały już tylko legendy. Szczególnie, jeśli sądzić na podstawie tej książki! – Kreol z gniewem odrzucił Biblię na bok. – Zdarzenia z trzydziestu tysiącleci, całe dwie epoki, upchnięte na kilku stronach, a i to wszystko źle opisane! Oburzające! Po przeczytaniu tej książki można by pomyśleć, że Judejczycy to naród wybrany przez boga! Wszystko tylko o nich, o tych czcicielach Jahwe!

– A ty co, jesteś antysemitą? – Vanessa chrząknęła znacząco.

– Anty… kim?

– No, takim co nie lubi Żydów.

– A za co mam ich lubić?! – zupełnie szczerze oburzył się Kreol. –

Judejczycy to naród nadętych egoistów! Zobacz, co w tej książce napisali o Ta-Kemet. Thomertha krew by zalała! Był Pierwszym Magiem Ta-Kemet – wyjaśnił Kreol.

– A co to jest Ta-Kemet? – nie zrozumiała Van.

– Egipt, córeczko, Egipt. – Mao w zamyśleniu pogładził podbródek. – Trzeba było uczyć się historii…

– Judejczycy…! – Kreol nie przestawał zgrzytać zębami. – Ich wiara zabrania zabijać Judejczyków, ale wszystkich pozostałych – ile dusza zapragnie, to nawet nie jest grzechem! Nie szanują cudzych bogów… Gorzej, ta bezczelna banda oznajmiła, że ich bóg jest **jedyny!** I niech tam, gdyby czcili jakiegoś dobrego boga, takiego jak Najpiękniejsza Isztar, o nie! Modlą się do Jahwe!!! – wrzeszczał rozwścieczony mag. – Do tego samego Jahwe, który…

– Proszę o wybaczenie, sir, że przerywam tę wciągającą opowieść… – wmieszał się Hubert, który zdążył w tym czasie wyjść i powrócić.

– Co znowu? – warknął mag, któremu przerwano w pół słowa.

– Przyszła poczta, sir.

– I…?

– List do pana, sir. O ile mogę się domyślić, to coś ważnego.

Vanessa ze zdziwieniem odwróciła się w stronę skrzata. To, że Kreol otrzymał list było rzeczywiście zdarzeniem więcej niż dziwnym – wszyscy, którzy mogli do niego napisać znajdowali się w tym pokoju.

Mag wziął od uriska prostokątną, żółtawą kopertę i z niedowierzaniem obrócił ją w dłoniach. Bardziej przypominała małą paczkę niż list, a na wierzchu napisane były tylko dwa słowa „Dla Kreola”. Najdziwniejsze był to, że napisano po starosumeryjsku.

– Może mimo wszystko otworzysz? – nie wytrzymała Vanessa.

Kreol rozerwał kopertę i wyciągnął z niej prostokątną czarną tabliczkę, na której widniały srebrno-białe symbole. Znaczki wykorzystane do stworzenia tego napisu nie miały nic wspólnego z żadnym ze współczesnych ziemskich języków. Co prawda pięć tysięcy lat temu też nie rozmawiano w tym języku na Ziemi.

– O demonie mowa, a demon tuż-tuż… – wycedził Kreol, przebiegając wzrokiem tekst na tabliczce. – No, w końcu! Już myślałem, że o mnie zapomnieli! No cóż, zobaczymy co z tego wyniknie.

– Co to takiego? – Van niecierpliwie szarpnęła go za ramię. Od dłuższej chwili stała za nim, studiując nieznane litery, ale ich sens do niej nie docierał.

– O nie, panie, czy znowu trzeba będzie się tam wybrać?! – krzyknął oburzony Hubaksis, również czytając wiadomość. – Miałem nadzieję, że oni też wymrą przez te wszystkie wieki!

– To by nie było po naszej myśli! – Kreol uśmiechnął się chytrze. – Niech pożyją jeszcze… trochę.

– O czym mówicie? – Vanessa zaczęła się denerwować. – Co tam jest napisane?!

Mao i Butt-Krillach cały czas siedzieli za stołem, obojętnie słuchając kolejnej słownej przepychanki tej trójki. Hubert już dawno sobie poszedł.

– To jest zaproszenie… – niechętnie wydusił z siebie Kreol, odkładając tabliczkę na bok.

– Zaproszenie dokąd? – dopytywała się Van.

– Na święto…

– Pana i mnie znowu zaprosili na to święto, żeby tak zdechli! – zazgrzytał zębami dżinn. – Tak w ogóle, to zaprosili tylko pana, ale pozwolili mu wziąć ze sobą jeszcze dwie osoby towarzyszące, więc znowu będę musiał się tam z nim pchać! Ej, panie – ożywił się – popatrz, masz teraz wyższą pozycję, przedtem pozwalali wziąć tylko jedną osobę!

– Na łono Tiamat! – zirytował się Kreol, zaciskając pięści. – Czyli trzeba będzie kogoś znaleźć! A gdzie, pytam?

– Poczekajcie! – Van podniosła głos, machając przed sobą rękami. – Przerwijcie na chwilkę, dobrze?!

Kreol i Hubaksis zamilkli, wlepiając w nią oczy.

– Świetnie – kiwnęła głową. – Chcę, żebyście się uspokoili i wyjaśnili mi normalnym językiem, co to za święto, dlaczego nie możecie tam nie pójść, a przede wszystkim – dlaczego Hubi tak bardzo nie chce tam iść! Wydawało mi się, że podczas świąt jest wesoło…

– Sądzę, że się domyślam… – powiedział Butt-Krillach.

– Bardzo cię proszę, Butt… – Mao popatrzył na niego z lekką naganą. – Niech Kreol sam opowie.

Mag pomilczał chwilę, zbierając myśli, a potem powoli zaczął mówić, starannie ważąc każde słowo:

– Święto, na które mnie zaproszono, obchodzone jest co trzy lata i za każdym razem trwa trzy dni. Zacznie się dopiero jutro, ale lepiej pojawić się wcześniej. Tak, lepiej… – najeżył się. – Z tej okazji zapraszają wszystkich magów, którzy kiedykolwiek zawarli umowę z organizatorami. No i właśnie jestem jednym z gości… – zgrzytnął zębami.

– Niewiele więcej rozumiem – oznajmiła Van sucho.

– Święto odbywa się na ziemiach Lengu – w królestwie mroku i ognia, w wymiarze, do którego udali się Przedwieczni, gdy zostali wygnani z Ziemi. Zaproszonym gościom nic nie grozi, ale… – Kreol zmarszczył się.

– Wolałbym spędzić te trzy dni pod pręgierzem! – wyrwał się Hubaksis z desperacją.

– To dlaczego nie możesz po prostu odmówić? – Vanessa uniosła brwi. – Czy to byłaby nieuprzejmość?

– Nieuprzejmość? – Kreol rozciągnął usta w parodii uśmiechu. – Nieeee! Nawet gdybym chciał odmówić… milcz, niewolniku! Tym razem **muszę** się tam udać! Ale moje życzenie i tak nie ma żadnego znaczenia. Popatrz tylko, czyja pieczęć widnieje na zaproszeniu!

Van na wszelki wypadek jeszcze raz popatrzyła na czarną tabliczkę, ale nadal widziała tam te same trójkąciki i kwadraciki niezrozumiałe dla zwykłej amerykańskiej dziewczyny.

– To czyj podpis tam widnieje? – westchnęła, pojmując, że Kreol cały czas czeka, aż ona skończy czytać. – A jeśli już o tym mowa, co to za język?

– Ach, tak… To alfabet Nagsotha – pismo ziem Inkwanoku i Lengu, doliny Pnot i starożytnego Troku i Lodowych Pól. Zaproszenie podpisał Eligor, z upoważnienia Yog-Sothotha, z upoważnienia Azatotha, z upoważnienia S'gnaca. Teraz rozumiesz?

– Nie – odpowiedziała Van. – Tato, a ty coś rozumiesz?

– Wiesz, wydaje mi się, że kiedyś słyszałem jedno, albo dwa z tych imion. Czytałem chyba w jakiejś książce – zawahał się Mao.

Eligor – to jeden z trzynastu Emblematów Yog-Sothotha, jedno z niezależnych wcieleń – z lekkim rozdrażnieniem zaczął wyjaśniać Kreol, najwyraźniej szczerze zdziwiony, że ktoś może nie wiedzieć takich prostych rzeczy. – Yog-Sothoth to Strażnik Wrót Otchłani Świata Lengu, ziemskie wcielenie Azatotha. Z kolei Azatoth to władca Lengu i wszystkich żyjących tam demonów. S'gnac to Bezkształtny Władca, Bóg Stwórca Lengu i całej Otchłani.

– Więc to tak… – Van ze zrozumieniem pokiwała głową. Tak naprawdę, nadal rozumiała niewiele, ale doszła do wniosku, że dalsze wyjaśnienia wprowadzą tylko dodatkowy zamęt. – W takim razie wyjaśnij mi jeszcze raz, dlaczego nie możesz odrzucić zaproszenia. Czy ten… jak go tam… Śniak jest kimś w rodzaju magicznego Dona Corleone?

– Kto to taki, ten Korleone? – zasępił się Kreol.

Van i Mao, przerywając sobie co chwila, opowiedzieli mu treść „Ojca chrzestnego”. Oboje po prostu uwielbiali ten film.

– To dziwne, ale widzę wiele podobieństw. – Mag ze zdziwieniem pokiwał głową, gdy nareszcie zrozumiał, co znaczy pojęcie „mafioso” i dlaczego lepiej nie odrzucać zaproszenia od kogoś takiego. – Owszem, mniej więcej tak się rzeczy mają. Teraz rozumiecie, dlaczego mój niewolnik nie ma ochoty się tam wybierać? Co więcej, takie zaproszenie uważane jest za zaszczyt! – parsknął szyderczo. – No nic, nic… jeśli wszystko pójdzie tak, jak trzeba, to będzie ich ostatnie święto!

– Do tego pozwalają wziąć osoby towarzyszące! – podzielił się

smutną refleksją Hubaksis. – Gdyby nie to, chociaż ja mógłbym odmówić!

– Chcesz mnie porzucić, niewolniku? – Kreol rzucił mu gniewne spojrzenie. – Nic z tego! I tak muszę szukać jeszcze jednej osoby! Gdzie ja znajdę kogoś odpowiedniego w ciągu tych kilku godzin?!

– Już znalazłeś – uśmiechnęła się Vanessa. – Jak sądzisz, w co powinnam się ubrać?

– Co?!! – krzyknęli jednocześnie Kreol, Hubaksis i Mao. Tylko wciąż milczący Butt-Krillach siedział w kącie, patrząc ironicznie na całe to zamieszanie.

W ciągu następnych dziesięciu minut trójka ludzi i jeden dżinn z zaangażowaniem krzyczeli na siebie, przy czym nikt z nich nie rozumiał, o co właściwie chodzi pozostałym. W końcu zmęczyli się i umilkli.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – odezwała się Vanessa z uporem. – Postanowiłam! Mam przepuścić taką imprezkę?! Jeszcze mnie nie znacie!

– Mao? – Kreol popatrzył rozżalonym wzrokiem na starego Chińczyka. – Proszę wpłynąć na córkę!

– Nie sądzę, żeby mi się udało. – Mao filozoficznie wzruszył ramionami. – Upór odziedziczyła po matce.

– Kobieto, czy chociaż rozumiesz, gdzie się wybieramy? – zazgrzytał zębami mag. – To nie jest balu imperatora! To sabat w Królestwie Mroku!

– Ale przecież tam już z Hubaksisem byliście? – upewniła się Van spokojnie. – Czyli nie ma tam nic strasznego. Sam powiedziałeś – bezpieczeństwo jest gwarantowane.

Kreol zakrył oczy ręką i ciężko westchnął. Pomyślał chwilę, wziął dziewczynę za ręce, i najłagodniej jak tylko potrafił powiedział:

– Vanesso, moja droga – tak nieoczekiwana delikatność zaskoczyła Van – czy myślisz, że będzie tam coś ciekawego? Leng to najwstrętniejszy i najbardziej odpychający wymiar, jaki przyszło mi widzieć. Prawie nie ma tam ludzi, tylko demony i potwory. Gdyby nie było to tak ważne dla mojej… sprawy, nawet na myśl by mi nie przyszło, by się tam pchać, więc jak mam ciebie tam puścić?

– Panie, to może w takim razie ja zostanę tutaj? – Hubaksis prosząco spojrzał mu w oczy, podlatując bliżej.

– Nie, to niemożliwe! – warknął Kreol natychmiast. – Jesteś dżinnem! I moim niewolnikiem!

– Ale przecież tak czy siak musisz wziąć kogoś trzeciego? – upierała się Van, cały czas pozostając pod wrażeniem delikatnego tonu Kreola. – Przecież nie weźmiesz taty!

– A co w tym takiego niezwykłego…? – Mao rozłożył ręce. – A poza tym, Kreol może wziąć kogoś z naszej domowej menażerii…

– Niestety, nie – skrzywił się mag. – Butt-Krillach-Mecckoj-Nekchre-Tajllin-Mo jest związany z tym wymiarem. Hubert to skrzat domowy, więc nie może oddalać się zbytnio od domu. O duchu z piwnicy nie ma nawet co mówić…

– Sam widzisz! – zwycięsko uśmiechnęła się Van. – Więc nie ma po co mnie przekonywać. I tak nic z tego nie wyjdzie!

– W zasadzie ona ma rację, panie – cichutko wymamrotał dżinn, starając się unikać gniewnego wzroku Kreola.

– Dobrze, kobieto! – odpowiedział mag ze złością. – Dobrze, wezmę cię ze sobą! Ale pamiętaj, że gdy znajdziesz się w Lengu, nie będziesz mogła go opuścić aż do końca święta! I nie oczekuj, że zobaczysz tam cokolwiek ciekawego!

– I weź ze sobą kilka worków jedzenia, dobrze? – Hubaksis popatrzył na nią prosząco. – Karmią tam gorzej niż na uczcie u robaków w trumnie…

Kreol, marszcząc nos, co pomagało mu lepiej się skoncentrować, chodził po podłodze na czworakach, kreśląc magicznym nożem ogromny pentagram. Tym razem nie był to zwyczajny krąg z gwiazdą w środku. Wszystkie zewnętrzne linie, oprócz jednej, były podwójne. Vanessa obserwowała pracę maga. W prawym dolnym rogu rysunku pyszniła się spirala, a w górnych – prawym i lewym oraz na samym szczycie – trójkąty. Górny trójkąt Kreol pozostawił niedomknięty. Ponadto, na prawo od środka narysował krzywą linię podobną do południka, jaki zwykle rysuje się na globusach. Wszystkie linie natychmiast po narysowaniu zaczynały świecić.

– Wychodzi na to, że światy równoległe rzeczywiście istnieją… – powiedział w zadumie Mao, obserwując te przygotowania. – Muszę przyznać, że nigdy w to nie wierzyłem.

– A ja i teraz nie wierzę – fuknęła Van. – Jak to możliwe – kilka światów w jednym miejscu?

– Nie kilka, tylko nieskończenie wiele – uprzejmie poprawił ją Butt-Krillach. – To bardzo proste. Popatrz. – Wziął ze stołu jakieś czasopismo i pokazał je ludziom. – Załóżmy, że każda z kartek jest światem. Rozumiesz?

– No?

– Jak widzisz, kartka ma długość i szerokość, ale nie ma wysokości. To znaczy ma, ale…

– Jest tak mała, że można nie brać jej pod uwagę – ze zrozumieniem pokiwał głową Mao. – Kontynuuj, proszę, Butt-Krillach, słuchamy cię.

– Załóżmy, że na każdej kartce żyją jacyś… no… płascy ludzie, powiedzmy. Oni też mają długość i szerokość, ale nie mają wysokości.

– Żyją w dwóch wymiarach? – spytał Mao z zainteresowaniem. – Tak, rozumiem.

Vanessa otwarcie ziewnęła, Hubaksis też nie słuchał. I tak wszystko to wiedział, a poza tym zupełnie nie był ciekaw wykładu.

– Tym naszym ludziom też może się wydawać, że żadnych innych kartek nie ma i być nie może. Po prostu nie mogą sobie tego wyobrazić. A jednak kartki istnieją i znajdują się całkiem blisko. Podobnie jest w naszej sytuacji, z tą tylko różnicą, że żyjemy nie w dwóch, a w trzech wymiarach, a pozostałe wymiary są rozmieszczone w czwartym. Całkiem blisko nas, a jednak niedostępne… – Demon ze smutkiem rozłożył wszystkie cztery łapy. – Tym niemniej można się między nimi przemieszczać, chociaż zwyczajne sposoby nie nadają się do tego… W tym celu wystarczy przesunąć się w czwartym wymiarze. Tylko odrobinę, o tycio – demon pokazał kawałek pazura – tycio zupełnie wystarczy.

– W ten sposób możemy w mgnieniu oka dostać się do dowolnego świata – podsumował Mao.

No, nie do dowolnego – zaprzeczył Butt-Krillach. – Przecież z kartki można przejść tylko na sąsiednią, a nie w dowolne miejsce książki. Im bliżej siebie są dwa światy, tym łatwiej jest się między nimi przemieszczać. Do tego nie wszystko jest takie proste – w rzeczywistości są nie trzy wymiary, a znacznie więcej, co jeszcze bardziej utrudnia takie podróże. Ale Leng to jeden z najbliższych światów, dość łatwo się do niego dostać… – nieoczekiwanie zakończył demon. – Mój świat też znajduje się całkiem blisko waszego, i świat dżinnów, i wiele innych…

– A czy istnieje świat, który prawie nie różni się od naszego? – zasępił się Mao.

– Tak, jak w „Slidersach” – przypomniała swój ulubiony serial Vanessa.

– Tak, całe mnóstwo – uśmiechnął się Butt-Krillach. – Są takie, których w żaden sposób nie da się odróżnić od waszego. Przecież mówię – światów jest nieskończenie wiele. Doświadczony mag, jeśli zechce, może przenieść się do każdego z nich – rytuały nie są zbyt skomplikowane.

– Kiedy trochę się obrobię, zbuduję pentagram do podróżowania – burknął Kreol, podnosząc się z kolan – a na razie wystarczy tymczasowy.

Mag wyjął zza pazuchy czarny flakonik zatkany wiekowym korkiem, otworzył go i rozsypał nad pentagramem zjadliwie zielony proszek. Pyłki spadające na świecące linie buchały maleńkimi płomieniami jak meszki wlatujące do ogniska.

– Tak… – w zadumie powiedział mag, oglądając swe dzieło. – Wszystko gotowe, kobieto, będziesz coś ze sobą brać?

Vanessa poprawiła plecak. Wzięła sobie do serca ostrzeżenie Hubaksisa i zabrała ze sobą zapas jedzenia na trzy dni. Kreol długo

przekonywał ją, by nie ciągnęła ze sobą zbędnych śmieci, ale Vanessa tylko kręciła głową. Nie chciała polegać wyłącznie na zmartwychwstałym sumeryjskim magu.

Sam Kreol także wziął ze sobą ulubioną torbę. Włożył do niej swoje narzędzia, jakieś proszki, zioła, a przede wszystkim – magiczną księgę. W ręku trzymał tylko laskę.

– Idź za mną krok w krok – nakazał poważnie, sadzając Hubaksisa na ramieniu Van. – I uważaj, kobieto, żeby mój niewolnik nie uciekł, próbuje tego za każdym razem… Jeśli chcesz się pożegnać, zrób to teraz – w trakcie rytuału nie wolno wymawiać zbędnych słów.

Van objęła ojca i wesoło pomachała mu na pożegnanie. Nie wiadomo dlaczego, ani on, ani ona, nie traktowali całej sprawy poważnie – prawdopodobnie nadal nie mogli uwierzyć, że za chwilę Kreol otworzy drzwi między światami i dziewczyna wyruszy z nim do innego wymiaru – wstrętnego Lengu.

– Jestem gotowa – oznajmiła Vanessa. Z całych sił starając się nie roześmiać, stanęła za plecami Kreola.

– Nie trzeba powtarzać moich słów ani ruchów – przypomniał mag na wszelki wypadek. – Po prostu idź za mną.

Wszedł do pentagramu tam, gdzie trójkąt był niezamknięty i zaczął poruszać się wzdłuż jednej z linii w stronę najbliższego kąta po lewej stronie.

– Zazas, Nasatanada, Zasas, Zasas! – mówił Kreol, idąc.

W dolnym lewym rogu mag zatrzymał się i podniósł lewą rękę, zaginając mały, serdeczny i wskazujący palec oraz kciuk. Jedyny niezgięty palec utworzył taką figurę, że Van z trudem zachowała poważny wyraz twarzy.

– Ohodos-Skijen-Zamoni! Ohodos-Skijen-Zamoni! Ohodos-Skijen-Zamoni! – krzyknął Kreol, nie zmieniając położenia palców.

Następnie ruszył wzdłuż drugiej linii, w stronę zamkniętych trójkątów. Na skrzyżowaniu z krzywą linią Kreol klęknął i z powagą wydeklamował:

Będący Całością Żyje W Mroku, W Środku Wszystkiego Żyje, Co Jest W Mroku;

I Mrok Ten Będzie Wieczny, Gdy Wszyscy Pokłonią Się Przed Onyksowym Tronem.

Gdy skończył, wstał z klęczek i ruszył dalej w stronę trójkąta. W trójkącie zatrzymał się, aby złożyć ręce w nowy znak – użył kciuka i środkowego palca – oraz wymówić jeszcze jedno zaklęcie.

Abissus Diasonrsus, Zhove – Azatoth Nerro, Yia! Nyarlathotep!

Przeszedłszy wzdłuż poziomej linii do drugiego trójkąta, pokłonił się trzykrotnie i uformował nowy znak. Tym razem zagiął kciuk, środkowy i serdeczny palec.

Nastąpiła ostatnia część rytuału. Kreol wraz z Vanessą i

Hubaksisem przeszedł ku znajdującej się w prawym dolnym rogu spirali i powiedział:

Zenahesn, Pitoh, Ohas, Zaegos,
Mawok, Nigosus, Bojar! Heeho!
Yog-Sothoth!
Yog-Sothoth!
Yog-Sothoth!

Wypowiedziawszy ostatnie słowo, Kreol wyciągnął laskę i narysował w powietrzu figurę przypominającą odwróconą literę „N” przeciętą literą „Z”.

Świecący symbol przez chwilę wisiał w powietrzu, a potem w mgnieniu oka zmienił się w coś przypominającego niewielką czarną dziurę.

– A niech mnie! – mimowolnie westchnęła Van. Kreol odwrócił się w jej stronę, wściekłe łypiąc oczami, złapał ją za rękę, ścisnął jakby chciał połamać jej kości i skoczył w otwarte okno między wymiarami. Zamknęło się za ich plecami, a pentagram zaczął powoli znikać…

***